



Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

# Pro Libris

## RÓŻNORODNOŚĆ

Nr 3(36) Zielona Góra 2011 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754

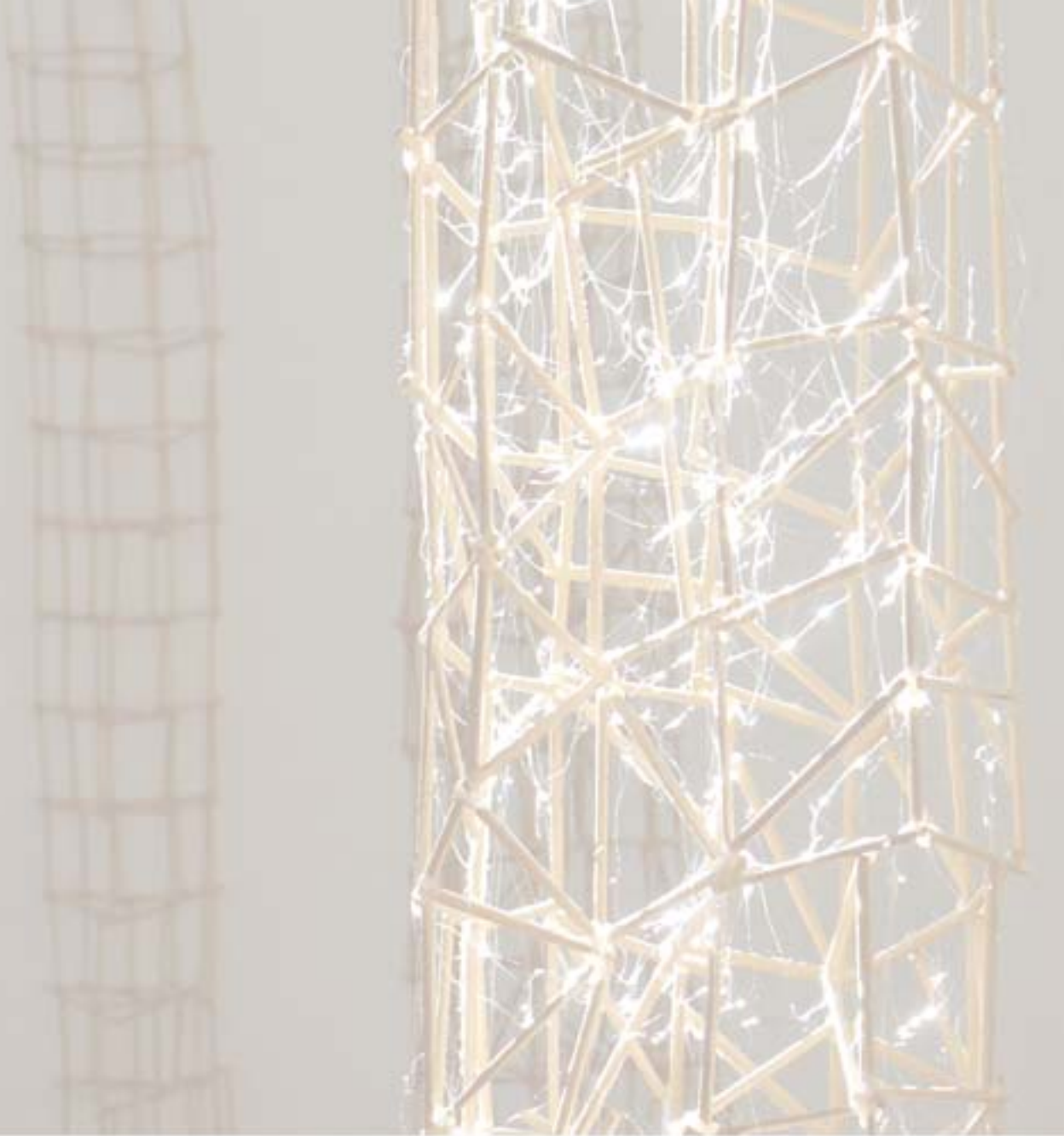
Eseje

Wiersze

Proza

Szkice krytyczne

Sztuka



**FUNDACJA WSPÓŁPRACY  
POLSKO-NIEMIECKIEJ**

**STIFTUNG  
FÜR DEUTSCH-POLNISCHE  
ZUSAMMENARBEIT**

*Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej  
Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit*

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

**Pro Libris**

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne  
Pro Libris nr 3(36) – 2011

Prace plastyczne wykorzystane w numerze  
Ireneusz Solarek

© Copyright by  
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, Zielona Góra 2011

Redaktor graficzny  
Magdalena Gryśka

Sekretarz redakcji  
Ewa Mielczarek

Korekta  
Joanna Wawryk

Członkowie redakcji:  
Ewa Andrzejewska, Andrzej Buck, Lidia Głuchowska, Anita Kucharska-Dziedzic

Tłumaczenia na język niemiecki  
Grzegorz Kowalski

Fotografie  
Iwona Ołdak, Wacław Ostrowski, Marta Puchalska, Ireneusz Solarek

Wydawca  
Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida,  
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy  
Firma Reklamowa GRAF MEDIA, tel. 68 451 72 78

Druk i oprawa  
TOTEM Inowrocław

Nakład – 350 egz.

ISSN 1642-5995  
Nr indeksu 370754

---

Adres redakcji:  
WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze,  
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris);  
e-mail: [prolibris@wimbp.zgora.pl](mailto:prolibris@wimbp.zgora.pl)  
<http://www.prolibris.net.pl>

# Od redakcji

Nim podejmią Państwo lekturę numeru 36, prosimy o zwrócenie uwagi na przekrój autorów, których teksty wypełniają drugi z kolei zeszyt realizowany zgodnie z projektem wspieranym finansowo przez Fundację Współpracy Polsko-Niemieckiej.

Zamysłem redakcji jest pozyskiwanie coraz to nowych osobowości literackich, a właśnie takie pojawiają się w tym numerze pisma. Wystarczy wymienić Renatę A. Thiele, zielonogórzankę od lat zamieszkałą w Akwizgranie, dziennikarkę i utalentowaną prozatkę. Podobnie z ciekawą prozą powitaliśmy na łamach „Pro Libris” Zbigniewa Masternaka, dramaturga i powieściopisarza wywodzącego się z Kielecczyny. Joanna Kapica-Curzytek, współpracująca z kwartalnikiem, proponuje w numerze lekturę tekstów traktujących o kulturze łужиckiej. Młodzi badacze literatury lubuskiej (Kamila Gieba, Maciej Lindmajer) analizują zjawiska charakterystyczne dla regionalnej kultury. Ideę **M**ediateki, jako nowoczesnej przestrzeni przyjaznej odbiorcom wszelkiego

rodzaju multimediów, przybliży Andrzej Buck. Natomiast Andriej Kotin, moskwinin, od kilku lat zamieszkały w Zielonej Górze występuje w podwójnej roli – liryka, laureata konkursu poetyckiego oraz filozofa badającego tożsamość człowieka.

Zwyczajowo zamieściliśmy w numerze recenzje książek, będących przeglądem ciekawych zjawisk literackich także poza regionem i krajem. Warto także zapoznać się z tekstami absolutnych debiutantów, młodych poetów biorących udział w dorocznym „Konkursie Poetyckim Pro Libris”, którzy być może stworzą w przyszłości twórczą elitę środowiskową. Można by jeszcze długo wymieniać autorów i tych dopiero pozyskanych, a także tych wielokrotnie publikujących w naszym piśmie. Wiadome jest jedno, warto sięgnąć do tego numeru, numeru różnorodnego, pełnego indywidualizmu, kreślącego swego rodzaju lubuską mapę kulturalną. To właśnie było zamiarem zespołu redakcyjnego.

Zapraszamy do lektury.

# Spis treści

---

<b>Sławomir Kufel</b> , Na krańcach mapy, czyli kłopot z tożsamością   An den Rändern der Landkarte oder der Kummer der Identität	6
<b>Renata A. Thiele</b> , Winne sprawy (fragment prozy)	13
<b>Zygmunt Marek Piechocki</b> , Wiersze [O niczym. Żeby tylko coś napisać (1), O niczym. Żeby tylko coś napisać (2), O niczym. Żeby tylko coś napisać (3), O niczym. Żeby tylko coś napisać (4)]	18
<b>Przemysław Grzesiński</b> , To jest wojna (opowiadanie)	22
<b>Władysław Kłepka</b> , Wiersze [Ciernie i głogi, Dotyk słońca, Przemienność, Jagodowe wzgórze]	29
<b>Zbigniew Masternak</b> , Nous sommes les Polonais (fragment powieści)	33
<b>Czesław Sobkowiak</b> , Nad wodą opowiadanie	49
<b>Barbara Konarska</b> , Wiersze [twarde sylaby krzyku, nierozpoznani, znamię kainowe, ...vivre non est necesse]	54
<b>Czesław Sobkowiak</b> , Opowiadania [Krzesło, Czarne kiszki, W Berlinie Zachodnim]	58
<b>Konrad Krakowiak</b> , Wiersze [Tak różni, Prosząc o cud]	62

## ZBLIŻENIA

<b>Kamila Gieba</b> , Mitologiczna rekonstrukcja piastowskich korzeni w lubuskiej literaturze ludowej na przykładzie <i>Złotej dzidy Bolesława</i>	64
<b>Maciej Lindmayer</b> , Pytając o nowego siebie – budując nowy dom. Relacja z interdyscyplinarnej konferencji ph. „Miejsce i tożsamość. Literatura lubuska w perspektywie poetyki przestrzeni i antropologii”	68
<b>Ewa Mielczarek</b> , Poszukiwań młodych talentów ciąg dalszy. Andrzej Kotin laureatem II Konkursu „Debiut Poetycki Pro Libris”	77
Prezentacja wierszy konkursowych Andrieja Kotina, Małgorzaty Niezgody, Piotra Petrykowa, Krzysztofa Andrzeja Kowalczyka, Macieja Kubiaka, Krzysztofa Olszaka, Piotra Jarczyńskiego, Kacpra Pietrenki, Tomasza Gryglickiego	79

## PREZENTACJE

Ireneusz Solarek, portfolio	97
<b>Mateusz Basiński</b> , Festiwal Experyment – historia	98
<b>Mateusz Basiński</b> , Teatr S – wypowiedzieć tekst widzom – z teatralną misją <i>aisthesis sensualis</i>	101

## VARIA

<b>Andrzej Buck</b> , Wejdz na szczyt!   Besteige den Gipfel!	104
<b>Andrzej Kotin</b> , Indywiduum a Persona: tożsamość człowieka w mistyce chrześcijańskiej	114
<b>Joanna Kapica-Curzytek</b> , Halina Barań: spotkanie z luźnymi   Halina Barań: Eine Begegnung mit der Lausitz	116
<b>Katarzyna Kaszewska</b> , Zdrowie współpracy polsko-niemieckiej! Czyli o leczeniu po obu stronach Odry   Auf die deutsch-polnische zusammenarbeit! Vom grenzübergreifenden gesundheitsschutz	120



---

## RECENZJE I OMÓWIENIA

- \* Świat bez pisma i pamięci  
Christian Kracht, *Ich werde hier sein im Sonnenschein und im Schatten* (**Paweł Wałowski**) . . . . . 125
- \* Piękna Polka u zachodnich sąsiadów  
Jens Petersen, *Die Haushälterin* (**Paweł Wałowski**) . . . . . 127
- \* Daremność i dotkliwość doświadczenia  
Urszula Koziół, *Horrendum* (**Czesław Sobkowiak**) . . . . . 128
- \* Odważne spojrzenie na niewygodną prawdę  
Halina Barań, *Cień brzasku* (**Joanna Kapica-Curzytek**) . . . . . 130
- \* Dwie rzeczy nie zdarzają się dwa razy. O wierszach Agnieszki Leśniewskiej  
Agnieszka Leśniewska, *Dwie rzeczy* (**Mirosława Szott**) . . . . . 132
- \* Bez księżniczek i smoków Zbigniewa Kozłowskiego  
Zbigniew Kozłowski, *Legendy Lubuskie II* (**Emilia Kostka**) . . . . . 133
- \* O zapomnianej Europie  
Jurij Andruchowycz, Andrzej Stasiuk, *Moja Europa* (**Jakub Rawski**) . . . . . 135
- \* Gdzie ten mężczyzna?  
Beata Patrycja Klary, *Szczekanie głodnych psów* (**Michał Zaremba**) . . . . . 137

**KSIĄŻKI NADESŁANE** . . . . . 139

**AUTORZY NUMERU** . . . . . 140

## Na krańcach mapy, czyli kłopot z tożsamością\*

Przede wszystkim musimy przyjąć, że tożsamość jest zjawiskiem definiowanym i definiującym. Tożsamość określają ci, którzy przyjmują ją jako swoją lub obcą, natomiast tak pojęta tożsamość definiuje jednocześnie wypowiedzających się o niej. Dlatego też obiektywizacja wspomnianego zjawiska jest niezmiernie trudna, właściwie niemożliwa do przeprowadzenia. Wygląda to trochę tak, jak w przypadku tożsamości osobistej – musimy uzyskać jej świadomość, a zatem musi się stać elementem naszej scalającej się jaźni. Krótko mówiąc – nie istniejemy bez tożsamości. Czy sprawdza się to też w odniesieniu do problemów makro?

Najpierw trzeba określić zakres zjawiska. Okazuje się bowiem, że pojęcie tożsamości będzie zmieniać swój zakres w zależności od skali – począwszy od tożsamości jednostkowej, poprzez rodzinną, okoliczną, regionalną, aż po makroregionalną czy, w dalszej kolejności, narodową. Gdyby tak spojrzeć na tożsamość lubuską, zrodzi się kilka, ciekawych jak sądzę, konstatacji.

Lubuskość rodziła się długo i w bólach. W roku 1945 było tu województwo poznańskie i wroc-

\* Referat wygłoszony podczas konferencji „Miejsce i tożsamość” (Zielona Góra, 15-16 listopada 2011).

## An den Rändern der Landkarte oder der Kummer der Identität\*

Als Erstes muss man davon ausgehen, dass die Identität ein definiertes und ein definierendes Phänomen ist. Die Identität wird von denen definiert, die sie als eigen oder fremd wahrnehmen, und gleichzeitig werden diejenigen, die sich zu der Identität äußern, von ihr selbst definiert. Deswegen ist eine Objektivierung dieses Phänomens äußerst schwierig, um nicht zu sagen: unmöglich. Es ist etwa so, wie bei der persönlichen Identität – man muss sich ihrer bewusst werden, sie muss also zu einem Bestandteil unseres sich vereinigenden Ichs werden. Kurzum – ohne Identität gibt es uns nicht. Stimmt das auch in Bezug auf die Makro-Probleme?

Lassen Sie uns zuerst den Umfang des Phänomens erkennen. Denn es stellt sich heraus, der Begriff der Identität verändert seinen Umfang je nach der Skala, um die es sich handelt – von der Identität des Einzelnen, über die Familie, die Gegend, die Region bis zur Heimat und weiter – zur Nation. Schaut man von diesem Blickpunkt auf die Lebuser Identität, dann kommen einige interessante, wie ich glaube, Schlussfolgerungen auf.

Die Lebuser Identität hatte eine lange und schmerzvolle Geburt. Im Jahre 1945 war das Land

\* Der Beitrag wurde während der Konferenz „Ort und Identität” (Zielona Góra, 15.-16. November 2011) vorgelesen.



ławskie. I wielu przyjezdnych, z których, wedle różnych szacunków, około 45% to byli przybysze ze wschodnich, utraconych w wyniku II wojny światowej, ziem II Rzeczypospolitej. Ci ludzie nie zostali przesiedleni – tym ludziom zabrano wszystko, nie tylko materialnie, ale przede wszystkim psychicznie – stracili zewnętrzne wyznaczniki tożsamości – ziemię, cmentarze, rodzinne przekazy, a nawet specyficzną mowę, kształtowaną w tyglu międzykulturowych kontaktów – zachowali tylko wspomnienia. Zamiast o przesiedleniu lepiej mówić o wypędzeniu, a jeszcze lepiej o zbrodni przeciwko ludzkości. Przyjechali nie na Ziemię Lubuską, lecz na tereny, które jeszcze miesiące temu były niemieckie, a Niemcy określali je jako Nową Marchię i Śląsk Północny. Przybysze nie mieli pojęcia, że gdzieś tu jest Ziemia Lubuska, cóż dopiero lubuskość. Inni, około 20%, przyjechali z pogranicznej Wielkopolski. Dla nich też była to wyprawa w nieznane, aczkolwiek już nie tak bardzo. Poznaniacy kojarzyli tereny nadodrzańskie, oczywiście jako część Niemiec. Kiedy tu przybyli, wiedzieli, że nie są na swoim, ale chociaż kultura, przede wszystkim materialna, nie była im obca. O Lubuszu też raczej nie mieli pojęcia. W roku 1950 zaordynowano na tych terenach województwo zielonogórskie, co wiązało się z błyskawicznym awansem Zielonej Góry z cichego i małego, choć urokliwego miasteczka gdzieś na krańcach Dolnego Śląska, do ośrodka wojewódzkiego. Gorzów miał mniej szczęścia, paradoksalnie, gdyż przed wojną był miastem niemal dwukrotnie większym od Zielonej Góry, a więc wartym obrony, a co za tym idzie – i wielkich zniszczeń. Dość powiedzieć, że stolicą nowego województwa zostało miasto, które nigdy w skład historycznej Ziemi Lubuskiej nie wchodziło. Tak dotrwaliśmy do reformy roku 1975, kiedy to Zielonogórskie podzielono na Gorzowskie i... Zielonogórskie właśnie. Z perspektywy czasu wypadnie stwierdzić, że była to dla regionu dobra decyzja, pozwoliła bowiem bez skrupowania rozwijać się północy. Tyle tylko, że i nowa stolica – Gorzów Wielkopolski – z historyczną Ziemią Lubuską też nie miał nic wspólnego. I wreszcie stan dzisiejszy – od 1999 roku. Województwo

unter die Woiwoschaften Wrocław und Poznań geteilt. Und unter viele Ankömmlinge, von denen, je nach Schätzungen, ca. 45% aus dem Osten kamen, aus den von Polen infolge des 2. Weltkrieges verlorenen Gebieten. Diese Menschen wurden nicht umgesiedelt – sie wurden beraubt, nicht nur ihres materiellen Erbes, sondern vor allem des psychischen – sie haben die äußeren Faktoren ihrer Identität verloren: den Boden, die Friedhöfe, die Familiengeschichten und sogar ihre einzigartige Sprache, die sich im multikulturellen Schmelztiegel gebildet hat; ihnen blieben nur ihre Erinnerungen. So soll hier nicht so sehr von einer Umsiedlung die Rede sein, sondern über Vertreibung, ja über ein Verbrechen gegen die Menschlichkeit. Sie kamen nicht zum Lebuser Land, sondern auf Gebiete, die noch vor Monaten deutsch waren, und von den Deutschen als Neumark und Nordschlesien bezeichnet. Die Ankömmlinge hatten keine Ahnung, dass das hier das Lebuser Land sei, geschweige denn, was eine Lebuser Identität sein sollte. Andere, ca. 20%, kamen aus dem grenznahen Großpolen. Auch für sie war das eine Reise ins Unbekannte, wenn auch nicht in einem solchen Ausmaß. Die Einwohner von Posen hatten eine Ahnung vom Oderraum, natürlich als einem Teil Deutschlands. Als sie hierher kamen, war ihnen die Kultur, vor allem deren materielle Aspekte, nicht unbekannt; nichtsdestoweniger wurden sie, nicht „zu Hause“ zu sein. Auch von Lebus wussten sie kaum etwas. Im Jahre 1950 wurde auf diesen Gebieten die Bildung der Woiwodschaft Zielona Góra beordert, woraufhin die ruhige und kleine, wenn auch gemütliche Stadt irgendwo am Rande Niederschlesiens zum Zentrum einer Region aufwuchs. Da hatte Gorzów – Landsberg – weniger Glück, denn es war vor dem Krieg eine Stadt von doppelt so großen Ausmaßen wie Zielona Góra, schien also einer Verteidigung – und damit der Verwüstungen – wert zu sein. Kurzum, damit wurde zur Hauptstadt der neuen Woiwodschaft ein Ort, der niemals Teil des historischen Lebuser Landes war. So blieb es bis 1975, als die Woiwodschaft Zielona Góra in zwei andere – Gorzów und... Zielona Góra geteilt wurde. Rückblickend muss man feststellen, dies war für die Region eine gute Entscheidung, denn

lubuskie. To nie pomyłka – lubuskie. Pytanie tylko, dlaczego? Czy dlatego, że taka była wola polityków, by jakoś pogodzić ambicje dwóch największych miast w regionie, czy też może inaczej – nazwa pojawiła się dlatego, że wykształciła się taka tożsamość? Rzecz warta jest zbadania.

Teraz spojrzenie z innej strony. Jeśli weźmiemy do ręki mapę Polski, stwierdzimy, że Ziemia Lubuska leży gdzieś tam, mniej więcej, w pobliżu – ale dokładnie to nie wiadomo. Może zresztą jest to Jelenia Góra, a może lubelskie? Polska miała i ma ogromne kłopoty z definicją tych terenów, a także ludzi tu żyjących. Proszę wybaczyć osobiste wspomnienie, ale jest ono symptomatyczne. Otóż w roku 1977 w Turnieju Miast (był wtedy taki program telewizyjny) wystąpił Żagań i inna miejscowość, nie pomnę już którą. Jako młody chłopak biegałem pomiędzy wozami transmisyjnymi i namiotami rozłożonymi na dziedzińcu Pałacu Talleyrandów. Największe wrażenie wywarł na mnie piosenkarz (dość znany, lecz proszę wybaczyć, dziś już nie pamiętam jego nazwiska), który o Żaganiu, i o całym regionie, śpiewał: „Jest miasteczko ponad rzeczką / sympatyczne dość miasteczko / dalej preria, a za prerią / Mary End / To jest, tak, nie zgadlibyście / Dzikie Zachód, oczywiście!“. Zabawne, wtedy śmiali się wszyscy. Najgorzej jednak, że takie widzenie na wiele dziesiątków lat zamażało właściwe proporcje i ogląd sytuacji w Polsce, sytuując nas na owym mitycznym, i z definicji barbarzyńskim, zachodzie. Władze w Warszawie uznawały za stosowne forsować dość ryzykowną tezę o „piastowskości” tych ziem, stawiając co i rusz pomniki tysiąclecia, ale z wypełnianiem założeń treścią miały już niejaki kłopoty. No dobrze, Mieszko I czy Bolesław Chrobry, może jeszcze niektórzy śląscy Piastowie (na czele z „nie-dobrym” Bolesławem Rogatką, co to przegrał na rzecz podstępnych Niemców Ziemię Lubuską, tym razem tę prawdziwą), ale co zrobić z prawie 600 latami obecności tu Niemców (i Czechów). Tego nie dawało się przeskoczyć i dlatego dzieci, które tu uczyły się historii regionu, musiały odnosić się do Mieszka I, a to przecież było tak dawno... Co innego bowiem taki pałac w Łańcutie, a co innego

so konnte sich deren nördlicher Teil ohne Hindernisse entwickeln. Schlimm war nur, dass auch die neue Hauptstadt – Gorzów Wielkopolski – mit dem historischen Lebuser Land nichts zu tun hatte. Und so kommen wir zu den heutigen Zeiten – zum Jahr 1999. Woiwoschaft Lebus. Nein, es ist kein Irrtum: Lebus. Die Frage ist nur: warum? War das einfach nur der Wille der Politiker, die den Ehrgeiz der zwei größten Städte in der Region unter einen Hut bringen wollten, oder kam es anders – die Bezeichnung kam auf, weil sich eine neue Identität entwickelt hat? Es verlohnt die Mühe, sich dessen näher anzunehmen.

Wechseln wir nun die Perspektive. Schaut man auf die Landkarte Polens, so sieht man, dass das Lebuser Land irgendwo, dort, in der Nähe liegt, aber wo genau – das bleibt ungewiss. Übrigens, ist das nicht dieses Jelenia Góra oder die Woiwoschaft Lublin? Polen tat sich, und tut sich immer noch, schwer damit, diese Gebiete zu definieren und die hier lebenden Menschen zu bezeichnen. Verzeihen Sie mir an dieser Stelle eine persönliche Erinnerung, sie ist aber symptomatisch. Denn im Jahre 1977 nahm Żagań an der damaligen Fernsehshow „Städtetur-nier“ statt, samt einem anderen Ort, an den ich mich nicht mehr erinnern kann. Als junger Bursche lief ich zwischen den Übertragungswagen und den Zelten auf dem Hof des Wallensteinschen Schlosses. Den größten Eindruck machte auf mich ein Sänger (ziemlich bekannt, aber, verzeihen Sie mir, heute weiß ich nicht mehr, wer genau es war), der über Żagań und die gesamte Region folgende Worte sang: „Es steht am Ufer eines Flusses eine kleine Stadt, eine sympathische Stadt, danach kommt die Prärie, Mary End / Es ist, ja, das hättet ihr nicht erraten, der Wilde Westen, na klar!“. Lustig oder? Damals haben wir alle gelacht. Schlimmer war aber, dass eine solche Sichtweise die Verhältnisse für Jahrzehnte und die Sicht der Lage in Polen verwischt hatte, indem wir in diesen mythischen, erklärtermaßen barbarischen Westen verschob. Die Funktionäre in Polen glaubten, die etwas riskante These über den „Piasten-Ursprung“ dieser Ländereien verbreiten zu müssen, sie stellten hier und da ein Denkmal der „Tausend Jahre polnischer Geschichte“ dieser Gebiete auf, hatten aber so manche Probleme, dieses Programm mit

pola pod Cedynią. Tu historia na wyciągnięcie ręki, a tam historia bardzo „wyciągana”, do wierzenia, a nie do sprawdzenia. Dlatego też przez około 50 powojennych lat wykształcił się dość niebezpieczny, choć wyraźnie narzucany „patriotyzm lubuski”, polegający na pomijaniu większej części historii regionu i konstruowaniu wersji „to ziemie genetycznie piastowskie, a dziś budujemy ich polską tożsamość”. Na szczęście takie widzenie odchodzi już w przeszłość, przynajmniej na naszym terenie. Teraz bardziej rozumiały staję się stosunek „reszty” Polski do terenów nad Odrą i Wartą. Stosunek, mam wrażenie, taki sam dziś, jak przed 50 laty. Musimy sobie bowiem uświadomić, że Ziemia Lubuska, pojęta jako sztucznie konstruowany region, od początku skazana była na ogromne problemy. To prawda, tak zwanych Ziem Odszyskanych było sporo, ale zauważmy: Warmia i Mazury, Śląsk Opolski, Dolny Śląsk, a także Pomorze Zachodnie – to krainy historyczne. Nawet jeśli zmieniły właścicieli, nawet jeśli utraciły dawną tożsamość, to budowanie nowej jest znacznie ułatwione, jak to pięknie pokazał na przykład Andrzej Zawada w książce *Dolny Śląsk – ziemia spotkania*. Dlatego ludzie, którzy znaleźli się tam po II wojnie światowej, stają się Ślązakami, Pomorzanami czy Mazurami. Ziemia, a także jej historia, określa w jakiś sposób ich tożsamość. Tymczasem tutaj jest o wiele trudniej, bo nawet ziemia utraciła swą definicyjną wartość. Można powiedzieć, że Ziemia Lubuska to swego rodzaju eksperyment, rzecz rzadko spotykana, a jeszcze rzadziej opisywana. Stworzono sztuczny region, wrzucono weń zebranych zewsząd ludzi i powiedziano: radźcie sobie. Potem, po wywiezieniu co cenniejszych rzeczy oraz cegły na odbudowę stolicy (choć nie odnajdziemy tu aż takiego barbarzyństwa jak w Nysie, która powinna zażądać wielomiliardowych odszkodowań od Warszawy za ukradzioną infrastrukturę), pozostawiono region samemu sobie (przed laty krążył nawet szyderczy dowcip: „Co to jest lubuskie? Lasek, piasek i Lembasek” – choć akurat Jan Lembas był dobrym gospodarzem). Toteż do dziś właściwie Lubuskie pojawia się w ogólnopolskich mediach w zasadzie tylko

Inhalten zu füllen. Na gut, da gab es zwar Mieszko I. oder Bolesław den Tapferen, es dürften vielleicht noch einige schlesische Piasten genannt werden (mit dem „bösen” Bolesław II., der das Lebuser Land, diesmal das richtige, an die heimtückischen Deutschen verloren hatte), aber was soll man mit den beinahe 600 Jahren der deutschen (und tschechischen) Anwesenheit machen? Das konnte nicht beiseite gelassen werden und so mussten sich die Kinder in dieser Region an Mieszko I. beziehen, und das war doch so lange her... Der Palast in Łańcut ist doch etwas ganz Anderes, als die Felder bei Cedynia. Die eine Geschichte scheint auf der Hand zu liegen, die andere eher an den Haaren herbeigezogen zu sein, zum Glauben, nicht zum kritischen Überprüfen. Daher gestaltete sich in den ca. 50 Nachkriegsjahren eine etwas gefährliche, wenn auch eindeutig aufgezwungene „Lebuser Heimatliebe”, bestehend darin, dass man den Großteil der Regionalgeschichte beiseite gelassen hatte und die Version konstruiert „genetisch gehörten diese Gebiete zu den Piasten, heute bauen wir ihnen eine polnische Identität auf”. Glücklicherweise gerät heute diese Denkweise in Vergessenheit, wenigstens auf unseren Gebieten. Umso verständlicher wird das Verhältnis des „übrigen” Polen zum Oder- und Wartheraum. Ein Verhältnis, das sich, wie ich glaube, seit 50 Jahren nicht geändert hat. Man muss sich nämlich vor Augen führen, dass das Lebuser Land, diese künstlich gestaltete Region, von Anfang an großen Schwierigkeiten ausgesetzt war. Es stimmt schon, er gab viele sog. „wiedergewonnene Gebiete”, es bleibt aber zu bemerken: bei Ermland und Masuren, bei Oppelner Land, Niederschlesien oder Westpommern handelt es sich um historische Regionen. Auch wenn sich der Eigentümer geändert hat, auch wenn die Ländereien ihre alte Identität verloren haben, so war der Aufbau einer neuen Identität, wie dies Andrzej Zawada in seinem Buch *Dolny Śląsk – ziemia spotkania* wundervoll aufgezeigt hat, viel einfacher. So konnten auch Menschen, die sich dort nach dem Zweiten Weltkrieg angesiedelt haben, sich als Schlesier, Pommern oder Masuren bezeichnen. Das Land, seine Geschichte, bestimmt ihre Identität auf eine ihr

w kronice policyjnej. No bo cóż tu może być ciekawego?

Gdyby teraz skupić się na mieszkańcach regionu – sprawy okażą się jaśniejsze. Przede wszystkim ważny stanie się przekrój społeczny tych, którzy tworzyli od początku tkankę tutejszych miast i wsi. Owszem, zdarzały się wyjątki, ale w większości byli to ludzie niezbyt dobrze wykształceni i rzadko mający doświadczenie w pracy administracyjnej. Ci bardziej wykształceni wsysani byli przez większe ośrodki, nie tylko władzy i administracji, ale też nauki i kultury. Czy ktokolwiek, mając do wyboru osiedlenie się we Wrocławiu, jechał dalej do Zielonej Góry, choć podróż pociągiem trwała wtedy dużo krócej niż dziś, bo poniemieckie torowiska były dobrze utrzymane? Albo całe wsie, przenoszone w leśne ostępy lubuskiego – nawet gdyby nie chcieli, ludzie ci musieli skupić się na bieżących potrzebach, a nie na wykształceniu. W miastach i miasteczkach było podobnie, a przedwojenny technik elektryk osprzętu lotniczego od razu zostawał szefem rejonu energetycznego, bo wiedział, jaki kabel połączyć z jakim (ten przykład też podaję z autopsji). Owszem, pozostało nieco autochtonów, ale oni byli, brutalnie niekiedy, wypierani i zmuszani do emigracji do Niemiec. I jeszcze jedno – edukacja i wiara. Pamiętajmy, że polski system szkolny i polskie struktury kościelne tworzyły się prawie że na pustyni. Szkolnictwa polskiego przed II wojną tu w zasadzie nie było, Kościół istniał, tyle że przede wszystkim protestancki. Dla ludzi zasiedlających region było to wyzwanie nie lada – brak kadry, pomocy szkolnych, podręczników, wątle i niestabilizowane struktury kościelne. W tej sytuacji przyjmowano wszystko, co narzucała rządząca partia – i uznawano jako swoje. Przecież innych odwołań do tradycji nie było, bo jeśli nawet w przestrzeni prywatnej kultywowano dawne zwyczaje, to w przestrzeni publicznej nie było na nie miejsca. Nie bez znaczenia było też stworzenie z regionu „niezatapialnego lotniskowca” Układu Warszawskiego – w końcu w lubuskich lasach, miastach i miasteczkach było najwięcej w Polsce garnizonów wojska, nie tylko polskiego. Pogardliwa,

eigene Art und Weise. Hier ist es viel schwieriger, denn auch der Boden hat seine definierende Rolle verloren. Man kann sagen, das Lebuser Land ist eine Art Experiment, ein selten anzutreffendes und noch seltener beschriebenes Phänomen. Man hat eine künstliche Region geschaffen, Menschen von allerlei Gebieten hereingebracht und gesagt: Findet euch zurecht. Anschließen wurde die Region, nachdem man die wertvollsten Gegenstände und Ziegelsteine für den Wiederaufbau von Warschau ausgeführt hatte (auch wenn man hier auf solche Barbarei, wie etwa in Nysa, nicht gestoßen hat; der letztere Ort soll von Warschau Entschädigungen in Milliardenhöhe für die dort gestohlene Infrastruktur verlangen), sich selbst überlassen, dem Volksmund nach konnte man hier bloß Wälder, Sand und billiges Brot antreffen. So wird die Lebuser Woiwodschaft in den polenweiten Medien eigentlich bis heute nur in den Kriminalchroniken erwähnt. Denn was soll es hier schon interessantes geben?

Würde man sich allerdings auf die Einwohner der Region konzentrieren – so klärt sich Vieles auf. Denn vor allem wird die soziale Herkunft derjenigen wichtig, die die Grundlagen der neuen Gesellschaften in den hiesigen Dörfern und Städten bildeten. Man kann natürlich von Ausnahmen nicht absehen, aber doch handelte es sich meistens um Menschen ohne Ausbildung und selten mit Erfahrung bei der Verwaltungsarbeit. Die besser Ausgebildeten wurden von den Verwaltungszentren angesaugt, nicht nur von den Behörden, sondern auch von den wissenschaftlichen oder kulturellen Einrichtungen. Würde denn jemand, der genauso gut in Wrocław leben konnte, weiter fahren, nach Zielona Góra, auch wenn die Reise damals kürzer dauerte als heute, weil die deutschen Gleise noch im guten Zustand waren? Oder man nehme ganze Dörfer, die in die Mitte der Lebuser Wälder umgesiedelt wurden: Auch wenn sie wollten, hatten sie keine Zeit für die Ausbildung, sie mussten sich auf die laufenden Angelegenheiten konzentrieren. In den kleineren und größeren Städten ging es ähnlich zu, ein Elektriker mit mittlerer Ausbildung, Spezialist für Flugzeugzubehör aus der Vorkriegszeit, konnte sofort zum Chef der Region des Stromlieferanten werden, nur weil er wusste,

choć niesprawiedliwa nazwa „Czerwonej Góry” nie wzięła się z niczego.

Z tym wszystkim musieliśmy sobie dać radę. Odbudować infrastrukturę, stworzyć instytucje, określić drogi rozwoju. A tu jeszcze chcecie wykształcenia jakiejs „lubuskości”! Pokolenie, by dojrzało, potrzebuje około 25 lat. Jeśli ktoś urodził się tu w roku 1945, dojrzałość osiągnął w roku 1970. Wtedy przyszło na świat pokolenie drugie, które w dorosłość wkroczyło w okolicach roku 1995. Jedno pokolenie, i do tego jeszcze obciążone genetycznie wspomnieniami domowymi, miało stworzyć lubuską tożsamość? Wolne żarty. Dopiero dorasta pokolenie trzecie, za kilka lat zacznie kształtować tkankę regionu. Rozliczać mieszkańców tych ziem można za jakieś dwadzieścia lat, nie wcześniej. Dlatego tutaj tożsamość nie jest stanem – jest procesem. Jak sądzę, powinno to być eldorado dla socjologów – obserwacja kształtującego się społeczeństwa. Zielonogórcy badacze, a także politolodzy, historycy i, od niedawna, literaturoznawcy pilnie obserwują wspomniane procesy i starają się je opisać. Zresztą nie sami, Europa z uwagą przygląda się tożsamościowym zjawiskom, w przeróżnych miejscach prowadząc intensywne poszukiwania. Dziwnym trafem najczęściej zjawiają się u nas, argumentując to właśnie fascynującymi procesami formacyjnymi. By nie być gołosłownym – na Wydziale Humanistycznym naszego uniwersytetu właśnie realizowany jest program europejski tożsamości miejsc – pod kierunkiem uniwersytetu w Caen pracujemy my oraz nasi przyjaciele z Helsinek, Porto, Gyoer i Moskwy. To chyba właściwsza droga.

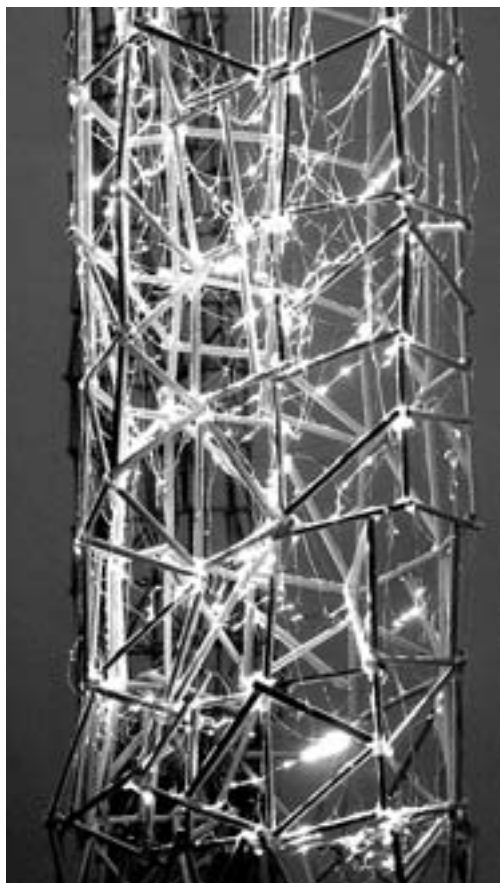
Jest więc lubuska tożsamość czy jej nie ma? Gdyby przyjrzeć się poszczególnym elementom składającym tożsamość, okaże się, że odpowiedź nie może być jednoznaczna. Z pewnością mamy jakiś konstrukt teoretyczny, jakieś domysły lubuskości. Nie odważyłbym się jednak powiedzieć wprost, że mamy hipotezę lubuskości. Trudno byłoby ją zweryfikować, albowiem czas, jaki upłynął od jej ufundowania, okazuje się zbyt krótki. Dokładnie dziesięć lat temu pisałem na

welches Kabel zu welchem am besten passen würde (auch ein Beispiel aus meiner Erfahrung). Naja, so mancher Deutscher war hier zwar geblieben, sie wurden aber, manchmal mit brutaler Gewalt, verdrängt und zur Ausreise nach Deutschland gezwungen. Und noch etwas: die Ausbildung und der Glaube. Wir dürfen nicht vergessen, sowohl die schulischen wie auch die kirchlichen Strukturen mussten hier von nicht auf errichtet werden. Ein polnisches Bildungswesen hat es hier eigentlich nie gegeben, eine Kirche war da, aber vor allem evangelisch. Für die hierher ansiedelnden Menschen war das eine klare Herausforderung – kein Personal, keine Lehrhilfen oder Schulbücher und instabile kirchliche Strukturen. So wurde alles, was von der regierenden Partei aufgezwungen, gern angenommen und als positiv bewertet. Es gab ja keine anderen Traditionen: Auch wenn man die alten Sitten im Privatkreis weiter pflegte, so hatten sie keinen Platz im öffentlichen Leben. Auch die Umwandlung der Region in einen „unsinkbaren Flugzeugträger” des Warschauer Paktes darf nicht unerwähnt bleiben – es stationierten in den Lebusener Wäldern, Städten und Dörfern besonders viele Soldaten – und das nicht nur polnische. Die so verächtliche, wie ungerechte Bezeichnung „Rotberg” kam doch nicht von ungefähr.

Mit alledem mussten wir fertig werden. Die Infrastruktur wieder aufbauen, die Institutionen gründen, die Entwicklungsrichtungen bestimmen. Und da will man plötzlich, dass noch eine „Lebusener Identität” entsteht! Eine Generation braucht etwa 25 Jahre, um reif zu werden. Wer 1945 geboren wurde, konnte sich erst um das Jahr 1970 als Erwachsener sehen. Dann kam die zweite Generation auf die Welt, die die Reife erst um 1995 erlangte. Sollte also eine einzige Generation, dazu noch genetisch mit den Erinnerungen an die alte Heimat belastet, eine Lebusener Identität entwickeln? Da ist der Scherz zu weit getrieben. Erst mit dem Heranwachsen der dritten Generation beginnt ein Gewebe der Region zu entstehen. Abrechnen mit den Einwohnern dieser Gebiete darf man in wenigstens 20 Jahren, vielleicht nicht später. Denn hier ist die Identität kein Zustand, sondern ein Prozess. Meiner Meinung nach – ein wahres Eldorado für die Sozialwissenschaftler: Die

łamach „Pro Libris”: „Tożsamość kulturowa Ziemi Lubuskiej wciąż się tworzy. Ten proces potrwa jeszcze długo, być może stulecia. Nie łudźmy się więc, że mamy coś takiego, jak kulturę regionalną. Dopiero możemy ją mieć. Wszystko będzie zależać od naszych dzisiejszych poczynań”. Myślę sobie, że niczego w tej wypowiedzi zmieniać nie trzeba, a dzisiejsze inicjatywy kulturalne, nie dotyczą jakiegś „kultury lubuskiej” – ale są elementem budowania, wieloletniego budowania tożsamości miejsca – rozpoznania będą więc siłą rzeczy indywidualne i naznaczone tożsamością odziedziczoną.

Mam tylko nadzieję, ale nie jest ona już tak bezwarunkowa jak kiedyś, że nasze późne wnuki jednak na Ziemi Lubuskiej będą kształtować swe losy. Chociaż – może to będzie Śląsk Północny?



Beobachtung einer sich gestaltenden Gesellschaft. Die Grünberger Forscher, aber auch Politologen, Historiker und, seit kurzem, auch Literaturwissenschaftler, haben sich diese Prozesse unter die Lupe genommen und versuchen, sie zu beschreiben. Nicht nur wir übrigens, das ganze Europa erforscht intensiv die Phänomene der Identität, an unterschiedlichen Orten. Erstaunlicherweise tauchen die Wissenschaftler meistens bei uns auf, so faszinierend seien nach ihnen diese Gründungsprozesse. Es reicht hier nur ein einziges Beispiel zu nennen: an der Geisteswissenschaftlichen Fakultät unserer Universität wird zur Zeit das europäische Programm „Identität der Orte“ realisiert: Unter der Leitung der Universität in Caen arbeiten wir mit unseren Freunden aus Helsinki, Porto, Gyoer und Moskau zusammen. Dies scheint der richtige Weg zu sein.

Gibt es also eine Lebuser Identität oder doch nicht? Schaut man auf die einzelnen Bestandteile einer Identität, dann kann die Antwort nicht eindeutig sein. Es besteht sicherlich ein theoretisches Konstrukt, eine Vorahnung der Lebuser Identität. Den Mut aufbringen und von einer Hypothese dieser Identität reden, könnte nicht doch nicht. Sie wäre noch nicht verifizierbar, denn es ist noch zu wenig Zeit ins Land gegangen, seitdem sie gegründet wurde. Vor genau zehn Jahren habe ich bei Pro Libris geschrieben: „Die kulturelle Identität des Lebuser Landes ist immer noch im Begriff, sich zu bilden. Dieser Prozess wird noch lange dauern, vielleicht ganze Jahrhunderte. Machen wir uns nichts vor, eine regionale Kultur haben wir nicht. Erst können wir sie haben. Denn alles hängt von unseren heutigen Taten ab“. Ich denke mir, ich brauche diese Worte um keinen Deut zu ändern, und die heutigen kulturellen Initiativen beziehen sich auf keine „Lebuser Kultur“ – sie bilden aber die Bausteine einer hiesigen Identität, die noch Jahre braucht; die Erkenntnisse bleiben heute individuell und von der geerbten Identität geprägt.

Ich kann nur hoffen, sie ist heute nicht mehr so vorbestimmt, wie früher, dass unsere Kindeskiner ihr Schicksal auf dem Lebuser Land weiterbilden werden. Oder vielleicht – ist das hier eines Tages Nordschlesien?

# Winne sprawy

(fragment)

Urodziłam się w samo Winobranie. Było ono zresztą jedynym akcentem, który pozostał z winnej tradycji po komunistycznej czystce w naszym – *nomen est omen* – winnym grodzie. Mama mówiła mi, że wieczorem słychać było jakieś mocno zaciągane śpiewy pod oknami dawnej porodówki na rogu alei Niepodległości, kiedy ona wyciskała mnie na ten najlepszy ze światów. Nie były to śpiewy mojego ojca, bo on śpiewał czystej wody tenorem. W tych czasach, kiedy zakłady organizowały swoim pracownikom życie również poza godzinami pracy, znalazło się coś odpowiedniego i dla śpiewającego taty: chór przyzakładowy. Ale śpiewać w chórze wolno było tacie tylko do momentu mojego przyjścia na świat. Potem śpiewał już wyłącznie dla mnie. Ja zaś wprawdzie nie weszłam ze śpiewem na usta w nowe życie, ale za to zaraz po udanym klapsie zakwiliłam – zgodnie z wypowiedziami świadków – jednoznacznie sopranem. Winobranie niezmiennie powracało corocznym pochodem winobraniowym, który różnił się od pierwszomajowego kolorami i postaciami, choć twarze czasem mi się myliły.

Ponieważ kultura picia wina nie była w tych czasach w Polsce kulturą panującą, wino nie interesowało również i mnie w żadnym gatunku i z żadnych owoców, choć dobrze znałam zapach wina z czarnej porzeczki, którego produkcję w ilościach przeznaczonych do użytku wyłącznie prywatnego ojciec doprowadził do perfekcji. Dopiero kiedy w ramach zerowej praktyki studenckiej wyłudowałam w Lubuskiej Wytwórni Win (oczywiście owocowych), coś, jakby pierwsze przeczucie, zaczęło przedzierać się do mojego całkowicie trzeźwego mózgu. Do dziś dziękuję losowi, że oszczędził mi wejścia w życie dorosłe na owocowo-winnym kacu. Pierwszy kontakt z tym specyficznym trunkiem zakończył się bowiem jego dość wstrzemięźliwą celebracją w piwnicy wytwórni jednym kieliszkiem „Liścia Laurowego”. Kto po przeczytaniu tego zdania wzruszy się i dyskretnie otrze łzę z oka, powinien mieć świadomość, że nie będzie w tym odosobniony. Całe pokolenia nie tylko zielonogórczan sprawdzały moc naszego trunku, nie pytając nigdy o rocznik, pochyl i wystawienie stoku czy jakość gleby. Wystarczyło, że było już zimne, gdyż jak wiemy, w butelki rozlewane było ono świeże, jeszcze ciepłe. Już same opary wina powodowały lekki zawrót głowy, a co dopiero ich płynne źródło?

A było tyle gatunków do wypróbowania! Jabłkowe, porzeczkowe, jagodowe czy truskawkowe, a nawet wspomniany wermut. Trochę jednak chyba żal tych win, prawda? Nasze wina owocowe były prawdziwymi unikatami – nikt na świecie ich nie znał. A u nas każdy przedstawiciel klasy robotniczej i mas pracujących mógł sobie nawet na nie pozwolić. Nie wszystkie jednak, jak na przykład wermut „Bachus” cieszyły się specjalnymi względami, bo taki pan Bolek, czyli miejscowy „kwach” (czytaj: fachowiec od



płynów alkoholowych wszelkiego rodzaju i przeznaczenia), tych „perfumów” pić nie chciał. – No tak, inne perfumy owszem, ale te inne miały więcej wolt, o czym wiedziało każde dziecko.

Praca w Wytwórni nie należała do bezpiecznych. Łatwo można było nadwyrężyć staw ramieniowy przekładając butelki – pełne! – z taśmy do skrzyń, ogłuchnąć pracując przy myjni butelek, przeziębic się nadzorując rozładunek ciężarówek, przywożących opróżnione już butelki do zakładu, albo zostać nałogowym wączaczem własnych... kaloszy. Kontrola jakości wina na końcowym etapie produkcji polegała na wypatrywaniu w napełnionych butelkach zanieczyszczeń, które przeoczone, mogły zdecydowanie obniżyć jakość szlachetnego trunku. Ponieważ pas produkcyjny tworzył w miejscu kontroli pionową pętlę, wino wędrowało przez niecałą minutę korkiem w dół ponad kolanami i kaloszami, czyli obuwciem ochronnym kontrolera. Chwila nieuwagi i już wylewające się z butelki niewystarczająco zamkniętej estetycznym i praktycznym plastikowym korkiem ciepłe wino trafiało do kaloszy. W ten sposób można było wprawdzie przemyć trochę trunku do domu, ale – szczerze mówiąc – po co?

Nazwy zielonogórskich win wzbogaciły nasz język codzienny. Niech przykładem będzie tu piękna, kaligraficznie pociągnięta nazwa krajowego wina, której do dzisiaj zawdzięczamy określenie „wina patykami pisanego”. A ileż piękna w swej prostocie miał swojski „Kwiat jabłoni”? Egzotyczne, obcojęzyczne nazwy zapraszały do pogłębiania wiedzy geograficznej. „Monte Verde” przypominało po włosku, że jesteśmy w Zielonej Górze, „Barkarola” wywoływało pytanie, jakiego Karola i czy go trzeba znać, ale chyba tak, skoro ma bar. A tymczasem było to wino białe owocowe słodkie – o, bardzo proszę. Dopiero potem wiedziona ciekawością, czy słowo to ma może jeszcze jakieś inne, może egzotyczne znaczenie, dowiedziałam się, że barcarola to taniec hiszpański, a dokładnie majorkański.

Gdyby zasięg oddziaływania rynkowego naszych średnioprocentowych produktów wyszedł poza granice kraju, naklejki tych owocowych wyrobów mogłyby spokojnie konkurować z reklamą zagranicznych wyrobów alkoholowych prostotą, wyborem motywu, lekką, ale dla nas całkowicie zrozumiałą aluzją, zanim zachodnia reklama stępiła krajowy instynkt estetyczny w latach dziewięćdziesiątych. Aż trudno dziś pogodzić się z faktem, że reklamą tak bardzo kiedyś gardziliśmy, podejrzewając, iż za nią krył się zawsze trefny towar. Towar dobry oczywiście mógł, a nawet musiał obronić się sam. Z dzisiejszej perspektywy stwierdzam, że nie były i nie są to bezpodstawne podejrzewania.

Dziś zapadła w ruderę siedziba dawnej Wytwórni czeka z godnością i stoickim spokojem na kompletny rozpad, bo rozbierać jej najwyraźniej nikomu się dotychczas nie chciało. Teraz po wpisaniu jej do rejestru zabytków, zmarnieje na pewno. A budynek pamięta przecież jeszcze czasy niemieckie. Wręcz trudno uwierzyć, że się ostał. Chyba tylko pegeerowska nadprodukcja jabłek uratowała go po powojennej zawierusze. A potem jakoś to szło.

\* \* \*

Pewnego dnia na wieczorze poświęconym polskiej literaturze w samym środku pięknego akwizgrańskiego muzeum zagadnął mnie starszy pan. Po kilku zdaniach nie wytrzymał i zapytał mnie, skąd pochodzę.

– Z Zielonej Góry, aus Grünberg. Ja, nicht aus Hirschberg. To jest Jelenia Góra.

Polska fonetyka stanowi dla Niemców jedną z większych przeszkód, zniechęcających ich już na początku do nauki naszego języka. Wielu dźwięków nie są w stanie usłyszeć, nie mówiąc o ich wymowie. Dlatego z uporem maniaka powtarzałam Grünberg in Niederschlesien, gdyż tak brzmiała pełna nazwa miasta przed wojną, choć powiązania z Dolnym Śląskiem miasto miało przejściowe.

Starszy pan chyba jednak nie słuchał zbyt uważnie, gdyż pokiwał głową i dodał:

– Aha, Riesengebirge, Sudety.

Już chciałam mu skoczyć do gardła. Mój lokalny patriotyzm choć dodaje mi siły, niestety czasem zabiera rozum. Nie wiedziałam, jak dotrzeć do jegomościa o siwych włosach i może nietęgim słuchu. W końcu udało mi się znaleźć cechą rozpoznawczą miasta:

– W Zielonej Górze uprawiano za czasów niemieckich winogrona. Wino! – dodałam głośniejszym głosem, sicher ist sicher.

Twarz starszego pana rozjaśniła się:

– Ach ja, tak, Grünberger Wein, zielonogórskie wino – i roześmiał się ucieszony, że znaleźliśmy wspólny mianownik. – Trochę kwaśne – dodał.

Ja też się uśmiechnęłam – i dodałam:

– Kwaśne, bo kwaśne, ale piliście je wtedy do upadłego. A ponadto miało być dobre na upały.

Pan Klaus Rossberg pamiętał, czego my nie pamiętamy, a najwyżej znamy z zapisów w źródłach historycznych. Tak, znał nasze wino. Jakie nasze? – przeszło mi przez myśl. Nasze to one na pewno nie były.

Po chwili dołączył do nas kolejny starszy pan dzierzący dwa kieliszki białego mozelskiego.

– Och, proszę wybaczyć, ale dla pani nie wziąłem, nie wiedziałem. Niech pani weźmie mój, zaraz przyniosę jeszcze jeden.

– Nie, dziękuję – powstrzymałam go przed zbędną wędrownką wśród gości spotkania. Nie znoszę mozela. I wszystko mi jedno, czy ktoś jest z niego dumny, czy nie. Mozelskie wino, szczególnie te podawane na podobnych imprezach, są niestety nieprzedniego gatunku i smakują tak, jakby tę odrobinę słodyczy ktoś w nich zostawił z miłosierdzia. Jest to bowiem słodycz zdradliwa – pewnie nie znosi miłosierdzia – gdyż po chwili w ustach zamienia się w ocet. Aż zęby mnie zaswędziały na wspomnienie pierwszych prób konsumpcyjnych. Owszem, są na pewno i dobre wino mozelskie, ale nie chciałam sobie niszczyć wątroby w poszukiwaniu odpowiedniego gatunku i rocznika, i szybko przerzuciłam się na włoskie.

Z tacy przechodzącej obok nas kelnerki chwyciłam kieliszek wody mineralnej, rocznik bieżący:

– Pozostanę przy wodzie, muszę wrócić do domu samochodem.

Panowie pokiwali ze zrozumieniem głowami.

– Posłuchaj Frank, ta pani jest z Zielonej Góry. To chyba gdzieś niedaleko twojego domu?

Nastawiłam ucha. Może teraz właśnie zaczyna się prawdziwa historia?

– Co pani powie? To pani jest z Grünberg? A ja proszę sobie wyobrazić – też. A właściwie z okolicy. Mhm, jak się nazywa Rothenburg...?

– Ten od tych Rothenburgów? – Klaus chce się upewnić, a ja świecę oczami. Jakich Rothenburgów? Nie śmiem zapytać, sprawdzę potem w internecie.

Tymczasem szukamy odpowiednika polskiego.

– No tam, niedaleko, jak się jedzie do Zillichau – męczy swoją pamięć starszy pan.

– Do Sulechowa? – pomagam.

– Ha, Czerwieńsk – rozpromienia się Frank. – Tak, tak go Polacy nazywali. Mieszkaliśmy koło lasu, już prawie w lesie. Ale jak w czterdziestym czwartym front się zbliżał, to rodzice zabrali nas i cały dobytek i uciekliśmy za Odrę. Do Frankfurtu.

Przysiadłam. Znam mnóstwo takich historii. I nie chce mi się znowu słuchać kolejnej, więc delikatnie przesuwam temat rozmowy, wskazując głową na kieliszek z winem.

– Ale co z tymi winami? Znał je pan? No, bo chyba nie pił ich pan w tym wieku?

Obaj roześmiali się. Mieli wtedy po naście lat, nie za wiele, bo nawet pod sam koniec wojny na front ich nie zabrali.

– A co tam. Podpijało się trochę, jak ojca nie było, a mama była w ogrodzie. W końcu nie byliśmy dziećmi – jakby na wspomnienie tych przeżyć Frank wypiął pierś, co Klaus skwitował mrugnięciem oka. Ale może był to tylko tik.

– Jakie wina piło się w tamtych czasach? Reńskie? Zielonogórskie?

Frank zachichotał:

– No nie. Reńskie były na specjalne okazje, a zielonogórskie, że tak powiem, na co dzień. Albo jak goście przyjechali i trzeba im było zaprezentować lokalne specjały.

– Smakowało?

– A gdzież tam! Kwaśne było. Najkwaśniejsze w całych Niemczech, ale latem dobre na upał. Chociaż nie wszystkie. Były też i dobre. Ale te były droższe. Albo musujące. Jak lemoniada! Lecker, smaczne!

– Słodkie?! – nieznacznie mnie rzuciło.

– Ależ skąd? Wytrawne – zachnął się – ale z bąbelkami, takie lubiliśmy. Te można było wykradać w kuchni wtedy, jak goście byli. Ojciec kupował je u Gremplera, w mieście.

Grempler, no tak. Jasne, każdy znał Gremplera. Chyba przesiedzę całą noc w internecie, żeby się doinformować. Frank jakimś sobie znanym sposobem zauważył po wyrazie twarzy moją lukę w wykształceniu i dodał, jakby na pomoc:

– Bo wie pani, to u niego wyprodukowali pierwsze wino musujące w Niemczech. Jeszcze w połowie dziewiętnastego wieku. Ojciec opowiadał mi to z dumą, jak już mieszkaliśmy w Niemczech Zachodnich. Nie mógł uwierzyć, że już tam nie wrócimy. Mama też nie. A lubiła to nasze wino.

Smutno mi się robiło, że nic nie wiem o winach zielonogórskich, z których ponoć pół Niemiec śmiać się miało. Bo kwaśne, jak mówią, również rozśmiesza.

\* \* \*

Po przyjeździe do Zielonej Góry od razu pomaszerowałam na ulicę Moniuszki. Coś tam chyba jeszcze musi stać w miejscu Winiarni z tamtych czasów? Jasne. Rudery są, nawet okazałe. Teraz świecą w blasku zachodzącego słońca, ale nijak nie chcą być malownicze.

Przysiadam na ławeczce wśród topoli. Wracam w moją przeszłość tak krótko związaną z tym miejscem i powoli zapominam, co się wokół mnie dzieje. Nagle słyszę jakieś chrobotanie, ciche trzaski łamanych gałązek. To pewnie Grempler wstał z grobu i chodzi wśród ruin. Chodzi, dziwi się i nie może zrozumieć, kto i dlaczego tak okrutnie się na nim zemścił. Na nim i na całym winiarstwie w jego Grünbergu. A ja dziwię się, że też sama mam wspomnienia z tym miejscem. I z winami, choć zdecydowanie innymi niż te od Gremplera.

Robi się ciemno. Stopniowo stapiam się z otoczeniem i zapominam się w nim. Znów słyszę jakieś hałasy. Słysząc parsknięcia koni, chrzęst uprzęży. To podjeżdża kilku konnych. Za nimi masa starych i młodych, na wozach i pieszo. Wozy terkoczą głośno, ich koła zrobione z drewna łoskoczą nieміłosiernie, otłukając kamienie. Ludzie mówią jakimś dziwnym językiem. Niederdeutsch czy niderlandzki. Niby niemiecki, ale jakiś inny. Są odziani w stare, długie do ziemi szaty. Dlaczego tak wyglądają? Czy to film? O czym? O średniowiecznych osadnikach wysłanych przez cesarza Fryderyka Rudobrodego na Wschód – projekt Drang nach Osten?

Cały ten trek zatrzymuje się o kilka kroków przede mną. Słyszę płacz dzieci i cichy śpiew matek, które próbują je uspokoić, a z dala dochodzą pokrzykiwania prowadzących wozy. Ktoś kogoś przywołuje.

– Wir bleiben hier – słyszę. – Tu zostajemy.

Jakiś mężczyzna czule trzyma niewielki tłumoczek w ramionach. Dziecko, myślę. I do tego malutkie. Ale dlaczego takie ciche? Śpi? Mężczyzna kładzie je ostrożnie na ziemi i na chwilę odchodzi. Jak on tak może? Nieludzki! Zaciekawiona wyciągam szyję i zaglądam w tłumoczek. Leżą w nim jakieś gałązki. Tyle czułości dla kilku gałązek?

– Gerda, pass auf die Weinreben auf!

– Ja, Jochen, is jut. – Gerda uważa, oczywiście. To ich cały majątek. Kilka sadzonek winnej latorośli. Przygarnęła je do siebie z taką samą czułością jak wcześniej Jochen. W jej oczach maluje się niepewność, strach przed nowym, nieznanym. Teraz tutaj zbudują swoje nowe życie. Jakie będzie? A może znowu będą musieli gdzieś wyruszyć, bo zabraknie dla wszystkich chleba?

Nagle słychać krzyk:

– Dieb, Dieb! Meine Weinreben! – Inny mężczyzna woła o pomoc, kilku towarzyszy podróży rusza z nim w pogoni za złodziejem, który pokusił się o kilka małych roślinek. Przestępstwo gospodarcze na miarę czasów. Ich głosy oddalają się.

– He, widziałas go? – słyszę blisko siebie nieprzyjemny głos starego mężczyzny, który chyba nie stroni od alkoholu.

– Kogo? – wybita ze snu na jawie automatycznie otwieram oczy i spoglądam w górę. Chcę wstać. Siedzę na ławce pod drzewami. Naprzeciw mnie ruiny Winiarni, a przede mną stary, lekko wstawiony obywatel. Patrzy na mnie i najwyraźniej czeka na odpowiedź. Wydaje mi się znajomy. Ale skąd ja mogę znać takiego faceta?

– Co się tak gapisz? – Facet ma rację. Porządna panienka nie patrzy na panów. Nie wiadomo, jak to zinterpretują. Powoli przechodzi mu wstępne napięcie, spięty wyraz twarzy łagodnieje.

– Napijesz się? – dorzuca pokojowo. Chyba mu brakuje towarzysza do kieliszka, względnie butelki.

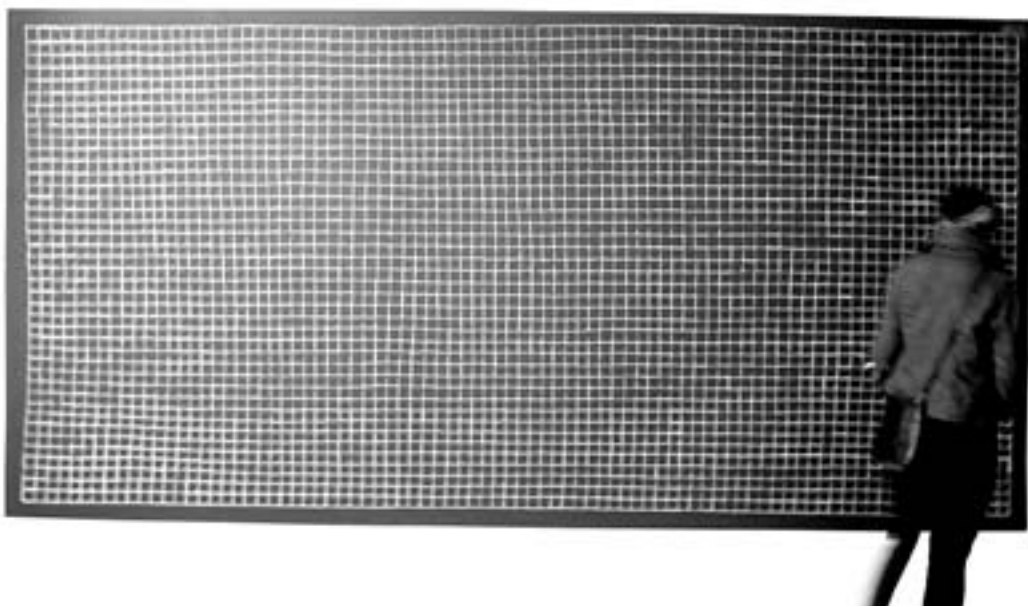
– Dziękuję za ofertę, ale może innym razem.

– Jasne, każdy tak mówi. Kiedyś to piliście. Wszyscy! – Wskazał głową na ruiny Winiarni. – Nie mogli się doczekać nowej partii „Patyka”. – Machnął ręką i odbił butelkę.

Spojrzałam w stronę Winiarni. Jakiś błysk, jakby promień światła przebił się przez moją niepamięć. Czy to może pan Rysiu? Ten sam grymas niezadowolenia. Znam go. Przecież on pracował na eksporcie. Tam gdzie były lepsze wina. Wina deserowe, które naprawdę smakowały. Powoli wstaję. Chyba jednak sobie pójdę.

– Do widzenia! – mówię na odchodne.

Zawsze należy się ładnie pożegnać. Nigdy bowiem nie wiemy, kiedy i jakich warunkach spotka się kogoś ponownie. Odchodzę, ale odwracam się raz jeszcze, jakbym chciała się upewnić, że nie stoi tam Jochen z sadzonką winnej latorośli w ręce. Kiwam głową i dziwię się samej sobie. Co za historia? I to nawet bez oparów wina owocowego!



**O niczym  
Żeby tylko coś napisać (1)**

Pustka w głowie

Włóżę się  
po przystankach autobusowych  
niby taki  
potencjalny klient  
czerwonych karoserii  
sprawdzam rozkłady jazdy  
przyświecając wypasioną komórką

Nie jadą  
w moją stronę  
nikt nie dzwoni

Jeszcze łyczek z piersiówki  
jeszcze raz *Lacrimosa*  
chciałbym ją na całe miasto

Nikt nie zapłaci  
za firankami bambosзовych mieszkań  
nad przystankiem linii 122

**O niczym  
Żeby tylko coś napisać (2)**

Jest obok  
słyszać krochmal koszuli  
syk zapalki

Dym z papierosa  
drażni nozdrza

Drze się  
gooooooooool gol gol

Ona  
otula się  
„Cieniem wiatru”

**O niczym  
Żeby tylko coś napisać (3)**

*Ono*  
jest jak taniec  
tarantella na linii lewej dłoni

Wiruje biegnie pędzi sady susy  
podgryzane w stopy podskakuje  
wierci się ma nadzieję

Wiem  
niczego nie dobiegnie  
oprócz tego rozgałęzienia  
u nasady palców



**O niczym  
Żeby tylko coś napisać (4)**

Pytasz jak minął dzień  
Tutaj miła gdzie jestem chmury niskie  
pada deszcz  
więc w kaloszach moje łożenie lasem

Zakołusuję nim wszystkie sprawy miasta  
ich ważność topię w kałużach

Jeszcze przez chwilę taplają się w koleinach  
po wielkich ciężarówkach wywożących drewno

Będzie z niego może jakiś stół

Na nim pół litra po czystej i poniewierające się ogórki  
jak przy tym niedogaszonym ognisku  
co to je drwale zostawili

Grzeję dłonie

Pytasz jak minął dzień

Później czytałem wiersze Kamila  
i książkę  
„Potępienie Paganiniego”

Wieczór kapryśny stanął u drzwi  
grałem mu Chopina

# To jest wojna

## Opowiadanie z cyklu „Brama”

Kiedy usłyszałem, że zabili Sosnę, nie mogłem w to uwierzyć. Zawsze myślałem, że to ja pierwszy zdechnę, a chłopaki z Sosną będą nieśli moją trumnę. Czasami wyobrażałem sobie scenę własnego pogrzebu i mowy, jaką on by wygłosił. Poważne, spuszczone głowy chłopaków, ręce splecione na wysokości pasa, wieńce i charyzmatyczny głos człowieka, który był moim przyjacielem. Gdy o tym myślałem, wiedziałem, że na zawsze pozostanę w sercach ludzi, którzy byli moimi braćmi. Stało się jednak inaczej.

O wszystkim dowiedziałem się od Młodego. Wychodzili z pubu po dwudziestej trzeciej, na parkingu stała beemka, a w niej dwóch asfaltów z Libii. Śmiecie przyjeżdżali tu kilka razy do roku, zajmując się przerzutem dziewczyn na Zachód. Wiedzieli o tym wszyscy, ale syjonistyczna policja nie robiła z tym nic.

Do fury podszedł Sosna i stanął przy drzwiach kierowcy. Zaczęło się, kiedy czarnuch otworzył drzwi i próbował wysiąść. Sosna zająbał z mae-geri i kierowca zalał się juchą. Zanim wyciągnął brudas z beemy, sprzedał mu jeszcze dwa profilaktyczne proste. Czarny zaczął nawijać coś po murzyńsku i drzeć się jak zarzynany bawół, ale wtedy doskoczyli nasi chłopcy. Podeszwy tańczyły po czarnym parkiecie, a śrubki od głąnów nasączały się krwią. Po kilku sekundach już tylko rzeził, a Młody powiedział, że to pewnie jakieś zaklęcia wudu. W tym czasie druga mała wypadła przez drzwi i zaczęła spierdalać.

– Dawaj go! – ryknął Sosna i chłopcy ruszyli za nim, pozostawiając nieprzytomnego Murzaja. Po kałużach zaczął strzelać ciężki odgłos podeszew w pościgu za ginącym za zakrętem brudasem.

– Jest w bramie! – zawołał Oskar, który pierwszy wbiegł za róg. Za nim byli pozostali. Kiedy wpadli do bramy, zobaczyli, jak brudas mocuje się z klamką od drzwi z domofonem, prowadzącymi na klatkę schodową. Jak tylko ich zobaczył, rzucił się do dalszej ucieczki, ale drogi na dziedziniec broniły zamknięte na kłódkę wrota. Wtedy odwrócił się do nich i wyciągnął z kieszeni klamkę. Nasi otoczyli go szczelnym tukiem. Napięcie rozładował Sosna, który uśmiechnął się do opony i powiedział:

– Po co ci ta pukawa, jebana kaszanko? Nie wzięłeś ze sobą może oszczepu?

Chłopaki, trochę uspokojeni, zaczęli się śmiać. Agrafka dopiął flek pod szyję, zbliżył się do bambusa pół metra. Wtedy asfalt w niego wycelował.

– Odłóż to, pierdolony pedale, bo cię tu, kurwo jedna, powiesimy! – rozkazał Sosna, wyłamał się z szeregu chłopaków i zrównał z Agrafką. Położył rękę na jego ramieniu i z uznaniem pokiwał głową. Potem przeniósł wzrok na brudas, którego drżąca ręka kołysała broń na wysokości szerokiego mostka Sosny. Nasz dowódca ruszył do przodu i wtedy stało się to, czego nikt się nie spodziewał.

Pogrzeb Sosny miał być jutro. Pięciu naszych zostało aresztowanych. Młody był tylko obserwatorem, poza tym miał 16 lat, więc szybko go wypuścili. Tylko w domu od ojca dostał wpierdół, ale nie powiedział o tym ani słowa. Kiedy zdawał mi relację z zajścia, na jego gładko ogolonej głowie zauważyłem ślady uderzeń. Spytałem, czy były problemy na komisariacie, a on zaprzeczył ruchem głowy.

Usiadłem na ławce i popatrzyłem na puste aleje parkowe. Z nieba prosiły deszcz, wilgoć docierała pod kołnierz mojej kurtki. Wyciągnąłem z plecaka piwo i położyłem plecy na oparciu ławki. Przed oczami wciąż miałem Sosnę. Na mojej twarzy osiadała wrześniowa wilgoć, przez gardło płynął gorzki posmak chmielu.

– Gdybym tylko z nimi wtedy był – pomyślałem – wszystko wyglądałoby inaczej. Powinienem z nimi być, wtedy i zawsze. Czy to nie oznaczało, że byłem zdrajcą? Wiem przecież dobrze, że od czasów studiów mogłem być z nimi częściej. Zwłaszcza z Sosną. I że cierpiać za każdym razem, kiedy mówiłem, że mam dużo nauki.

Kurwa mać, pamiętam ten dzień, jakby to było wczoraj. Byłem wtedy gówniarzem o dwa lata starszym od Młodego i w uliczce dopieprzyło się do mnie czterech meneli. Zaczęli najpierw na mnie bluzgać, potem jeden z nich kopnął mnie w plecy. Odwróciłem się i zająbałem mu. Tyle że zostało ich jeszcze trzech. Klapsy spadały ze wszystkich stron, zupełnie nie wiedziałem, co się dzieje. Nagle koło mnie zaczął się jakiś wir, usłyszałem krzyki i na ziemi obok mnie wyłożył się jeden z tych, co mnie tak napierdalali. Usłyszałem oddalające się w panicznej ucieczce kroki. Podniosłem głowę i zobaczyłem nad sobą ogoloną głowę chłopaka w moim wieku. Podał mi rękę i powiedział:

– Sosna jestem. Żyjesz?

I tak to się z nami zaczęło.

Teraz on nie żył, a ja siedziałem samotnie na ławce mojego rodzinnego miasta, w najpiękniejszym państwie na świecie. Upiłem tyk z puszki i podparłem głowę na dłoni. Ponad głowę świergotały wróble, które nigdy stąd nie odlecą. Nawet w najostrzejszą z zim, przystrojone w szary mundur piór, ćwierkać będą na oblodzonych soplami gałęziach, niezależnie od tego, jakie tropikalne wygody zapropnują im nad Nilem.

Tak bardzo wiele mu zawdzięczałem. Był moim przyjacielem i jednym z niewielu bohaterów naszych czasów – jedynym, jakiego znałem.

Nasza przyjaźń nie narodziła się w ławce szkolnej, nie chodziliśmy razem na basen, nie jeździliśmy na wspólne wycieczki rowerowe. Łączył nas jeden duch i jedna wiara – wiara w lepsze jutro i wiara w Polskę. W to, że kiedyś uda się tu stworzyć kraj w pełni wolny i suwerenny, niezależny od komunistów, syjonistów czy Brukseli. Marzyliśmy o Polsce, w której dzieci będą mogły bezpiecznie chodzić do słowiańskiej szkoły, uczyć się naszej historii bez zakłamania, nie będą faszerowane ani narkotykami, ani propagandą. Mieliśmy nadzieję, że drapieżny żydowski kapitalizm zostanie starty z powierzchni ziemi, a w rządzie zasiadać będą uczciwi Polacy nieskażeni żydowsko-komunistycznymi korzeniami. Chcieliśmy polskiego prezydenta, kierującego się interesami rodaków, a nie rozkazami z Kremla czy innego miejsca na Ziemi. Pragnęliśmy pracy w Polsce dla Polaków, w Polsce wolnej od żebrzących Rumunów i przenoszących AIDS pedałów. Kraju szanującego i pielęgnującego tradycje, wartości miłości i braterstwa.

Przymknąłem oczy i dokończyłem piwo. Wyobraziłem sobie, że jest rok 1939, wrzesień. Siedzę z Sosną w okopie. Pada deszcz. Mgła. Oddechy przykucniętych żołnierzy. Chłodna stal karabinu. Z oddali słychać odgłos zbliżających się czołgów. Na hełmie Sosny orzeł z koroną. Na twarzy koncentracja i szlachetna duma, w oczach powaga. Patrzymy na siebie w milczeniu. Zaraz się zacznie. Muzyka karabinów maszynowych, pierwsze krzyki rannych.

Otworzyłem oczy i uśmiechnąłem się do siebie.

To były czasy... Potrafiliśmy żyć i umierać. Potrafiliśmy walczyć. Było o co. I nikt nie miał wątpliwości, że warto ginąć za wyższe wartości. A teraz nawet Skalski umiera w zapomnieniu i wszyscy mają to w dupie, o ile oczywiście wiedzą, kim w ogóle był.

Wcisnąłem play w walkmanie. Ze słuchawek popłynął dobrze mi znany refren Ekspansji z piosenki *Walcz do ostatniej kropli krwi*:

„Nie daj się, wciąż przed siebie idź.

Walcz, walcz, do ostatniej kropli krwi.

Pokaż, że i ciebie na coś stać.

Jest na coś stać.”

Zawiązałem mocniej białe sznurówki przy glanach i wstałem z ławki. Wyrzuciłem pustą puszkę po piwie do kosza i wyszedłem z parku. Na dziewiętnastą byłem umówiony z naszymi w Twierdzy Orłów – tak nazywaliśmy miejsce naszych spotkań: piwnicę w zamkniętej dziesięć lat temu fabryce.

Na miejscu byłem kilka minut przed czasem – przeskoczyłem ogrodzenie oddzielające ulicę od placu, na którym niegdyś dumnie dymiła fabryka, a w niej ciężko pracowali robotnicy. Teraz pozostał tylko szary szkielet polskiego przemysłu, efekt polityki złodziei i Żydów. Popatrzyłem przez chwilę w porozwalane okna, w których jeszcze gdzieśgdyś pozostawała zamglona szyba, i przebiegłem przez plac w kierunku zamkniętych na kłódkę metalowych drzwi. Wyciągnąłem klucz i przekręciłem go w zamku, który ustąpił po lekkim chrząknięciu. Zatrzasnąłem drzwi za sobą i po ciemku szedłem po schodach. Na dole szybko odnalazłem włącznik światła i dwie gołe żarówki oświetliły pomieszczenie – nasz sztab, klub, siłownię, po prostu Twierdzę Orłów.

Przypomniało mi się, jak żeśmy to wszystko zaczęli razem urządzać. Najpierw tylko ja z Sosną, potem szybko dołączyli inni: Kondor, Marek, Bużka i Agrałka, koledzy Sosny z technikum, a w rok po nich Justysia, Karolkuś i Adam. Kiedy do nas przystał Oskar i Młody, wszystko było już gotowe, łącznie z zamykaniem na górze i ugadana sprawą z dozorcami.

Pierwszą rzeczą, jaką żeśmy tu z Sosną przytargali, była biało-czerwona flaga, na której widniał krzyż celtycki, portret Marszałka i cztery krzesła ode mnie ze strychu. Później doszły kolejne sprzęty: stół, stary magnetofon, regał na książki, worek treningowy, ławeczka, sztanga...

To właśnie tutaj Sosna wprowadzał mnie w całą ideę skinheads. Dawał konkretne lektury, potwierdzające zasadność narodowego ruchu. Słuchaliśmy Legionu i Konkwisty 88, rozmawialiśmy o historii Europy i żydowskiej zgniliźnie pożerającej społeczeństwa, które musiały się przed nią bronić od Torquemady po Hitlera.

Czułem, że dopiero wtedy zaczynam żyć. Świat, dotychczas porozrzucany, zaczął nabierać klarowności, wszystko zaczynało układać się w jedną, spójną całość. Byliśmy kwiatem polskiego rycerstwa, powołanym do wyzwolenia kraju z władzy komunistycznych czerwonych świń, tak jak powołany był Roland do obrony Królestwa. Życie nabrało dla mnie nowego sensu, w którym zapanował ład i porządek.

Tylko że teraz nie było już z nami naszego przywódcy.

Rzuciłem plecak pod ścianę, zawiesiłem kurtkę na oparciu krzesła. Podeszedłem do worka treningowego i zacząłem w niego tłuc. Lewa, lewa, raz, dwa, trzy i prawy sierpowy.

Kiedy już mocno się zgrzałem, wyciągnąłem z plecaka drugiego browca. Był mocno spieniony, ale czego nie robi odpowiednie przygotowanie. Od razu po jego otwarciu przyłożyłem usta do chłodnego aluminiowego otworu.

To prawda. Nie zawsze wszystko ze mną i z Sosną układało się tak, jak powinno. Po technikum zacząłem studiować historię, wtedy też nasza więź zaczęła się powoli rozluźniać. Poznałem nowych ludzi i do Twierdzy Orłów przychodziłem rzadziej. Poza tym to właśnie wtedy Sosna zwerbował Karolkusia, jego dziewczynę Justynę i brata Justyny – Adama. Karolkuś nie miał pojęcia o idei skinheads, był za to kibolem i uwielbiał się napierdalać. Justysia go kochała, więc przychodziła także, a za nimi Adam. Nie lubiłem ich, nie potrafiłem szanować. Gdyby ktoś zapytał ich, kiedy były rozbiory Polski, nie umieliby na

to pytanie odpowiedzieć. W Twierdzy zawsze jednak coś się działo i było gdzie usiąść. Dlatego tu byli. Kiedyś więc wziąłem Sosnę na bok i powiedziałem:

– Po chuj nam ci idioci? Przecież oni nie są tacy jak my. Karolkuś to zwykły dresiarz, a nie rasowy wojownik. Sosna, co ty odpierdalasz? A Justyna? Kurwa, przecież ona nie ma o niczym pojęcia.

Sosna popatrzył na mnie uważnie i powiedział z naciskiem:

– Potrzebujemy szeregowych żołnierzy, nawet takich, którzy nie do końca rozumieją sens naszych działań.

– To zajebicie, Sosna, dobrałeś sobie naprawdę zgraną drużynę. Jak długo z tobą będą?

– Dłużej niż ty, Darek – odpowiedział i odwrócił się do mnie plecami.

Wyszedłem.

Później było jeszcze gorzej. Miałem sesję egzaminacyjną, zacząłem wychodzić z ludźmi z grupy na piwo. Rozmawialiśmy o różnych rzeczach, o polityce, o Polsce. I znowu wszystko zaczęło być wieloznaczne. Różne ujęcia tematu, rozmaite stanowiska. Byłem wściekły na siebie i na Sosnę, na cały zaszary świat. I na Żydów. Chodziłem jak zbity pies, nie wiedząc, co się wokół mnie dzieje, a w moim wnętrzu wciąż rościło uczucie pustki. Spotkania z chłopakami stały się rzadkością, w ogóle mało wychodziłem z domu, czasami tylko na trening krav magi, żeby się wyżyć. Trwało to blisko rok.

Wszystko zmieniło się ponad dwa tygodnie temu, na urodzinach Sosny. Kupiłem mu na Allegro rzecz, o której marzył: niemiecki bagniet z 1939 roku. Impreza była, rzecz jasna, w Twierdzy Orłów, przyszli wszyscy. Łało się trochę wódki, siłowaliśmy się na rękę. Przez większą część wieczoru milczałem, a Sosna podziękował mi tylko za prezent i nie odzywał się do mnie także. Kiedy wszyscy zaczęli się zbierać, Sosna powiedział, że odprowadzi mnie do domu.

Szliśmy ciemnymi uliczkami po brudnych dzielnicach miasta, na dworze uderzało duszne powietrze sierpnia. Maszerowaliśmy krok w krok, ale żaden z nas się nie odezwał. Co jakiś czas Sosna rzucił mi tylko przelotne spojrzenie, a ja patrzyłem przed siebie. Kiedy zbliżaliśmy się do mojego bloku, Sosna zaproponował to, na co czekałem od dawna:

– Chodź, weźmiemy jeszcze po jednym piwie i staniemy za rogiem.

– Jasne.

Browary kupiliśmy w całodobowym monopolu i poszliśmy usiąść na schody przed remontowanym kinem. Otworzyłem piwo i oparłem się o poręcz, a Sosna usiadł na najwyższym schodku.

– Zaczynamy cię nudzić, co? – spytał Sosna, chociaż obaj wiedzieliśmy, że to nieprawda.

– Wyrosłeś z tego? Dałeś się przekonać kilku książkom Żydków, że nie ma czegoś takiego jak wspólny syjonistyczny interes? Uśpiła cię propaganda, co? Nasłuchiłeś się głosu tych, którzy w nic nie wierzą. Przyjąłeś ich słowa za prawdziwe i teraz wydają ci się śmieszny – kontynuował. Czułem się jak na przesłuchaniu.

– Darek, co się z tobą dzieje? Mieliśmy walczyć, wytrwać, a ty odpierdalasz dezercję. Nie lubisz Karolkusia, bo jest debilem? Ja też go nie lubię. Ale jest nam potrzebny, kiedy nadejdzie czas przewrotu, czas puczu. I wtedy potrzebna będzie siła, bo ze słabym nikt się nigdy nie liczył.

– Sosna, jakiego puczu? Jakbyś nie zauważył, to mamy demokrację – powiedziałem nieswoim głosem. To, co mówiłem, to nie były moje poglądy. Nie wiem, jakie one miałyby być. Wszystko wirowało mi w głowie, więc po prostu mówiłem coś, w co wierzyłem, coś, w co nie wierzyłem. – Co chcesz zmienić? Polskę? Ale jak? Napierdalając Wietnamczyków, bo otworzyli budkę z żarciem? Chcesz zrobić rewolucję dla obywateli wbrew tym obywatelom? Uszczęśliwiać ich na siłę? Czy nie myślisz, że to oni powinni decydować, kto ma nimi rządzić?

– Kurwa, ale naród jest głupi. Potrzebuje przebudzenia i silnego przywódcy.

– A może to narodowi dasz prawo do decydowania o tym.

Wtedy Sosna postanowił dać mi lekcję. Taką, którą zapamiętam do końca życia.

– Chodź za mną – powiedział i błyskawicznie wstał. – Pokażę ci, jaki jest ten twój demokratyczny naród.

– A ty jesteś inny?

– Obaj jesteśmy.

– Nie wydaje mi się.

– No to się przekonasz.

Sosna szedł pewnym, twardym krokiem w stronę rockowego pubu, a ja byłem tuż za nim. Często nazywaliśmy to miejsce wylegarnią szmacciarzy albo pedalskim klubem. Było już naprawdę późno, ale na zewnątrz na murku siedziały cztery osoby, trzech chłopaków i jedna dziewczyna. Sosna podszedł do nich i strzelił dwa razy czerwonymi szelkami. Rozmowy na murku ucichły. Tamci ubrani byli w sposób, który nazwałibym indywidualnym, a ja po prostu subkulturowo-gównianym. Zgniłozielone bluzy i koszulki, plecaki z naszywkami metalowych i punkowych kapel, porozdzierane spodnie, symbole konopii indyjskiej i pacyfki. Byli mniej więcej w naszym wieku i wyglądali na mocno zdenerwowanych. Sosna imponował posturą, a w jego oczach paliły się niebezpieczne ogniki.

– Co jest, cioty? – zapytał spokojnie. – Jak mija wieczorek?

– W porządku – odpowiedział jeden z nich, chłopak w poskręcanych w dredy włosami.

– A jakbym tak ci pierdolnął, to też byłoby w porządku? – zapytał Sosna. – Co na to powiesz, cwelu? Wszyscy milczeli, czekając na dalszy rozwój wypadków, w powietrzu wisało wysokie napięcie.

– OK, piździuszki – mówił dalej Sosna – jeśli któryś z was stanie ze mną na solo, stoczmy dwie rundki i już nas nie ma, jeśli nie, wpierdol dostaniecie wszyscy. A zacznę od tej szmaty – powiedział i wskazał palcem na przestraszoną dziewczynę.

– A umiesz coś poza tym, że się bijesz? – spytała twardo. – Tylko w tym jesteś taki dobry?

Sosna roześmiał się szczerze i głośno, a ja już wiedziałem, o co mu chodzi.

– No co jest, dziewczynki, panienka musi was bronić? – zapytał Sosna, ignorując jej słowa. – To dziewczyna kogoś z was?

– Tak, moja – odpowiedział cicho chudy chłopak o cienkim głosie.

– No, to chyba ty ze mną stanieś, co? Nie stanieś w obronie swojej pidzy?

– Weź się uspokój – rzucił ten w dredach i wstał z murku.

Sosna wyprowadził krótkiego strzała na wysokości szczęki dredziarza i ten spłynął momentalnie.

– Nie było pozwolenia, by wstać – odrzekł spokojnie. – A teraz porozmawiamy poważnie – dodał i wyciągnął zza pleców otrzymany ode mnie bagnet.

Bluzgał ich konkretnie i długo. Powiedział, co myśli o ich rodzinach do trzeciego pokolenia wstecz, określił większością obraźliwych słów, jakie znałem. Jębał ich coraz bardziej, a w nich była coraz większa rezygnacja. Kazał im zedrzyć naszywki i podeptać, a potem jednemu z nich odlać się na nie. Ten zrobił to, kiedy do szyi Sosna przystawił mu bagnet. Mógł zrobić z nimi dosłownie wszystko, ale wiedział, że przecież już wiem, że rozumiem.

– Dobra, wypierdalać – rzucił do nich na koniec. – Szybciej, bo się rozmyślę.

Kiedy znikali za kamienicą, Sosna ukucnął i złożył razem otwarte dłonie.

– Jeszcze godzinę temu ich rockowi idole byli dla nich bogami. Pierdolili o wolnej miłości i mieli przekonania, że to, w co wierzą, jest ważne. I wytkócaliby się z tobą, że nie masz racji, jeśli myślisz inaczej. Paliliby przy tym papierosy, mówili o swoich poglądach i o tym, że to jest dla nich najważniejsze. Ten chudy wypierdoleniec co jakiś czas pocałowałby tę swoją lalę, a ona byłaby przekonana, że on robi dla niej wszystko. A mnie wystarczyło piętnaście minut, żeby pokazać, że jej miodzio chłopiec kocha ją tylko w komforcie oparów haszu, że dredziarz nie ma przyjaciół i nawet jakbym ożenił go z bagnetem, oni by nawet nie

drgnęli. Darek – kontynuował – czy myślisz, że oni byli w szoku? Że się jutro, za tydzień, za rok otrząsną i przyjdą mi dojechać? Nie, oni o tym zapomną albo sobie to jakoś inaczej wytłumaczą.

Sosna pokiwał głową i wstał.

– Idź już do domu – rozkazał – i weź go ze sobą – dorzucił, podając mi rękojeść bagnet SS. – Dasz mi go, kiedy znowu będziesz gotowy.

Chwyciłem broń, wsunąłem za prawy but i przykryłem go nogawką bojówek. Popatrzyłem jeszcze na Sosnę i odszedłem. W gardle ścisnął mnie żal, pod oczami gromadziły się łzy. Tak wyglądała ostatnia rozmowa z moim przyjacielem.

Na schodach za sobą usłyszałem kroki. Odwróciłem się i zobaczyłem schodzących po nich chłopaków. Marek podniósł dłoń do czoła w salucie, a Młody wystrzelił w powietrze prawą rękę. Podrzuciłem dłoń w geście powitania. Byli wyraźnie przybici. Marek wszedł do sali ze spuszczoną głową, Młody włożył ręce do kieszeni.

– Gdzie państwo młodzi? – spytałem ironicznie.

Marek wzruszył ramionami. Pewnie za chwilę będą, powiadomiłem ich.

– Dobra – powiedziałem – zaczynamy bez nich, jest punkt dziewiętnasta.

Marek wyciągnął flaszkę ze swojego marynarskiego worka, Młody wyjął drugą z bocznej kieszeni spodni. Trzecią wyciągnąłem ja. Odkręciliśmy butelki i stuknęliśmy się nimi ponad głowami.

– Chwała i cześć poległym wojownikom – rzekł Marek.

– Ku chwale ojczyzny – dodał Młody.

– Nie zapomnimy o tobie nigdy, Sosna – powiedziałem od siebie.

Wypiliśmy po siarczastym łyku.

– Co robimy? – spytał Młody.

– Jutro idziemy na pogrzeb – odpowiedziałem wymijająco. – Zamówiłem wieniec.

– Ale co dalej? – ponowił Młody, któremu łamał się głos.

– A co ma być dalej, kurwa? – odezwał się Marek. – Przecież Sosna nie żyje. Ja tak nie chcę skończyć. Dość bawienia się w partyzantkę. Pieprzę to. Gdybym z nimi wtedy był, pewnie też bym siedział za pobicie, tak jak Agrafka, Oskar, Kondor... Albo to ja bym zginął.

Nigdy nie uderzyłem żadnego z chłopaków. Nigdy wcześniej. I nigdy później.

Stał do mnie bokiem. Wystrzeliłem z dyni, rozcinając mu łuk brwiowy, potem wszedłem z łokciem. Marek zamachnął się niezdarnie, ale byłem szybszy, jak zawsze szybszy jest człowiek, który jest do samego końca przekonany o słuszności tego, co robi. Uderzyłem go w splot słoneczny, poprawiłem na lewą nerkę. Potem weszły nogi. Najpierw kopałem na wysokości kolan, a kiedy jedno z nich trzasnęło jak pęknięta zapalka, uderzenia poszły na korpus. Kiedy Marek chwiały się zwinięty wpół, dopadł go Młody. Zaprawił go hakiem od dołu na maskę, a ja pizgnąłem jeszcze raz kolanem. Wreszcie Marek się wyjechał i zaczął zastaniać rękami twarz, wijąc się przy tym jak żydowska glista.

– Dosyć! – wydarłem się. – Dosyć – powtórzyłem ciszej. – Już dosyć...

Młody odsunął się od naszego wspólnego byłego towarzysza.

– Dwie flaszki się zbiły – powiedział, wskazując na ciemne plamy na ziemi w towarzystwie porozbijanego szkła. – Ale ja swoją uratowałem – sprostował i z udawanym uśmiechem podał mi wódkę.

Pociągnąłem kilka głębszych i oddałem butelkę Młodemu.

Moje skronie pulsowały ogniem, w oczach paliła się nienawiść. W uszach bębnił ciężki jęk rannego towarzysza. Koło mnie, przy oknie, kucał Sosna w mundurze polskiej piechoty. Był rok 1939. Wystawiłem lufę karabinu maszynowego przez okno i zacząłem ostrzalać krótką serią. Sosna wsuwał pociski do maga-



zynka swojego pistoletu. Za nami stała radiostacja, z której ostatni rozkaz przed jej zniszczeniem brzmiał: utrzymać stanowisko.

– Darek, oni nie przyjdą? – zapytał Młody, patrząc w stronę schodów.

– Zapuszkowali Adama, więc Justyna będzie miała o to pretensję do nas, a Karolkuś... Tacy jak on zawsze poddają się pierwsi.

– Ale ty... Ty nie, prawda, Darek? Teraz ty się wszystkim zajmiesz? Sosna by tak chciał. Na pewno. Ja zresztą też. A chłopaki wyjdą i będzie jak zawsze. Tylko bez Sosny. Ale jego pożegnamy i będzie w porządku, nie? Darek? Darek?

– Nie będzie w porządku – odpowiedziałem z bólem. – Nigdy nie będzie w porządku.

– Ale... No co ty? Chcesz tę sprawę tak zostawić, tak żeby śmierć Sosny poszła na nic? Przecież sam wykurwiłeś temu zdrajcy. Chcesz to tak zostawić? Darek?

– To nie ma znaczenia, Młody, czego ja bym teraz chciał – powiedziałem i zamyśliłem się.

Jutro w sosnowej trumnie spocznie mój przyjaciel, a wraz z nim część naszej historii, mojej i jego. Ale póki będę żył, on będzie żył także.

Gdzieś tam, za ogrodzeniem naszej fabryki, w najpiękniejszym państwie na świecie, czarnym BMW wciąż jeździ jakichś dwóch pierdolonych czarnuchów.

– Darek... – naciskał zdeorientowany, zdenerwowany Młody.

– Chcesz wiedzieć, czy to tak zostawimy? Powiem ci, Młody. Są jeszcze na świecie ćpuny, kłamliwi Żydzi i jebani Libijczycy, handlujący polskimi dziewczynami. A to oznacza jedno, Młody, tylko jedno. To oznacza, że to jest wojna – powiedziałem i wyciągnąłem z buta bagnet Sosny, do którego noszenia byłem wreszcie gotowy.



**Ciennie i głogi**

Co też z nami będzie  
tyle lat niepewnych  
wciąż jesteśmy sami  
przyszłość nieotwarta  
a czas przeszły niepokonany

\*

Co się z nami stało  
niepewność zastana  
z brzemieniem samotności  
życia czas mataczy  
w zaułkach nie do rozpoznania

15.02.2011

**Dotyk słońca**

Przez chwilę oto  
słońce przebiło chmury  
złocąc na stawie  
wiotkie źdźbła trzcin –  
my się skłaniamy  
ku wodzie

### **Przemienność**

Zapisani  
w księdze pytań  
odnajdujemy  
co odkryte  
i co zakryte:  
życie – śmierć  
Więc jakie znaczenie  
ma pod koniec  
dal zapomnienia  
gdy gorzko w ustach  
i wzrok zamglony:  
miłość – nienawiść

**Jagodowe wzgórze**

Jagodowe wzgórze  
jest przed tobą  
jak i ta wieża  
o każdej porze  
doglądająca  
czterech stron lasu

Tu kosy donoszą

# Nous sommes les Polonais

(fragmenty powieści)

– Wróciliście... – Zima nawet nie patrzy w naszym kierunku, gdy wchodzimy do zatłoczonego pokoiku. Wkurwiają go te nasze nocne eskapady. Po tym, jak Renata dała mu kosza, chce się nas pozbyć z mieszkania wynajmowanego od Żyda – Reisefibera. Jutro rano mamy się stąd wyprowadzić. Warunek: Zima odda mi sto trzydzieści euro. Tyle zostało z mojej miesięcznej wypłaty. W sam raz na wyprawę do Paryża.

– Co wy tam robicie przez tyle czasu? – Zima zaciąga się marihuaną. Wzrok utkwił w ekranie laptopa. Odtwarzał się na nim jakiś nagrany cyfrowym aparatem filmik. W rolach głównych – Zima i jego przydupasy z Zadupia Niewielkiego na Pomorzu.

Gdyby to był film, właśnie tak powinna wyglądać jego pierwsza scena. Tyle że to nie był film, to była emigracyjna rzeczywistość. Nie sądziłem, że określenie „emigrant” będzie kiedykolwiek odnosiło się do mnie. Emigracja kojarzyła mi się banalnie – z tą romantyczną migracją Mickiewicza i innych wieszczów. Moja była znacznie bardziej przyziemna, bo zarobkowa.

– Pieprzmy się, ile wlezie – prowokowałem go. – Tutaj mamy za mało prywatności – zrobiłem aluzję do nowych mieszkańców – Głupczasa i Bumera.

Zima dotąd był jedynowładcą w tym stadku hip-hopaków. Zima Warchoł i jego Garbarnia. Zajmowali się hip-hopem. Ale kręcili też niewielkie filmiki. Chyba tylko niczego nie malowali.

Nie udało mu się mnie podporządkować. Myślał, że mu łatwiej pójdzie. Ot, biedny polski pisarz. Nie wiedział, że kiedyś grałem w piłkę. Byłem wówczas, mimo młodego wieku, liderem zespołu. Grałem na pograniczu faulu. Potem robiłem lewe interesy we Lwowie. Nieźle sobie radziłem w handlu podrabianymi kartami telefonicznymi we Wrocławiu, gdzie pracowało dla mnie trzydzieści kilka osób. Trafił twardy gość (za takiego się uważałem) na twardego gościa (o sobie tak mniemał Zima).

– Nie wysypiasz się, a potem odpiędasz fuszerkę w robocie – mówił, jakby to on był właścicielem garbarni i skupu skór, a nie Reisefiber.

– Nie wysypiam się, bo... Zrozum, trudno zasnąć, jak się do ciebie przytula taka laska jak Renata... – zerknąłem na moją kobietkę. Cieszyła się, że wreszcie się stąd wynosimy. Przez ostatni miesiąc znajdowała się w trudnej sytuacji. Nie mogła znaleźć pracy – jedyne rozsądne propozycje dostawała od właścicieli burdeli. Siedziała więc przez cały dzień w domu, nie mogąc się doczekać, kiedy wrócę z roboty. Pospieszenie brałem prysznic, żeby zmyć z siebie odór bydlęcych skór, na których znajdowały się resztki rozkładającego się mięsa. Jadłem kolację i wychodziliśmy na spacer po okolicy albo jechaliśmy autobusem do centrum. Do kasyna. Pozostałych denerwowało, że rozmawia tylko ze mną. Szczególnie dwóch zaj-

mujących sąsiednie pokoje Czarnogórców. Obaj byli po czterdziestce. Jeden – Nusko, był kiedyś żołnierzem jugosłowiańskich służb specjalnych. Siedmiokrotnie rozwiedziony, ciągle zajmował się jakimiś podejrzanymi interesami. Renia wpadła mu w oko – usiłował zaprosić ją na dyskotekę. Drugi – Suljo, znacznie mniej przedsiębiorczy, a może uczciwszy, był ciągle bezrobotny. Złożył Reni propozycję małżeńską – żeby zdobyć polski paszport. Wyśmiałem go. Jedyna samica w wilczym stadzie. Z Zimą omal się nie pobiliśmy – bez przerwy rzucał jakieś głupie uwagi pod adresem mojej dziewczyny. Gdy kazałem mu się zamknąć, zaczął robić dziwne miny, które miały mnie wystraszyć (na marginesie – rzeczywiście mogły, bo wyglądał jak Szkieletor z kreskówki o wojowniczych żółtviach ninja). Zastanawiałem się, czy złamać mu kopniakiem lewy czy prawy obojczyk. Po trzech tygodniach harówki i dobrej wyżywki moje mięśnie przeżyły się jak w czasach, gdy trenowałem piłkę nożną albo podczas przeszkolenia na Ukrainie.

– Byliśmy w kasynie – zdradziłem wreszcie nasz sekret, bo i tak rano się stąd zmywaliśmy.

– W kasynie? – zapytał Lemurek.

Kamera powinna najechać na zdziwioną twarz zastępcy Zimy. Dla tych chłopaczków z Zadupia Niewielkiego kasyno było czymś, co mogli znać jedynie z telewizji, o ile w ogóle w swych krytych strzechami, gaconych gazetami chałupach posiadali telewizory. Pootwierali szeroko ze zdziwienia gęby o niepełnym użębieniu. Od pewnego czasu mówiłem im, że wcale nie muszą pracować w skupie skór. Że jestem tutaj, bo przeprowadzam na sobie pisarski eksperyment. Zima i jego ziomale byli dla mnie równie egzotyczni jak Zapotekowie z Jukatana, odurzający się peyotlem.

– Wygraliście coś? – Zima niczym Suchy z mojej rodzinnej wsi na wszystkim chciał zarobić.

– Owszem. Co, niestety, nie zwalnia cię z obowiązku wypłacenia moich pieniędzy...

W wilczym stadzie nie było miejsca dla dwóch basiorów.

– No i co tak chichoczesz? – Zima kopnął Bumera, który oglądał go biegającego po ekranie w podarowanych majtkach. W hierarchii stada Bumer stał najniżej. – Nie jestem taki słodki... – zaintonował Zima jeden ze swych hiphopowych przebojów. Marzył, że założony przez niego zespół podbije polski rynek. Miał w komputerze wiele skomponowanych kawałków. Nawet niezłych. Tyle że Zimie brakowało dystansu do siebie i do swojej muzyki.

– W kuchni czeka na was kolacja – powiedział Lemurek, który zdawał się uczciwszy od swego szefa, choć w zupełności przez niego zdominowany.

– Dzięki. Chodźmy... – wprowadziłem Renatę z naszego, jeśli tak można go było nazwać, pokoju. – Pewnie wrąbali nam jakieś LSD i potem będą się nabijać, jak odlecimy – powiedziałem, kiedy zbiegaliśmy po schodkach do kuchni. Po co my tutaj w ogóle przyjeżdżaliśmy? Robota w skupie skór od początku mi się nie podobała. Załatwił mi ją znajomy ze studiów we Wrocławiu.

Schodząc po schodach, patrzyłem na idącą przede mną Renatę. Rozmyślałem o sytuacji, jaka wydarzyła się zaraz na początku naszej znajomości – na kilka dni przed wyjazdem do Francji. Zadzwończyła do mnie i chciała się dowiedzieć, co robię.

Ta sekwencja retrospektywna wyglądałaby następująco:

– Powariowali – złości się Renata, ściskając telefon w dłoni. – Wszyscy moi przyjaciele są wściekli, że spotykam się z tobą, a nie z którymś z nich...

– To znaczy? – pytam, siedząc przy maszynie do pisania. Spoglądam na zapisaną do połowy kartkę. To fragment opowieści o moim dzieciństwie.

– Paweł, kolega, napisał mi w SMS-ie, że polecał na ciebie ze względu na kasę. Że studiowałeś prawo, to pewnie masz dużo forsy. Jesteś pisarzem, producentem filmowym, dużo podróżujesz...

– Powiedz mu, że oprócz kasy decydujące znaczenie miał rozmiar mojego fiuta. Dodajmy do tego jeszcze uczucia – i mamy klasyczny trójnóg. Wszystko, co męczyzna powinien dawać kobiecie... –



mówiłem, starając się obrócić wszystko w żart. – A tak w ogóle: jakim prawem on cię ocenia, skąd on się w ogóle wziął? Spotykałaś się z nim? Nieważne. Jutro do ciebie przyjadę. Siedzę u Małego-Chudego i piszę... – odłożyłem komórkę.

Ten dupek odwiedził ją wieczorem. Zadzwoił wcześniej, żeby mu oddała trzy stówy, które jej kiedyś pożyczył. Na karty do telefonu, żeby mogła do mnie dzwonić... Wzięła od mamy i mu oddała. To był dla niego pretekst, żeby się z nią spotkać. Powiedział, że ją kocha od chwili, kiedy ją poznał. Zażądał, żeby się z nim całowała. Nie chciał jej wypuścić z auta. Zagroził, że naopowiada mi różnych bzdur. Gdyby ten frajer wystartował do mnie z jakimiś rewelacjami, od razu dostałby kopa w mordę.

– Powiedział, że mogę się spotykać z tobą, ale z nim też muszę. Nie chciał mnie wypuścić z samochodu... – powtarza. – Siedziałam i płakałam...

– Nie włócz się sama wieczorem, pamiętaj! A teraz, jeżeli dasz radę, spróbuj zasnąć. ...Aha, na wszelki wypadek wyślij mi SMS-em numer telefonu do tego imbecyla...

Po chwili przychodzi SMS. Odpisuję, żeby niczym się nie martwiła.

Do szantażysty dzwonię o czwartej rano.

– To ja, twój nowy przyjaciel – mówię gardłowo. W takiej sytuacji należało być maksymalnie nieprzyjemnym. – Masz przejebane... – od razu daje się poczuć coś jakby smród – to chyba facet z drugiej strony narobił w gacie. – Wsadzę cię do pierdla. Za uśiłowanie gwałtu. Już dziś rano przyjedzie do ciebie do domu albo do pracy policja. Studiowałem prawo. Mój kolega pracuje jako prokurator w Puławach. Nie będzie żadnego problemu. Każę zamknąć cię na dołek i ruchać przez czterdzieści osiem godzin. Zobaczysz, co to znaczy zmuszać kogoś do miłości... – rozłączam się przekonany, że przejdzie mu ochota na amory z moją dziewczyną.

Minęło parę miesięcy i znowu zagrażał nam kolejny frustrat – Zima.

– To co zrobimy? – zapytała Renia, spojrzawszy na garnek ze smakowicie wyglądającą zawartością, chyba leczko. – Jestem strasznie głodna...

„Nous sommes les Polonais! Nous sommes les Polonais!” – jak jakiś hip-hopowy refren pobrzmiwało w mojej głowie.

Wywaliłem prawie całą zawartość garnka do sedesu. Resztą umazaliśmy talerze i zasiedliśmy do stołu. Chichotaliśmy przy tym jak spiskowcy.

– Śniło mi się dzisiaj, że chodziliśmy po Nałęczowie i przeprowadziliśmy ankietę „Czy jest Pan/Pani Żydem i gdzie uczęszcza do kościoła” – powiedziała.

– To pewnie z powodu Reisefibera taki sen... – udawałem, że zajadam się leczko, machając w powietrzu widelcem.

– Wszyscy podawali fałszywe informacje. Doszliśmy do wniosku, że nie są prawdziwymi Polakami, tylko się tutaj ukrywają. Weszliśmy do zakładu fryzjerskiego, bo postanowiłam obciąć włosy. Była tam jakaś babcia z wnukiem. Dziecko biegało po poczekalni z kablem, z którego iskrzył prąd. Zaatakowało mnie. Odpędziłam je jak natrętą muchę...

– Myślę, że to podświadomy lęk, że zajdziesz w ciążę – zinterpretowałem sen.

– Sięgnęłam po jedno z leżących na stoliku czasopism, żeby poszukać odpowiedniej fryzury. Okazało się, że to czasopismo erotyczne, z akcesoriami. Następne – również. Zabraliśmy jedno, żeby obejrzeć w domu. Wtedy fryzjerka skończyła strzyc babcię. Spytałam, czy mogę ją przeankietować. Zgodziła się, zaprosiła nas do sąsiedniego pomieszczenia. Zrobiła po kawie. Do pokoju weszła trójka jej małych dzieci: córka i dwóch chłopców bliźniaków. Wyglądali jak młodzi Kaczyńscy z filmu *O dwóch takich, co ukradli*

księżyc. Córka była jak królowna, chłopcy jej usługiwali. „Jestem Żydówką – przyznała się fryzjerka. – Chodzę do bóżnicy w Puławach”. Podziękowaliśmy, że miała odwagę się przyznać.

– I co, smakowało wam? – Zima zakrada się do kuchni, żeby sprawdzić, jak nam idzie.

– Rewelacja! – mówię z drwiną niezauważalną dla hip-hopaka. – Jak ty coś ugotujesz, to palce lizać! – podpuszczam go, a on uśmiecha się wyrozumiale. Zupełnie nie chwytął drobnych złośliwości, które wymienialiśmy z Renią pod jego adresem. Zima siada przy stole i uśmiecha się przyjaźnie. Popijałem spokojnie herbatę, która zastępowała mi kolację, myśląc o tym, że na początku daliśmy się zwieźć temu uśmiechowi.

– Jedziesz sobie do Paryża, a my musimy jutro dłużej zostać w pracy... – Zima popatrzył na mnie z udawanym żalem. Robota rzeczywiście była okropna. W składzie skór pracowali Francuzi, Polacy, trafił się Czarnogórzec, Macedończyk, Serb, Szkot, Irlandczyk. Tygiel narodowościowy. W pracy rozmawiałem po francusku, angielsku, rosyjsku (z byłymi Jugolami), rwanym niemieckim, no i oczywiście – po polsku. Praca tutaj była ciężka, ale dało się przywyknąć. Segregowaliśmy skóry, soliliśmy je, a następnie trafiały do garbarni. Niektóre ważyły tyle co ja – siedemdziesiąt kilogramów. Najbardziej odpowiedzialne ze wszystkich było stanowisko selekcjonera. Gdy mnie tam skierowano, wszyscy byli pewni, że przyuczanie zajmie kilka dni. Tymczasem już po kwadransie pojąłem dość skomplikowany system różnicowania skór na osiem klas – w zależności od koloru, wielkości, wagi oraz ilości dziur. Zrobiło się takie zbiegowisko, że zjawił się nawet właściciel składu. Uznano mnie za geniusza. Może i byłem nim w porównaniu z tymi nieukami z różnych krajów, pracujących w trudnych warunkach (hałas, smród, wilgoć) za jałmużnę.

– Zima, co cię obchodzi nasze życie? – warknąłem niby basior na basiora. Akurat zjawiła się reszta stadka. Zasiedli w saloniku przed telewizorem. Włączyli polską Vivę, która ciągle nadawała polskie hip-hopolo.

– Pewnie, że obchodzi – Zima zaczął jarać jointa. Nie było Czarnogórców, zatem mógł to robić w kuchni. Zwykle palili w pokoju – czasem było tam tak najarane, że nie można było spać. – Mówisz, że jesteś pisarzem, nakręciłeś film. W takim razie dlaczego tutaj pracujesz? – popisywał się przed swoim stadkiem.

– Żeby być dobrym pisarzem, muszę zbierać doświadczenia – zacząłem tonem, jakbym miał spotkanie autorskie. – Czy byłbym prawdziwym głosem pokolenia, gdybym nie wziął udziału w takim przedsięwzięciu? To jakby zagrzewać do walki powstańczej, a potem nie wziąć w niej udziału, jak Mickiewicz. Kpić z narodowowyzwoleńczych bojów, samemu siedząc za oceanem, jak Gombrowicz. Albo krytykować system komunistyczny, będąc od niego bezpiecznym – przykład Miłosza. Przywdziałem dziadowskie szaty jak król Kazimierz Wielki, żeby sprawdzić, jak żyje polski lud. Sprawdziłem. I już wystarczy.

Moja gadka musiała ich znudzić, bo jeden po drugim znikali w kuchni i saloniku. My także udaliśmy się na górę – wypaść się. O ile w takich warunkach było to możliwe. Zima wręczył mi trzy papierki – po dziesięć euro.

– Miało być sto trzydzieści... – odrzekłem z rezygnacją. Nie dość, że bez przerwy mnie oszukiwał, potrącał za jedzenie, mieszkanie, to jeszcze teraz nie chciał mi wypłacić tej marnej reszty. Trzydzieści euro za trzy tygodnie pracy! Za weekend zarabiałem w Kazimierzu Dolnym na moich książkach sześćset-siedemset złotych! Nie było sensu się kłócić – wziąłem kasę.

– Książę, może zapalisz z nami? – zaproponował Lemurek. Przez spędzony tutaj czas nauczyłem się nazw kilkunastu gietów, ale nie chciałem palić. Zdecydowałem się wziąć kilka machów od Lemurka – jedyny wyglądał, jakby żałował, że się stąd zmywamy.

– Mówisz, że mieszkałeś przez cztery lata we Wrocławiu... – ciągnął Zima, zerkając na monitor laptopa, na którym widać było, jak wciąż biega w porwanych majtasach. I ta muzyka hip-hop! Już dość miałem tych bitów!

– My też mieliśmy tam sporo ziomali... – zarechotał Niemilec, który był jakimś pobratymcem Zimy. – Choćby King...

– Pamiętacie, jak go kiedyś wywieźliśmy do lasu? – zapytał Zima, przypalając kolejnego skręta. – Grand sugar, świetna rzecz... King miał dobry towar, ale za dużo kantował...

– Zналиście Kinga? – zerknąłem na Zimę. Więc to przez nich King wypadł kiedyś z biznesu, trafił do pierdła. Jak zaczęli ich szukać, to okazało się, że słuch po nich zaginął.

– A ty też go znałeś? – Zima, mimo marihuanowego otępienia, natychmiast wyłapał mój błąd. To chyba z powodu tych kilku machów się wygadałem.

– Trochę... – starałem się zbagatelizować sprawę. King dawał dziesięć tysięcy złotych za wskazanie miejsca pobytu Zimy i spółki. Renia wyczuła mój niepokój, bo przyglądała mi się w milczeniu. Zapanowała grobowa atmosfera. Hip-hopaki niby to słuchali Firmy czy też innych grajków, a przecież zerkali to na mnie, to na swego basiora, gotowi skoczyć mi do gardła na jedno jego warknięcie. Postanowiłem obrócić wszystko w żart.

– No, panowie, żarty się skończyły! Ja i Renata jesteśmy z CBS. Rozpracowujemy waszą grupę od roku... Wiemy już wszystko, co chcieliśmy wiedzieć... – mówiłem poważnym, spokojnym tonem. Wymieniłem spojrzenia z Renią – milczała. Jak wtedy, kiedy parę dni temu wybraliśmy się do dyskoteki. Ochroniarze, widząc mnie w czarnej skórzanej kurtce, z trzydniowym zarostem, krótko ogolonego, nie wpuścili mnie, zanim nie sprawdzili, czy nie mam broni. Wzięli mnie za przedstawiciela rosyjskiej mafii.

Hip-hopowcy zbaranieli.

Chłopaki z Zadupia Niewielkiego na Pomorzu zerkają po sobie niepewnie. Pierwszy, jak przystało na przywódcę stada, reflektuje się Zima.

– Jak naprawdę jesteście z Cebosiu – w jego głosie pobrzmiwa niepokój – to was zajebiemy.

– Czy ty wiesz... – śmieję się – co ja mam w torbie?

Wskazuję wzrokiem na stojącą przy materacu torbę podróżną.

Pauza...

– Pewnie jakąś gazówkę... – wreszcie Bumer odważa się coś powiedzieć.

– Gazówkę?! – drwię, szperając w torbie, a oni śledzą moje ruchy jak sparaliżowani. – Gazówkę? – grzebię wśród ciuchów i notesów. – Oto co mam! – wyciągam triumfalnie szczoteczkę do zębów.

Ostatecznie skurwiel oddał mi kasę i pojechaliliśmy z Renią stopem do Paryża.

– Zielona wróżka – powiedziałem, gdy wreszcie wsiedliśmy do właściwej linii RER – Właśnie tak niektórzy nazywali absynt. Kto go pił, czuł się magicznie.

– A co to znaczy Montmartre? – zapytała Renia.

– Wzgórze Męczenników – odrzekłem. Kiwnąłem głową, bo z kolei spytała, czy zobaczymy jutro wieżę Eiffela. W jej okolicy, niedaleko stacji kolejowej stała wysoka wieża – przekaźnik telefonii komórkowej. Kiedyś udało się jej wdrapać prawie na wierzchołek wieży. Ponawijałem trochę, że takie wchodzenie na wieżę symbolizuje rozwój. I że gdybym był na jej miejscu, napisałbym opowiadanie zatytułowane *Dwie wieże*.

– I co, wiesz, że Georges coś ci załatwi? – martwiła się Renia. Spędziliśmy we Francji już ponad miesiąc i nie odłożyliśmy ani grosza. A Renia chciała zarobić trochę kasy na studia. Ja z kolei byłem splukany po nakręceniu filmu *Stacja Mirsk* i wydaniu własnym sumptem debiutanckiej powieści.

Wzruszyłem ramionami, bo co mogłem jej obiecać? Georgesa poznałem, sprzedając książki z chodnika w Kazimierzu Dolnym. Był polsko-francuskim żydkim. Prowadził w Kazimierzu galerię, w której sprzedawał francuskie obrazy. Drugą galerię miał w Paryżu. Namawiał mnie, żebym spróbował kariery we Francji. Chwalił się kontaktami z tutejszymi wydawcami. No to będąc w Paryżu, zadzwoniłem do niego i umówiłem się na spotkanie. Za kilka dni. Wolny czas wykorzystywaliśmy na włóczenie się po stolicy Francji.

– Jak byłem mała, mama pracowała w PKP i mieliśmy darmowe bilety. Zjeździliśmy cały kraj, wiesz, bardzo to lubiłam... – przyglądała się jadącym w metrze ciemnoskórym dziewczynom. Miały długie, kolorowe spódnice. Cyganki z Puław?

– Na wzgórzu Montmartre obcięto kiedyś głowy trzem męczennikom – wykorzystywałem wiedzę, którą udało mi się zdobyć przez lata ślęczenia nad książkami, zwłaszcza bedekerami. – Przez długi czas ludzie omijali to miejsce. Tutaj tylko łopotały skrzydła wiatraków i rozwijała się hodowla winorośli. I właśnie to ostatnie sprawiło, że wzgórze stało się atrakcyjne...

– Dlaczego? – Renia wierzyła, że jestem kimś wyjątkowym. Nie zauważyła, że moje życie to ciągłe pasmo niepowodzeń? Jakże niewspółmierna z moim wygórowanym mniemaniem o sobie była rzeczywistość, w jakiej się znalazłem. Brak kasy, brak wykształcenia, brak pomysłu, co dalej z moim życiem. Czy już w chwili urodzenia w biednej rodzinie pod Świętym Krzyżem byłem skazany na porażkę? Przypisany do świętokrzyskiej ziemi? Może niepotrzebnie tak się brałem za bary z życiem, mocowałem – czy aby finał nie był z góry przesądzony?

Nie odpowiedziałem od razu – zauważyłem, że spodobała się dwóm Murzynom, siedzącym naprzeciw nas. Posłałem czarnym groźne spojrzenia, bo poczułem się zazdrosny. Odwrócili wzrok, zaczęli rozmawiać o meczu, jaki niedawno rozegrało miejscowe PSG z Olympique Lyon.

– Siostry zakonne, uprawiające winorośl, wytwarzały z niej wino. Ponieważ w Paryżu alkohol był obłożony podatkiem, Montmartre stało się miejscem, gdzie można było się tanio napić... Na przykład absyntu...

– Obserwuj – wskazałem wzrokiem artystów na Placu du Tertre. – Może w tłumie kiepskich pacykarzy wypatrzysz nowego Picassa? Jarmark sztuki. Kupujcie portrety! Kupujcie pejzaże! Tacy jak Picasso bawili się tutaj, głodowali, i zastawiali swoje dzieła w lombardach – mówiłem, gdy przeciskaliśmy się wśród turystów. Zauroczeni miejscem, nie czuliśmy zmęczenia długą podróżą oraz rozczarowaniem, jakie sprawił mi ten dupek, Georges. Zaliczka w euro – to byłoby coś! W wyobraźni widziałem, jak moja książka podbija europejski rynek, jest hitem wydawniczym, jak *Kod Leonarda da Vinci*. Georges miał załatwić wystawienie *Stacji Mirsk* w jednym z paryskich teatrów. „Może nawet uda się dotrzeć do przedstawicieli francuskiej kinematografii...”, tak mówił przez telefon. Może nawet do Romana Polańskiego, który od afery z nieletnią prostytutką mieszkał w stolicy Francji.

Nad okolicą górowała biała bazylika – Sacre-Coeur. Wiedziałem z informatora, że biel budowli to efekt zastosowania kamienia z Chateau-Landon, który pod wpływem deszczu wydzielał kalcyt, bieląc mury.

– Kiedyś weźmiemy tam ślub – wskazałem głową w kierunku bazyliki, gdy przystanęliśmy w jednym z licznych zaułków. Przycisnąłem Renię do ściany i zacząłem całować.

– Ała... – jęknęła. – Coś mnie ukuło w tyłek...

– Coś cię ukuło w tyłek i to nie byłem ja? – Wziąłem ją za rękę i poprowadziłem do Cafe Tabac des 2 Moulins, gdzie kręcili *Amelię*. Weszliśmy do baru, który miał wystrój jakby z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku.

– Zobacz, ten sam musztardowy sufit co w filmie... – wskazałem wzrokiem. – Chodźmy do toalety – szepnąłem mojej dziewczynie do ucha. – Jest koedukacyjna...

Absynt kupiliśmy od sprzedawcy na targu. Spod lady.

– To prawdziwy absynt? – dopytywałem się.

– Prawdziwy! – zapewnił. – Sporządzony według starych reguł. Może kupi pan także aparaturę? – wskazał na ażurowe łyżeczki i inne akcesoria.

Wydawał się na tyle przekonujący, że nabyłem dwie butelki i potrzebne do rytuału przyrządy. No bo czego się nie robi, żeby się skonfrontować z tym, co się wyczytało w podręczniku o modernistach?

– Z czego robi się absynt? – zapytała Renia, kiedy skierowaliśmy się do pobliskiego parku.

– Przede wszystkim z kwiatów i liści piołunu oraz anyżu, z dodatkiem kopru włoskiego i hyzopu... – odrzekłem. O modernistach wiedziałem wszystko. I prawie wszystko mi się w nich nie podobało – od sztuki poczynawszy, a na stylu życia skończywszy.

Kiedy Renata zapytała, dlaczego jest zielony, wyjaśniłem, że to kwestia barwnika.

– A to prawda, że ma właściwości... jak to się nazywa... No, psychoaktywne?

– Przekonamy się...

Rozsiedliśmy się na ławeczce w parku. Do jednej części alkoholu dodałem trzy części lodowatej wody, co spowodowało jego zmętnienie. Dosypałem ażurową łyżeczką cukru.

– Woda go rozpuści – wyjaśniłem. Cukier miał zmniejszyć gorycz.

Zaczęliśmy się raczyć trunkiem. Ach, życie wbrew schematom! Codzienna pogoń za pieniędzmi – won! Wątpliwa kariera – precz! Piliśmy, a wtedy zacząłem widzieć tych, których podziwiałem. Zjawili się w czwórce: Baudelaire z kobietą, Stasio Przybyszewski z Dagny Juel. Przybyszewski, chociaż najstarszy artystycznie z nich wszystkich, przewodził tej gromadce.

– Słyszałem, że teraz w Polsce nie ma dobrych pisarzy... – „Meteor” wydał pogardliwie swoje wąskie jak u kobiety usta.

– Nie ma ... – potwierdziłem.

– Bo nie piją absyntu! – wtrącił Baudelaire i wszyscy gromko zarechotaliśmy.

Rozmawialiśmy o literaturze do późnej nocy. W końcu zauważyłem, że ludzie, z którymi siedzimy, to wcale nie Przybyszewski i Baudelaire z kobietami, a Murzyni i Murzynki z pociągu. Renia chyba wcześniej to spostrzegła, bo nic nie mówiła, tylko spała, oparłszy głowę na moim udzie.

– Mieszkacie tutaj? – zapytałem, jakby dopiero pierwszy raz ich ujrawszy. A osuszyliśmy już obie butelki zielonego trunku.

– Tutaj są tańsze mieszkania niż w centrum Paryża – Murzyn, którego uważałem za Przybyszewskiego, błysnął białymi zębami, w których odbiły się refleksy pobliskiej latarni.

– Jesteście artystami? – zadałem drugie pytanie, jeszcze głupsze od pierwszego.

Popatrzyli po sobie i parsknęli gromkim śmiechem.

– Można tak powiedzieć – odrzekł ten, którego uważałem za Baudelaire’a. – Artystami życia...

– Co tworzycie? – nie bardzo rozumiem, co do mnie mówi. – Jakiś performance?

– Pilnujemy, żeby dobrze pracowały – wyjaśnia Przybyszewski. – Na Polach Elizejskich. – Wskazuje wzrokiem na dwie dość ładne, ale bardzo szerokie w biodrach Murzynki. – Jak się ich nie pilnuje, to kurwy strasznie oszukują. I są leniwe...

– A ty też jesteś alfonsem? – pyta rzeczowo Baudelaire. – Twoja kobieta jest bardzo do rzeczy, w dodatku to blondynka – przygląda się śpiącej Reni z zainteresowaniem. – Blondynki we Francji są w cenie...

– Nie, to moja dziewczyna... – wyjaśniam, trzeźwiejąc. – Renia, obudź się, czas na nas – zerkam na zegarek – właśnie mija północ. – Za kwadrans mamy ostatni pociąg do Paryża – wyjaśniam Murzyńcom, chociaż wcale nie jestem przekonany, że tego dnia jest jeszcze jakiś pociąg.

Renia budzi się i spogląda półprzytomnym wzrokiem na towarzyszy naszej libacji.

– Musimy wracać do hotelu – podnoszę się i pomagam wstać dziewczynie.

– Zostańcie jeszcze – nalega czarny Przybyszewski. – Na początku była chuć... – chwytą moją kobietę za rękę.

Uderzam czarnucha butelką po absyncie w łeb, aż sypią się szkła. Traci przytomność. Drugi próbuje mnie dusić, ale w rękę trzymam już drugą butelkę – dostaje w głowę, tyle że butelka się nie rozbija. Poprawiam mu kopniakiem w nos.

I zostawiliśmy tych męczenników na wzgórzu, przy lamencie ich kurew.

– Czuję się trochę jak w pierwszym wagoniku roller-coaster... – uśmiechnęła się Renia, gdy przejeżdżaliśmy przez Paryż „14-stką” – według informacji najnowszej, najszybszą i w ogóle „naj” linią metra. – Pamiętasz, jak do Nałęczowa przyjechało wesołe miasteczko? – chichotała. Namówiła mnie na przejażdżkę na roller-coasterze. Nienawidzę karuzeli i tym podobnych – wsiałem tylko dlatego, żeby nie wyjść na mięczaka. Niestety, gdy to diabelskie urządzenie zaczęło się kręcić, zwymiotowałem na innych pasażerów.

Staliśmy tuż przy szybie, z której rozciągał się niesamowity widok na tunel. Był to jedyny w Paryżu pociąg, którego nie prowadził motorniczy. Wrażenie było kosmiczne – od jakiegoś czasu byłem wielbi-cielem literatury science fiction i wszystko, co było cokolwiek bardziej skomplikowane od konstrukcji cepa, wzruszało mnie powabem gwiazdnej nowoczesności.

– Miałam sen – powiedziała Renia. – Szłam przez Puławy w kozuchu, który mi kupiłeś. Była ze mną Futrzak, moja przyjaciółka. Obie miałyśmy włosy ufarbowane na czarno, zaplecione w długie, grube warkocze. Nosiliśmy spódnice – wielobarwne, długie po kostki. Byłyśmy Cygankami... – urwała, bo pociąg zatrzymał się na kolejnej stacji – na całej linii wszystkie drzwi otwierały się automatycznie. Wysiedliśmy, żeby się przesiąść do linii numer „1”.

Zdumiewająca funkcjonalność. Właściwie z każdego miejsca było blisko do jakiejś stacji – wszędzie widniały strzałki, które kierowały na odpowiedni peron. Trzeba było tylko znać docelowy kierunek – nazwa ostatniej stacji była przypisana strzałkom. Na peronie znajdowała się też elektroniczna tablica, która pokazywała czas przyjazdu najbliższych pociągów.

– A ile osób czyta książki! W Warszawie jest ich zdecydowanie mniej... – nie przestawałem się zachwycać. W metrze były zamontowane automaty, do których wrzucało się po kilka euro i wypadała książka – kupiłem *Ulisses*a Joyce’a we francuskim przekładzie.

– Może dlatego, że warszawskie linie są za krótkie – wtrąciła cierpko Renia; nie lubiła, kiedy przestawałem jej słuchać.

Z głośników leciały kawałki z musicalu *Notre-Dame de Paris* z Garou w roli Quasimodo. Powiedziałem o tym Renacie, która kompletnie nie знаła francuskiego.

– Aha, pamiętam – powiedziała Renia. – Chociaż bardziej wolę książkę Hugo.

Pewnie chodziło jej o wątek miłosny archidiakona Frollo i tej pięknej Cyganki, chyba Esmeraldy.

– Quasi-mondo, oto jak można nazwać Paryż – powiedziałem. – Ten dzwonnik to pokraka, ktoś, kto wzbudza odrazę, a jednocześnie szacunek. Jak Paryż. – Lubiłem się tak wymądrzać – jakim cudem Renata mogła ze mną wytrzymać?

– Z quasimodów cenię sobie tylko tego włoskiego noblistę... – Renia znów się ze mną przekomarzała. – Zobacz, w metrze jest cała masa małych sklepików... – zmieniła temat. – O Boże, co za ceny! Niech tam, w oczekiwaniu na pociąg można sobie przynajmniej pooglądać wystawy...

Metro – współczesny labirynt Minotaura. Raczej – Metrotaura. Rozglądałem się za kimś, kto spełniałby taką rolę.

– Wróciłyśmy do Puław z Kazimierza Dolnego, gdzie żebrałyśmy na rynku. Szłyśmy, zadowolone, bo naciągnęłyśmy turystów na mnóstwo kasy. Nagle podbiegł jakiś chłopak i wyrwał mi torebkę. Byłam przerażona – bałam się, że ukradł mi telefon, pieniądze, dokumenty. Sprawdziłam kieszenie. Znalazłam telefon i pieniądze. Mimo tego zadzwoniłam na policję. Zanim przyjechali, okazało się, że ukradziono mi stary dowód i nieważną legitymację szkolną. Nie były mi już potrzebne – nosiłam twoje nazwisko. Zniknęłyśmy stamtąd przed przyjazdem policji – oni nie znoszą Cyganów. Poszłyśmy na targ. Futrzak kupiła sobie czerwoną bluzkę za trzy złote sześćdziesiąt groszy. „Też sobie kup – namawiała mnie – zobaczysz, będzie ci pasować”. Nie chciałam, bo nie lubię rzeczy z targu. Poza tym bałam się wyciągnąć portfel – wydawało mi się, że śledzi mnie chłopak, który ukradł mi torebkę. „Chodźmy stąd!” – powiedziałam do Futrzaka i wróciliśmy do naszego taboru. Ty byłeś królem naszej grupy. Siedziałeś przy ognisku i patrzyłeś na mnie... – uśmiechnęła się.

– To znaczy, że nadchodzi w naszym życiu czas zebrania – taka była moja interpretacja jej snu.

Dzielnica la Defense, gdzie się udawaliśmy, to była trzecia zona, ale bileterka wyjaśniła nam, że można wysiąść jedną stacją wcześniej i przepacerować się do Grande Arche de la Defense. W ciągu paru dni oboje przelaliśmy centrum Paryża, teraz przyszła kolej na jego przedmieścia.

Zauważyłem, że przygląda nam się starszy facet, który wyglądał na Cygana z Opola Lubelskiego, ale równie dobrze mógł być Arabem albo Mulałem – nie nauczyłem się jeszcze odróżniać na pierwszy rzut oka przedstawicieli licznych tutaj nacji. Mężczyzna chyba zauważył mój wzrok, bo podszedł do nas.

– Twoja dziewczyna ma złote włosy... – uśmiecha się. – My, Romowie, zawsze kochaliśmy złoto. W dawnych czasach nasze kobiety przyozdabiały się wielką ilością naszyjników ze złotych monet, nawlekały je na złote łańcuchy i pozwalały im dyndać na swych pięknych ciałach jak warkoczom czosnku. Trzeba było nie lada wysiłków, żeby dobrać się do ich cyczuszków, kołyszających się pod tą masą żółtego metalu... – rechocze rubasznie. – A mężczyźni! – ciągnie. – Jakież to sztuczki wyprawialiśmy z naszym złotem niegdyś w Bułgarii czy w Rumunii! Kilkanaście złotych monet owiniętych w materiał i zaszytych w eleganckiego węża, włożone do spodni, sugerowało, że ma się tam organ godny słońca! Wyobraźcie sobie – stary Cygan zerknął lubieżnie na moją Renię – jak zdumiona była cygańska laseczka, kiedy zdjęła te spodnie... – ponownie zarechotał. – Inna sprawa, że ciężko czymś zaskoczyć cygańską laseczkę, bo ona widziała już wszystko, a poza tym to nie rozmiar imponuje rozsądnym kobietom, raczej technika, wyczucie i wigor... – kontynuował swoje przemyślenia niby jakiś Lew-Starowicz. – Dokąd zmierzacie?

– Do Grande Arche de la Defense – odrzekłem, bo mimo rubasznego zachowania jakoś nie budził mojej nieufności. – Szukamy taniego noclegu.

– Zapraszam was do naszego obozu...

– Jak to do obozu? – oczami wyobraźni ujrzałem cygański tabor znany ze starych obrazów i fotografii.

– Przekonacie się – starzec był tajemniczy. Podczas drogi opowiadał nam o zwyczajach swego narodu. – Dawniej wszystko było prostsze. Weźmy na przykład znaki, którymi się posługiwaliśmy. Były rysowane patykiem na ziemi albo kawałkiem węgla na ścianie i to wystarczało. Kiedy zdarzyło ci się przebywać z dala od taboru twojego szczepu, pozostawiałeś za sobą ślady, że tędy szedłeś lub żeby udzielać istotnych wskazówek tym, którzy szli po tobie...

– O czym mówiły te znaki? – wtrąciłem, gdy wysiedliśmy na dworcu pod Wielkim Łukiem. Pod tym monumentem-biurowcem znajdował się węzeł komunikacyjny z końcową stacją metra nr „1”. Były jeszcze dworce – kolejowy i autobusowy. Jako ekspresmus wiedziałem ponadto, że Wielki Łuk stał na linii będącej przedłużeniem Paryskiej Osi Historycznej, zaczynającej się od Luwru, a kończącej się na Łuku

Triumfalnym. W Wielkim Łuku mieściły się galerie wystawiennicze, biura i instytucje państwowe, jak również tarasy widokowe – to zauważyłem już po wyjściu na powierzchnię.

Na przykład „tutaj są hojni ludzie, przyjaźnie nastawieni do Cyganów”, albo „już okradliśmy to miejsce” – mówił stary Cygan, gdy przemierzaliśmy dzielnicę la Defense. Centrum biznesowe, wystawieniczne, rozrywkowe, transportowe. Na jej terenie znajdowało się także kilkanaście apartamentowców.

– Były też znaki informujące, gdzie jest woda dla koni, gdzie są świny i kurczaki do ukradnięcia albo że w tym mieście mieszka wielu głupców, którzy wierzą w przepowiadanie przyszłości. Można też było zostawić informacje użyteczne dla wróżbiarzy, którzy przybyli tu po tobie: „ta kobieta chce mieć syna” albo „ten staruszek wkrótce umrze”.

– Dlaczego tutaj nie jeżdżą samochody? – Uderzył mnie kosmiczny spokój tego miejsca.

– Całkowita izolacja ruchu pieszego od kołowego... – wyjaśnił rzeczowo nasz przewodnik. – Wiecie, do niemal wszystkich wieżowców można dojechać drogami wewnętrznymi znajdującymi się w podziemiach?

Popatrzyliśmy z Renią po sobie, jak byśmy słuchali Cygana z Kazimierza Dolnego – pilnowali swoich żon wróżących na rynku naiwnym warszawiakom.

– Wątpicie w moje słowa? – obruza się stary Cygan. – Dlaczego? Wiem, co mówię, wierście mi. Jak mogłoby być inaczej? Kiedy coś wam mówię, mówię wam dlatego, że wiem, iż to prawda. Jestem już zbyt stary, żeby kłamać. A to, co tutaj mówię, mówię przede wszystkim do siebie, a dopiero potem do was. Okłamałbym was bez wahania, gdyby mogło mi to przynieść jakąś korzyść. Ale teraz? Tylko absolutna prawda. O, tutaj mieszkają ludzie z mojego taboru – wskazuje wysoki nowoczesny budynek, który wygląda jak dekoracja do *Gwiezdnych wojen*.

– Niemożliwe... – mówi Renata, gdy tłumaczę jej na polski słowa naszego przewodnika. – Ten staruch tutaj mieszka? Pewnie jest tutaj sprzątaczem?

– Twoja złotowłosa dziewczyna mi nie wierzy? – domyśla się. – Patrzy na starego Perhana i nie wierzy, że jest bogaty. A czy wy wiecie, że ja byłem kiedyś Królem Wszystkich Cyganów?

Wjechaliśmy windą na ostatnie piętro budynku. W urządzonym z niesamowitym przepychem wnętrzu stary Cygan klasnął w dłonie i zjawiły się dwie kobiety w średnim wieku.

– To moje żony – wyjaśnił. Powiedział do nich coś po cygańsku. – Zaraz przygotują obiad. Będziecie moimi gośćmi – powiedział. – Rozgoście się, a ja pójdę się przebrać.

Nie mieliśmy nic przeciwko – w ramach oszczędności od rana jedliśmy tylko bagietki. Nie wiedzieć czemu, po głowie zaczęła mi się błąkać piosenka Maryli Rodowicz. Zacząłem ją pogwizdywać: „Dawne życie poszło w dal, dziś na zimę ciepły szal”...

– Co to? – dopytywała się Renia.

– E, taka tam stara piosenka... – Rozglądałem się po mieszkaniu. Było bardzo nowoczesne, a jednak znajdowało się w nim wiele wykonanych starymi technikami wyrobów kowalskich. Dzieła sztuki złotniczej. Metalowe naczynia. Drewniane meble – wykonane w nieznanym dla mnie stylu. Wszędzie naustawiano drewnianych mis, łyżek, sit, koszy, był nawet żłób dla konia i ściółka dla konia. I wiele wyrobów stolarskich. Miałem wrażenie, jakbym się znajdował w muzeum kultury i sztuki cygańskiej.

– Widzę, że podziwiasz moje zbiory – gospodarz wraca przebrany w tradycyjny cygański strój – zwiewny i niezwykle barwny. – Staramy się ocalić od zapomnienia życie naszych przodków. Zapraszam na taras.

Rozsiadamy się w wiklinowych fotelach. Z tarasu rozciąga się widok na cały Paryż.



– Wszystko się zmienia. Cyganie także musieli się zmieniać. Mój szczerp mieszka w całym tym wieżowcu. Wszyscy pracują w banku, który założyliśmy dwadzieścia lat temu.

To, co mówił, zupełnie nie przystawało do romantycznego stereotypu Cygana – wiecznego włóczęgi i złodzieja. W tym czasie jego kobiety przyniosły jedzenie na drewnianych misach i podały drewniane noże, widelce i łyżki.

– Ludzie nazywają tę potrawę „cygański kociołek” – wyjaśnił Perhan. – Kiedyś przygotowywaliśmy dania tylko z tego, co znaleźliśmy na polach. Z tego, co ukradliśmy. Kabaczek, strąki papryki czerwonej, zielonej i żółtej, ziemniaki, pieczarki, cebula, pomidory, łyżka cukru, gotowane mięso, dwie łyżki oleju, ziele angielskie, listek laurowy, cząber, sól, pieprz, natka pietruszki, szklanka rosółu... – wymieniał. – To bardzo proste składniki, a jakie smaczne! – zachwalał.

Potrawa kojarzyła mi się z daniami z kuchni węgierskiej czy rumuńskiej, ale może to dlatego, że przebiegało wiele szczerpów romskich zamieszkiwało dawniej tamte tereny.

Gdy kończyliśmy jeść, pojawili się niespodziewani goście – stary i młody. Perhan przedstawił nas jako swych przyjaciół, a o tamtych powiedział, że to przedstawiciele Rady Cyganów z Amsterdamu. Byli właścicielami dużego kasyna na południu Holandii.

– Perhanie, musisz znowu zostać naszym królem – poprosił po francusku młody człowiek, typ znany mi z Puław i Opatowa, gdzie chodziłem do liceum.

– Chłopcze, mam już po dziurki w nosie tego wszystkiego. Władza po prostu mi obrzydła. Nadszedł czas, bym odszedł na dobre. Chcę dożyć tutaj reszty swoich dni.

– Perhanie, nie poradzimy sobie bez króla. Radziliśmy sobie przez pięć lat, ale teraz sprawy za bardzo się komplikują. Wielcy spośród Romów chcą wybrać nowego władcę. Nie będą już dłużej czekać. Jeżeli naprawdę nie chcesz wrócić, jesteśmy gotowi wybrać kogoś innego na twoje miejsce.

– W dawnych latach na ziemi nigdy nie istniał ktoś taki jak Król Wszystkich Cyganów... – wyjaśnił mi Perhan, gdy się przystuchiwałem ich rozmowie. – To był tylko wymysł Romów, aby mydlić oczy gaje, albo może wymysł samych gaje, którzy chcieli sobie mydlić oczy, bo często tak właśnie robią. Mieliśmy królów – prawda – całe ich mnóstwo: w każdym szczepie, w każdej wędrującej grupie. Musiał być przecież ktoś w rodzaju przywódcy, ktoś inteligentny, silny, z wyczuciem sprawiedliwości, ktoś, kto miał autorytet w grupie, i potrafił ją skupić wokół siebie, żeby mogła stawiać czoło przeciwnościom losu, zwłaszcza że wędrowaliśmy przez wrogie kraje z ich dziwnymi prawami. Ale król? Jeden potężny Król Cyganów, który sprawowałby władzę nad milionami wędrujących Romów, rozproszonych po wszystkich zakątkach Ziemi? Taki ktoś nigdy nie istniał...

Znów pogwizdywałem swoją piosenkę, którą tak bardzo lubiła moja matka: „Cztery kąty i okna ze szkła”...

– Bardzo ładna melodia – Perhan przerwał na chwilę swoją opowieść. – Nie nudzę pana? – A gdy zaprzeczyłem ruchem głowy, kontynuował:

– Byliśmy wtedy biednymi ludźmi. Śmieciami Ziemi, brudnymi, niechlujnymi włóczęgami, którym nikt nie ufał, a ponieważ gaje obawiali się nas, zawsze nas zaczepiali, przyglądali się nam uważnie i zadawali mnóstwo głupich pytań. To był ich sposób, aby dopasować nas jakoś do schematów swego nudnego życia. Kiedy przybywaliśmy w nowe miejsce, musieliśmy się starać o pozwolenia na osiedlenie się, jakieś dokumenty potwierdzające obywatelstwo i inne bzdurne papiery. Nie mieliśmy szacunku dla tych wszystkich żądań, bo niby dlaczego miałyby nas obowiązywać prawo gaje, skoro mieliśmy swoje, dużo lepsze? Ale jednak Ziemia stanowiła ich terytorium, ich było wielu, a my nieliczni, oni byli bogaci, a my biedni, oni mieli władzę, a my nie mieliśmy nic. Zatem musieliśmy grać w te ich głupie gry. Mówiliśmy im po prostu to, co chcieli usłyszeć. Był to najprostszy i najbardziej skuteczny sposób radzenia sobie z tymi ich wszystkimi kretynizmami. A gdy jeden z naszych taborów przybywał do ich miasta, chcieli przede

wszystkim wiedzieć, czy jest wśród nas jakiś przywódca, który mógłby nas kontrolować i powstrzymać przed szerzeniem chaosu w mieście.

„Kto tu rządzi?” – pytali. „Nasz król, oczywiście” – odpowiadaliśmy – albo księżę, hrabia, markiz, w zależności, jaki tytuł najbardziej im pasował. „To ten mężczyzna” – wskazywaliśmy człowieka, który wcale nie był rzeczywistym wodzem szczepu. Prawdziwy wódz trzymał się raczej z tyłu, aby gaje nie mogli go wziąć jako zakładnika albo zaszkodzić mu w inny sposób. Wysyłał kogoś, kto wyglądał na króla – wysokiego, barczystego Roma z błyszczącymi oczami i długimi wąsami, który mógł być nikim w szczepie, ale za to dobrze wypadał, rozkazując donośnym głosem i grając rolę bardzo ważnego człowieka. On właśnie mówił gaje wszystko, co chcieli usłyszeć. „Tak, jesteśmy praworządnymi chrześcijanami i nie będziemy wam sprawiać żadnych kłopotów. Zostaniemy tutaj tylko na chwilę, naprawimy wasze garnki, naostrzymy wasze noże i odjedziemy w dalszą drogę”.

I tak rozchodziły się wieści, że najlepszy sposób radzenia sobie z Cyganami to porozmawiać z ich królem. Inaczej równie dobrze można porozmawiać z wiatrem, falami i piaskiem na plaży. Oczywiście, wcześniej czy później musiało paść pytanie, czy istnieje Król Królów, władca wszystkich szczepów. Tak, naprawdę mamy wielkiego króla – mówiliśmy im. Dlaczego nie? Skoro sprawiało im to przyjemność, a oni chcieli wierzyć w takie bzdury, że jesteśmy jednym narodem rozproszonym po świecie, że mamy swojego króla, tak jak oni mają swojego, i że jego słowo jest prawem dla naszych szczepów. Bardzo ich podniecały i trwożyły nasze tajemnice. Mieliśmy własne zwyczaje, swój język. Przychodziliśmy i odchodziliśmy nocą. Przepowiadaliśmy przyszłość. Byliśmy kieszonkowcami, kradliśmy kurczaki i jeśli tylko nadarzyła się okazja, porywaliśmy też małe dzieci i wychowywaliśmy je na Cyganów. No i mieliśmy króla, który kierował nami w tej sekretnej wojnie, jaką wiodliśmy przeciw całej cywilizowanej ludzkości. Wierzyli w te wszystkie brednie. Powiedz gajo jakąś głupotę, a on będzie to przerabiał, upiększał, powtarzał, aż stanie się ona dla niego najprawdziwszą z prawd.

Kiedy gdzieś w jakimś miejscu kilka szczepów schodziło się razem na jakieś święto, gaje wyobrażali sobie zaraz, że wybieramy nowego króla. Czy wybieracie nowego władcę? A my robiliśmy bardzo poważne miny – tak, tak, nasz stary król umarł, a my wybieramy najsilniejszego, najmądrzejszego i najlepszego z nas na następcę. Czasami nawet faktycznie przeprowadzaliśmy parodię elekcji, jeśli można było coś na tym zyskać. A potem mówiliśmy gaje: oto nasz nowy król. Nadawaliśmy im dziwne imiona, które w naszym języku brzmiały obraźliwie. Im bardziej sprośne słowa wymyślaliśmy, tym lepsza była zabawa. Znajdowaliśmy jakiegoś przystojnego Roma, zazwyczaj z próżnią zamiast mózgu, nosiliśmy go na rękach jako króla Cyganów, a on uśmiechał się łaskawie. Gaje byli pod wrażeniem – płacili spore pieniądze, żeby być świadkami koronacji, płacili za robienie zdjęć, za przyglądanie się naszym śpiewom i tańcom w tradycyjnych strojach, a my krążyliśmy między nimi i opróżnialiśmy ich kieszenie. Nie dlatego, że byliśmy kryminalistami, ale dlatego, że chcieliśmy ukarać ich za ich głupotę. I gaje odchodzili potem wielce zadowoleni, bo widzieli koronację cygańskiego króla. W końcu jednak przyszedł czas, że naprawdę wybraliśmy króla. To było dziesięć lat temu. To ja nim zostałem. Pod moimi rządami Cyganie wkroczyli w nową epokę.

– Dlaczego zrezygnowałeś? – zapytałem, chłonąc jego słowa.

– Nie wszyscy chcieli realizować mój plan. – Popijał herbatę.

– A jaki to był plan? – dopytywałem się.

– Chciałem, żebyśmy się zajęli organizacją lotów kosmicznych. Stworzyli gwiazdną flotę, która zagwarantowałaby ruch międzyplanetarny. I co ty na to?

– Tylko koni, tylko koni, tylko koni, tylko koni żal – zanuciłem.

Następnego dnia zapuściliśmy się w głąb dzielnicy Clichy-sous-Bois. Cały czas było u nas krucho z kasą – wynieśliśmy się z hostelu, w którym mieszkaliśmy przez parę dni. Słyszałem, że w tej okolicy można

było znaleźć jakiś opuszczony lokal i się tutaj zadekować na kilka dni. Od razu uderzyło mnie, że tutejsze bloki mieszkalne znajdują się w żałosnym stanie. Wiele mieszkań było już tak zniszczonych, że je zamurowano. W budynku naprzeciwko widniały rzędy zabitych deskami okien. Wszędzie poniewierały się hałdy śmieci. W pobliżu nie było żadnej apteki, a do sklepów trzeba jechać kilka kilometrów.

Patrzyliśmy, jak barczysty facet w czarnej skórzanej kurtce, kojarzący się z jakimś ukraińskim gangsterem, pomiata młodym Arabem. W pierwszej chwili pomyślałem, że to jakieś bandyckie porachunki.

– Przecież już mnie kontrolowałeś! – oburzył się chłopak. – Sprawdzasz mnie codziennie. Dobrze wiesz, że jestem niewinny. Chcesz mnie sprowokować? Tak? O to ci chodzi? Żeby mieć pretekst do aresztowania? Nie dam ci w mordę, chociaż mam na to ochotę.

Mężczyzna stał się agresywny. Zaczął krzyczeć i wyzywać chłopaka. Popchnął go, groził mu pałką. W końcu rzucił go na ziemię i skuł kajdankami.

– Ten facet to gliniarz... jest z BAC-u... – pociągnąłem Renię za rękę i weszliśmy do jednego ze zrujnowanych bloków. Nie chcieliśmy przyciągnąć uwagi policjanta. Niedawno siedliśmy sobie na trawie w jednym z parków, żeby coś przekąsić i zaraz pojawiła się żandarmeria, żeby nas wylegitymować. Nie wiedziałem, że Francja stała się krajem policyjnym. Nic dziwnego, że na klatce schodowej widniał napis sprayem: „Nienawiść”.

– Z BAC-u? Ale nie z Armenii? – Renia próbowała jak zwykle obrócić całą sprawę w żart, chociaż było widać, że brutalność policji ją zaniepokoiła.

– To brygada antykryminalna – wyjaśniłem. – Wiesz, ubrani po cywilnemu policjanci, którzy rządzą biednymi przedmieściami francuskich miast. Są jak armia okupantów. Przepełnia ich nienawiść do miejscowych. Przechadzają się w pobliżu wejść do dużych bloków i zaczepiają każdego młodego, jakiego zobaczą. Słyszałem o tym od Georgesa, ale nie wierzyłem. Żądają dokumentów, a gdy kontrolowany się przeciwstawi, jest bity i kończy w areszcie. Jakoś nie wspominają o tym media z prorożkowego nurtu – powiedziałem do Renaty, gdy obserwowaliśmy z ukrycia, jak młody Arab został wepchnięty do samochodu z zaciemnionymi szybami. Pojazd ruszył z piskiem opon.

W klatce schodowej, w której się skryliśmy, nie było nawet światła. Winda zdawała się nie działać od lat.

– Zobaczysz, kiedyś tutaj wybuchną zamieszki przeciwko niesprawiedliwości, a zwłaszcza przeciwko brutalności policji.

– I będzie to usprawiedliwiony bunt... – wtrąciła Renia.

Przypominałem sobie, jak sam miałem kłopoty z policją – z powodu wydania mojej debiutanckiej powieści.

Scena nadaje się do sfilmowania:

– Jutro się pakuję i jadę szukać stancji w Lublinie – mówię do Reni, bo do mnie zadzwoniła. – Tak, tęsknię. Teraz siedzę w domu i piszę.

– Dziś w nocy miałam dziwny sen. Szłam do chatki Żeromskiego. Trafiłam do marketu, w którym mój nauczyciel historii – Skorup – przekonywał, że powinni go zamienić w nową szkołę. Poszłam dalej, przez pola. Po zbożu jechała karetka na sygnale, za nią radiowóz policyjny. Zboże było już dojrzałe. Zaraz za karetką jechała straż pożarna. Gnały w kierunku lasu. Szłam polną drogą. Tymczasem maluchem nadjechała Futrzak. Zabrała mnie do środka. Miała mnie zawieźć pod chatkę Żeromskiego. Drugą ręką malowała plakat, który miał być reklamą nowej szkoły. Na plakacie była przedstawiona uśmiechnięta kropka. „Skup się na drodze, przecież dopiero niedawno dostałaś prawo jazdy! – mówię do Futrzaka. – Daj, ja narysuję ten plakat”. „Nie, muszę sama – zaprotestowała – Skorup mi kazał, bo nie chciałam mu wyrwać włosów z nosa!”. „W takim razie – zatrzymaj się!”. Jedną ręką zatrzymała malucha, a drugą ciągle rysowała. Przeszłam przez jakieś tory w lesie i znalazłam się przy chatce. Składała się z odwró-

conych tyłem kart. Zastanawiałam się, jak do niej wejść, kiedy nagle zaczęła się palić. Karty sparzyły mi dłoń. I nagle nadszedł karetka pogotowia, straż pożarna i policja. Strażacy gasili pożar, felczer opatrzył mi rękę, a policja przeprowadzała dochodzenie...

Rozłączam się, bo na podwórko przed moim rodzinnym domem położonym u podnóża Gór Świętokrzyskich zjechał radiowóz. Czy to aby nie policjanci ze snu Reni – przyjechali w sprawie dochodzenia? Zbiegam po schodkach i wyglądam przez judasza. Za drzwiami stoi prawdziwy Judasz – mój kolega z licealnej klasy – Kolia. Towarzyszy mu kaptur Pikuś.

– O, jest – cieszy się kaptur Pikuś. Z osiem lat temu był świeżo upieczonym kapturkiem i przyjechał w sprawie spalonego gołębnika mojego ojca. W naszej okolicy nie działo się zbyt wiele, więc na parę lat zlikwidowano posterunek w Bačkowicach. Przywrócono go w zeszłym roku. Widokiem Kolii byłem zaskoczony. Niezła kariera po studiach prawniczych. Został stójkowym. A śmiał się ze mnie, że ja studiów nie skończyłem.

– O co chodzi?

– Narozrabiąłeś w „wielkim świecie” – w głosie Kolii pobrzmiwa zawiść. Z pewnością czytał wywiady, których udzieliłem prasie – tam często pisano, że wyrwałem się z świętokrzyskiej wsi w wielki świat. A Kolia? Zamiast mecenasem został wsiowym gliniarzem. To było znacznie poniżej jego chorobliwych ambicji.

– Niby jak narozrabiąłem? – denerwuję się. Dotąd żaden sąd nie postawił mi zarzutów w sprawie handlu podróbkami kart telefonicznych. Ale może wytropili coś jeszcze? Mimo że starałem się być uczciwym obywatelem, polskie państwo nie stwarzało mi zbyt wielu możliwości do godziwego życia. To była przyczyna wszystkich moich kombinacji. A ich efekt? Miałem prawie dwadzieścia siedem lat, a dotąd jeszcze nigdzie nie przepracowałem uczciwie jednego tygodnia.

– Chodzi o PKP – Pikuś posapuje z emocji. Na jego świńskiej, porośniętej jasną szczecinią niby zadprosiaka gębie, odmalowuje się uroczyste napięcie. Wielki detektyw Pikuś wpadł na trop gigantycznej afery, której rozwikłanie przyniesie mu awans na jeszcze większego Pikusia.

– Jak to, o PKP? – obawiam się, że dopatrzili się jakichś nieprawidłowości w wykorzystaniu dwóch opuszczonych stacji kolejowych podczas kręcenia *Stacji Mirsk*.

– Jeździłeś na gapę! – cedzi z satysfakcją Kolia. Ci detektywi przyjechali, żeby mi zawracać głowę paroma niezapłaconymi biletami kredytowymi? I to ma być ten wielki świat, w którym narozrabiąłem? Kto mógł stać za tą sprawą? Jezusek – wójt mojej gminy. Mścił się, że ośmieszyłem go w swojej książce. Z tego powodu nie kandydował do sejmu. A teraz jego kundelki – posterunek policji mścił się w urzędzie gminy – przybiegły mnie podgryzać.

– A co was to obchodzi?

– Jechałeś trzy razy... – cedzi Pikuś. – Trzeci niezapłacony przejazd traktowany jest jak próba wyłudzenia. Musimy cię przesłuchać w tej sprawie.

– Dajcie mi kwity, to od razu zapłacę i wypier... – nie kończę tego, co chciałem powiedzieć. Ze stójkowymi lepiej nie zadzierać – wykończyli już niejednego Janka Muzykanta. A potem szczerzyli bezmyślnie kły. – Nie mam czasu...

– A co robisz? – warczy Kolia.

– Piszę książkę...

– I znów będą to takie brednie jak ostatnim razem? – okazuje się, że starszy kaptur Pikuś w chwilach wolnych od tropienia złodziei drobiu zajmuje się także krytyką literacką.

– Zostawcie wezwanie na jutro, to przyjadę... – sytuacja wydaje mi się coraz bardziej groteskowa. – Zgodnie z prawem możecie do mnie przyjechać, jakbym się nie zjawił na wezwanie. A przecież nie było nakazu stawienia się...

– Przyjeżdżaliśmy do ciebie przez pół roku, ale cię nie było... – mówi Kolia. W jego tępowych oczach widnieje niechęć.

– Teraz musisz z nami jechać... – piknął Pikuś.

Śmieję mu się w twarz.

– Zamknijemy cię na czterdzieści osiem godzin w areszcie... – grozi Kolia. – Za stawianie oporu podczas aresztowania! – pieni się jak wściekły kundel.

– Jakie stawianie oporu? – śmieję się. – Jakiego aresztowania?

– Tak? – zaperza się Kolia. – Walnę głową w ścianę. Zznamy, że to ty mnie uderzyłeś... I co wtedy będzie? Nas jest dwóch, a ty sam...

To rzeczywiście było możliwe. Nie zamierzałem jednak spuszczać z tonu.

– Nie pojedę, bo... spójrz tam – wskazuję na pranie rozwieszone na sznurze w sadzie. – Wszystko uprałem...

– Jedź w tym, co masz... – upiera się Kolia i wskazuje wzrokiem na piłkarski dres, który mam na sobie. Jest już bardzo poplamiony, poprzecierany i połatany. Nie spaliłem go jeszcze tylko ze względu na sentyment do młodych lat.

– Zadzwoń do dziennikarzy... – Wściekam się i sięgam po komórkę. Ich postępowanie wydaje mi się niezgodne z prawem.

– Nigdzie nie bedziesz dzwonił! Jus my cie zaro tak usadzimy, ze ani piśnies! – wyrwa się po wiejsku Pikusiowi, w końcu pochodzi z Nieskórzowa.

– Włożę mokry sweter i spodnie, na waszą odpowiedzialność... – zdejmuję ciuchy ze sznura przed domem i przebieram się. Wszystko jest mokre, bo lato mamy deszczowe. Ubieram się i wsiadam do auta.

– Nie wojuj, bo niczego nie zwojujes! – popikuje Pikuś, a Kolia gna policyjnym rękodem po wyboistej drodze przez Nieskórzów do Baćkowic. Dobrze, że nie włączył koguta. – Myślis, ze jesteś łod nos lepszy?

– Mam w dupie was i całą tę zasraną okolicę... – cedzę.

– To sie stond wyprowadź, dobrze ci radzę! – dobrze mi radzi Pikuś, a Kolia kiwa głową z aprobatą.

– Z pewnością zniknę na jakiś czas. Ale kiedyś wrócę. Bez wątplenia! – siedząc na tylnym siedzeniu, patrzę w lusterko. Spuszczam wzrok, bo mijamy idących pod sklep Suchego i Ajmsorrego. Zaglądają do środka, żeby zobaczyć, kogo dorwali Pikuś i Kolia.

– Tutaj będzie dobrze – powiedziałem, gdy weszliśmy na trzecie piętro po obdrapanych schodach. Upstrzonych wulgarnymi napisami. Po drodze mijaliśmy gromadki Murzynów, którzy byli tak zaskoczeni widokiem w tym miejscu pary młodych białasów, że nie reagowali.

– Po co my się tutaj pchamy!? – cały czas syczała mi do ucha Renata.

– Zobaczysz, będzie dobrze! – uspokajałem ją, ale cały byłem spięty. Że też taki głupi pomysł przyszedł mi do głowy!

Weszliśmy do lokalu – był pusty. Miał odrapane ściany. Okno było wybite.

– To tutaj – powiedziałem.

– To jak jeździłeś? – pyta Pikuś, gdy siedzę w obskurnym pokoiku, szumnie nazywanym posterunkiem policji. Sam zasiada przy biurku. Wali grubymi paluchami, nawykłymi do roboty w oborze i w polu, w klawisze maszyny.

– Nie wiesz, jak się jedzie pociągiem? – drwię. – Wsiada się do przedziału i się jedzie...

– A dokąd jeździłeś? – pyta podchwytliwie.

– Do matki... – markotnieję. – Przyjeżdżałem do niej na gapę, bo nie miałem pieniędzy, ratowanie jej zdrowia pochłonęło wszystkie moje dochody... – gryzę się w język, bo niby skąd miałem dochody, skoro nigdzie oficjalnie nie pracowałem. Etatu u Tygrysa nie mogłem sobie wpisać do CV.

– A gdzie jest twoja matka? – detektyw Pikuś tropi wielką aferę.

– Na cmentarzu... – odcinam. – Pokazać ci grób?

Milknę. Upisał się ze dwie strony. Myślę o tym, że jednak moje działania przyniosły jakiś efekt. Zostały dostrzeżone przez wójta i całą resztę. Może to banalne i małostkowe, ale ich oceny były dla mnie ciągle ważniejsze od opinii recenzentów najpoczytniejszych gazet.

– Podpisz protokół... – żąda Pikuś.

Podpisawszy, mówię:

– Pamiętaj, ja kiedyś też spiszę swój protokół z tej sprawy...

Przez całą noc Renata nie mogła usnąć. Spaliśmy w śpiworach. Starałem się trzymać wartę. Ale w końcu zmógł mnie sen. Obudziło mnie zdecydowane szarpnięcie.

– Co tutaj robicie? – ktoś świecił mi latarką w twarz.

– Kto pyta? – starałem się dostrzec, z kim mam do czynienia.

– Policja.

Z jednej strony mi ulżyło, że to nie jakiś właściciel lokalu wrócił się upomnieć o swoją własność, z drugiej – to wcale nie była dobra wiadomość. Zastanawiałem się tylko, jak tutaj nas znaleźli? Czyżby te jebane czarnuchy na nas doniosły?

– Obserwujemy was od dłuższego czasu – powiedział jeden z nich – co tutaj robicie?

– Szukaliśmy noclegu...

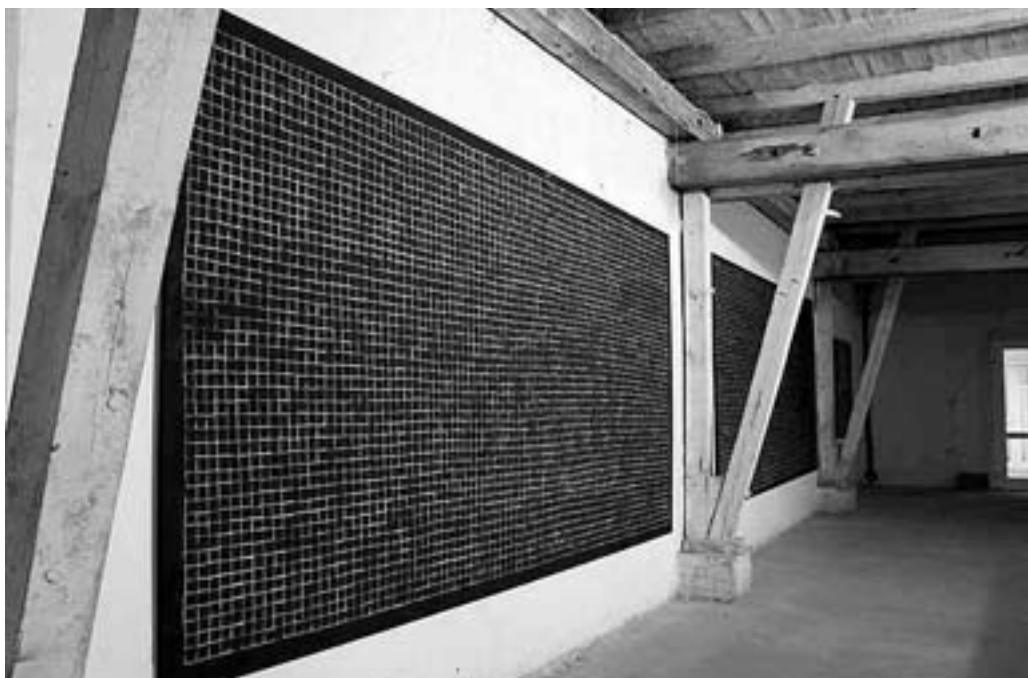
– Tutaj??? – rozległ się głośny śmiech. – Te czarne małpy zjedzą was żywcem. – Zabieraj swoją śliczną dziewczynę i zmiatajcie stąd!

Wyszliśmy z nimi z budynku.

– To może podrzucicie nas do centrum?

– A co to, uważasz nas za taksówkarzy? – burknął jeden z nich.

Wzruszyłem ramionami – a już myślałem, że zaskoczy mnie pozytywnie i okaże się lepszy od stójkowych z mojej rodzinnej okolicy.



# Nad wodą opowiadanie

*Kropłom wody, liściom i wiatrowi*

Bociany poleciały już na swoje sierpniowe, dla nich ważne, sejmiki. Była niedziela. Mocno jeszcze grzało słońce, ciągle grzało, zachęcając do spędzenia choćby kilku godzin w cichym krajobrazie. Tknęło mnie przecucie, że jeśli teraz z Pauliną nie wyskoczę na łono natury, to może tego roku już nie być tak dobrej okazji. Muszę natychmiast dokąś pojechać, pomyślałem i powiedziałem tak do samego siebie. Zapomnieć o kłótniach polityków, o katastrofie smoleńskiej, kolejowej, trąbach powietrznych, zerwanych dachach na Mazowszu i Mazurach, aferach, śledztwach, pomnikach, tablicach pamięci, rachunku za gaz i wodę, żywności modyfikowanej, bankrutującej Grecji i Ameryce, spadających samolotach, strasznej śmierci jakiejś studentki w Krakowie, Iranie, okropnej katastrofie kolejowej, o górnikach strajkujących w chilijskiej kopalni miedzi. Wyprawa, i to zaraz, bez odkładania jej na jakikolwiek inny dzień, nad Jezioro Linie, wydała mi się najlepszym pomysłem. Jakby miała być niezawodnym remedium także na wszystkie moje osobiste problemy.

Jezioro nie jest aż tak bardzo odległe. Trzeba tylko w Kargowej, za stacją benzynową, skrócić w kierunku Babimostu. W połowie drogi, po lewej stronie, w dolinie, wśród pięknych drzew buczyny, sosny, olchy, wśród lip i baldachimów klonów i akacji już każdy znajdzie żywe lustro wody. Pojechać tam koniecznie. Poczuję, że chętnie znajdę się w miejscu, które znam. I gdzie kiedyś bywałem. Lubię wracać do ścieżek, polanek, zarośli i kęp trawy. Im więcej je znam i mam w pamięci, tym bardziej chcę je odwiedzać. Jak człowieka, którego długie niewidzenie wzbudza we mnie nostalgię, a nawet dotkliwy ból. Taka moja słabość. Niekiedy spotykałem tutaj znajomych mi ludzi, przybyszów z różnych stron, niemal zamyślonych wędrowców, zakłopotanych podobnymi nastrojami jak moje. Tak jest w Liniach, nad tą wodą, w której cichych pluskach, falowaniu, zapachu i smaku, i w zmieniających się tonacjach barw dobrze bez reszty się zanurzyć. Dowiedziałem się trochę o faunie i florze tego jeziora, jego bagienności, głębokościach i rzeczce, a raczej kanale, który z niego wypływa i łączy się z Jezioro Wojnowskim. W ekscytujące opowieści o bogactwie ryb, węgorza, szczupaka, karpia wsłuchiwałem się z zapałem jeszcze w dzieciństwie. Rozbudzały moją wyobraźnię, gdy mi ojciec wieczorami opowiadał. Stąd rybacy nie wracali nigdy do swych odległych domów z pustymi rękami. Jaką to radością napełniał się i nasz dom, kiedy patrzyliśmy z braćmi na miskę pełną ryb. Czekano się na kolację, ach, jakże się czekało. Mimo że chciałem oderwać się od zgiełku świata i wszystkich jego cywilizacyjnych przedmiotów, popatrzyłem na domową biblioteczkę i niemal odruchowo wrzuciłem do foliowej torby książkę, aparat fotograficzny i na wszelki wypadek długopis, na wypadek, gdyby mi przyszło i chciało się tam coś na kartce zapisać.

Jedno lub dwa zdania. Słowo. Czasami zbawienne. Wielkie A. Nie zamierzałem przyzwalać sobie na zapomnienie Słowa. Jego magiczności. Punktu, który urasta do niebotycznego wymiaru. Jego niosących skrzydeł, które mają zdolność pojawić się w najmniej spodziewanej okoliczności. Ach, wiem już o tym. Poeci na całym świecie wiedzą. Wtedy świat staje się jasny, wysoki, piękny jakby był objawiony. Więc pojechałem nad małą-wielką wodę, cichą, senną, zachowaną między lasami, nie po to, by rozproszyć całą swoją wewnętrzność. I zdać się na cokolwiek. Ale jednak coś odnaleźć.

Widok był mi znany. Uderzyło mnie rześkie powietrze z cienistego wnętrza, z płuc lasu. Ożywczy tlen. Wszystkie odmiany seledynu wstąpiły w moje źrenice. Zarazem dotarły zapachy butwienia liści. Bez trudu objawił się swojski impuls tej ziemi. Błysnęło lustro jeziora. Jakbym oglądał magiczny film. Ludzie na trawie, na kocach, chłoną ostatki lata, pocą się w słońcu, w półcieniach, w sierpniowym zaduchu, drżenią prawie, później wstają, otrzepują się z jakichś dokuczliwych owadów lub mrówek, drobin trawy, o czymś gadają, zanurzają swe stopy w płytkiej wodzie, opłukują się z potu i pyłu, zapobiegliwie kładą ręce na brzuchach, by zamaskować ich nieforemność, tłuszcz, nadwagę, wielkie żołądki. Regularnie jedzą swoje urlopowe i wczasowe obiady oraz kolacje. Napychają jamy głębokie i żołądki ciężkim jadłem, kielbasami, obficie i bez ustanku. Popijają kawami, sokami, piwami. Mężczyźni głośno odprowadzają alkoholowe ceremonie. Kobiety dziobią małymi łyżeczkami porcje lodów. Spędzają tak czas wakacji. Jakoby bardzo pomyślnie i właściwie. Stać ich na to. Niektórych stać. Idą do swoich domków, pokoi, leżą chwilę na tapczanach i trawą pokarmy. Śmieją się głośno. Włączają telewizory. Słychać z daleka ostentacyjny śmiech, który drażni. Taki niesostosowny nad tym jeziorem, jego spokojem i łśnieniem. Znowu wracają na to samo plażowe miejsce, na koce, i ciągle wypoczywają od jakichś już chyba niedających się nawet nazwać trudów i zmęczeń. Od zmęczenia regularnym jedzeniem. Nikt nie bierze do ręki niczego, żadnej książki, jakiegokolwiek książki, poezji, filozofii, by swojemu odpoczynkowi nadać zarazem myślową formę. Nadać istnieniu duchowy kształt. A wystarczyłoby kontemplować choćby jedno zdanie pisarza, proroka, mędrca czy filozofa lub poety. Wolą się nudzić. Ktoś wolnym krokiem przechodzi wśród ludzkiego natłoku. Ubogi. Widać to w całej jego postaci. Usiadł na rozłożonej gazecie, ugiął nogi, patrzy w dal, milczy. Jak ten ostatni, który ma być wedle obietnicy pierwszy. I otworzą się drzwi królestwa. Może rozmyśla o życiu bez pracy, bez stałej pensji, o jakichś swoich niedostatkach i krzywdach, które go spotkały i także teraz tutaj pogłębiają. Wie, już wie, że na sprawiedliwość nie może liczyć. W tym świecie niehumanistycznym ludziom wiedzie się dobrze. Nie mają skrupułów. Skupia teraz wzrok na białym żaglu, który wędruje daleko po jeziorze. Tam, na łódce beztroscy, młodzi zaznają przygody lata. Nad nimi obłoki. Zrób coś dla świata, miejsce dla rosy, najwyższy czas uwolnić zapach maciejki i białych lili, usuń się w sen, ustąp miejsca ćmom, ich włochate pyszczki łakną światła spadającej gwiazdy.

Czytam słowa, które nie dają mi spokoju. Ile tu możliwości zastanawiania się, które nie niszczy dziecięcości człowieka, a nawet podnosi ją na najwyższy piedestał. Ale oni, ci coraz liczniejsi ludzie na materacach, leżakach, rozleniwieni spacerowicze, roznegliżowani, od wszystkiego chcą być jak najdalej. Pograżają się wyłącznie w swoich światach i nie próbują nawet zaznawać innej strony istnienia. Widać to po wielu twarzach. Starają się zapomnieć o własnym życiu. Bezmyślność i nuda wyciska w rysach ich twarzy swe piętno. Nie uświadczysz w tym widoku marzenia ani tęsknoty. Głównie niechęć do siebie i innych. Tu, nad wodą, przez chwilę mogłoby być inaczej. Zdania czytane i przemysłiwane wśród trawy, piasku, wobec kamienia, mchu, uderzane łśnieniami jeziora, nabierają uroku, cichości, prawdy, więc można byłoby je smakować, rozsiadywać się z nimi, chodzić z nimi, w towarzystwie roślinnych zapachów, różnorakich światła, kolorów, ruchu liści, szelestu, falowania lustrzanej, zielonej, turkusowej czy błękitnej powierzchni wody. To wszystko tu jest. Jakby kosmos. Wszelchświat w kropli rosy. Bóg na wyciągnięcie ręki. Cudowna harmonia, wobec której mój niedosyt traci na znaczeniu. Toteż chodząc po tych pejzażach leśnych, żywicznych, polnych, sielskich, łąkowych, kwiecistych, makowych, chabrowych, po igliwiu,



i wśród błyszczących jezior, pływając po nich łódką, łowiąc ryby, dotykając ziemi, kory sosny, brzozy mógł w swoim czasie Paukszta sporo stron napisać.

Na przeciwnym brzegu ktoś na cały regulator włączył radio. Nie radio – poprawiła mnie Paulina – tylko megafon, który wrzeszczy. Czterech młodzińców podniosło się i pobiegło grać w siatkówkę. Rodzinka jakaś wypożyczyła rower wodny i wolno sobie zwiedza pobraża wodnego akwenu. Podpłynęli do łabędzia. Przywitali się. Ten się nie płoszył. Ktoś zawołał, ktoś przebiega po piasku, by z impetem rzucić się w wodę, wywołując ogromny plusk i aplauz towarzystwa, ktoś wysoko w górę rzucił patyk, zapalił papierosa, natychmiast uderzył mnie duszący jego zapach, dym z marlboro, w oddali ptak dziwnie zaśpiewał, może zawołał, może załkał, zamachał skrzydłami, pies przyniósł patyk, śmignęła, jak tylko śmignąć potrafi, jaskółka. Lekko upadał liść klonu. Miła ta różnorodność, która nieco rozprasza uwagę w czasie czytania, ale też przydaje lekturze jakiś rodzaj arystokratycznego luksusu. Tu bycie wyróżnionym z całego otaczającego kręgu, w którym się tkwi, jest zapewnione. Szukałem oczami kogoś, kto też czytałby, ale nie znalazłem. Na lnianych płótnach tylko rozłożone kanapki, porcje kiełbas, musztarda, chleb, placek. W plastikowych butelkach kolorowe napoje. Słyszałem gadanie o jedzeniu, piciu, obyczajowe dowcipy, popisywanie się tych, co się dorobili i swoją lekkością wewnętrzną próbują mierzyć całą rzeczywistość. Do tego sprowadza się życie. Popatrzyłem znowu na niemłodego już mężczyznę, siedzącego na gazecie, który nic nie jadł, bo niczego nie przyniósł ze sobą. Żadnej torby, tylko puste ręce. Był inny od wszystkich. Zamyślony. W jego samotności i odrębności było coś z poety. Gdyby umiał pisać poezję, to byłaby to bardzo ważna poezja. O tym wszystkim, czego inni nawet nie dotykają. I chyba nie chcą wiedzieć. Wolność im służy do zdeptania słabszych.

Poszedłem do lasu, zerwałem liść, myślałem: już nie ma liści ani lasu, poczułem ból, serce bije, myślałem już, człowiek nie ma serca. Czytam to, co ktoś napisał. Przyjechaliśmy z Pauliną nad tę wodę, która układa teraz także te zdania. Pobocza drogi i lasu gęsto, ciasno obstawione pudłami aut. Z boku, w cieniu iglastych gałęzi, usadowiły się punkty gastronomiczne. Które z dala zwabiały wszelakiej maści smakoszy kolorowymi szyldami. Dzieci bawią się prawdziwie beztrósko, tylko one tak potrafią, tu i ówdzie towarzyszy im piesek, mały lub duży, rasowy, mocny labrador, zadbany lub najzwyczajniej tu i ówdzie kundel. Niektóre pieski nawet ochoczo wkraczają do wody. Przelatuje nisko motylek. Dziewczynka podskoczyła, ale nie udało się jej go złapać. Pobiegła więc po plastikową piłkę. A chłopiec za nią. I bawią się. Mamusia schowała się za ciemnymi przeciwslonecznymi okularami. Dodają jej twarzy symptomów tajemniczości te intrygujące okulary. W pobliżu, dwa metry dalej, inna kobieta ze swoim mężczyzną, milczą – tak pomyślałem. Ona w wysoko zaawansowanej już ciąży. Od razu dostrzegalna. Gładzi swój wielki, nabrzmiały, obnażony brzuch. Smaruje go kremem. Długo, po całej powierzchni. Jest jednak odważna. Prawie podbrzusze tak dotykać. Kiedy wstała, wydał mi się ten jej brzuch jeszcze większy. Kilka lat temu swój stan starałaby się tuszować w specjalnej, luźnej, obszernej sukience. Teraz już żadna kobieta tego nie robi. Jakby nawet celowo odsłaniają ciężarne brzuchy. Idą ulicą i je manifestacyjnie pokazują. Erotyczność się upubliczniła. Tu, nad jeziorem, niektórzy, chcąc się uwolnić od nadmiaru ludzi, kierują się na pomost wchodzący w świecące lustro. Tam konfesyjny kontakt z wodą, powietrzem, światłem i przestrzenią mają zapewniony. Ich myśli zapewne podążają ku bezkresnemu niebu albo nieokreśloności istnienia. Nieco dalej, na ścieżce, narzeczeńskie pary trzymają się za ręce, nad czymś skupione, taktowne, jakby nie wiedziały, co ze sobą zrobić, co powiedzieć, jakie wybrać odpowiednie słowo, jaką tonację głosu. Idą zgodnie niespiesznym równym krokiem, podobnie pary młodych dopiero co upieczonych małżeństw. Też zachowują się ciągle uroczyście i trochę nieśmiało. Znienacka pojawiają się cykliści. Pędzą całe rodziny w komplecie. Inni spacerują wolno, bardzo wolno, ich ciała kołyszają się, w milczeniu, wszystko ze sobą mając już omówione, cele życiowe, zarobki i wydatki, aż do znudzenia, może są zadumani nad czymś, trzymają w ręku pęki naciętych na brzegu jeziora trzciny.

Moje oczy oglądają dość chciwie, mniej lub więcej, na tyle, na ile tylko to jest możliwe, ciała młodych kobiet. Łowię je swoim wzrokiem, ładne twarzyczki, kształty, włosy, wydatne wypukłości piersi, pośladki, uda, nogi, pachwiny opięte ściśle, przemyślnie, by odsłonić wszystko co korzystne, ale za dużo jednak nie odsłonić, nie pokazać, każąc się więcej domyślać niż zobaczyć lub odwrotnie. Nęcące są ciała dziewcząt traktujących owe biustonosze raczej swobodnie, symbolicznie. Jakie to proste i oczywiste. Pięknym, rozleniwionym łanion, jak powiada Kazik, żaden strój potrzebny nie jest. Mógłby nie być potrzebny. Tylko nagość. To dopiero byłaby rewolucja. One są właśnie takimi łaniami, młodymi kózkami, sarenkami na trawie. I jak tu się ich widokami nie zaciekawiać. Przekonywałem się o tym. Nawet króla Salomona niejedna z tych bogiń mogłaby wprowadzić w stan zachwyty. Twoje policzki między sznurami bisioru, twoja szyja w ozdobnych łańcuchach, oczy twoje jak gołębicę. Dziewczęta, dziewczyny, panienki naprężające swoją młodość. W półsiedzącej lub półleżącej pozie wysuwają powabne, młode biusty do przodu, niemal pokazowo, podpierając się na dłoniach za plecami, na łokciach się wspierając, zapewne intuicyjnie, prawie jak na wystawie, oczywiście plażowej wystawie, tak prężą swe ciała. Spragnione. Tej ostentacyjnej młodości, świeżości i sprężystości nic ponadto nie jest potrzebne. Niczego im nie brakuje.

Paulina starała się nie zauważać mojego zaaferowania. I dobrze. To wszystko, tu gdzie piasek, las, trawa, zapach i woda, i delikatny wiatr, miało pćciowy, dotykający zmysłów charakter. Świadome swoich atutów singielki, rozglądały się na różne strony w poszukiwaniu męskich obiektów, mężczyzn po prostu, okazałych, silnych, którzy mogliby je adorować. W ich drobnych gestach, spojrzeniach, w wyrazie twarzy, zabiegach były obecne drgienia emocji i zmysłów.

Kilka kroków dalej obok leżącego na wznak mężczyzny na kocu siedziała dziewczyna. Pochylała nad jego głowę swoją twarz, jego twarz przykrywała swoimi włosami i składała delikatny pocałunek, zaledwie dotykając krawędzi jego ust. Jakby od dawna wiedziała, że to właśnie najlepiej na niego działa. Była młoda, od mężczyzny sporo młodszą, on starszy, dobrze zbudowany, wyglądał na kogoś w rodzaju biznesmena. Znaleźli dla siebie małe ustronie. Auto zaparkowane było daleko. Można się czegoś domyślić, uciekli tu przed kimś dla siebie.

Na niektóre kobiece i męskie ciała jednak patrzyłem z politowaniem, prawie w odruchu niechęci. Były już wyraźnie zwiotczałe, spracowane, nieopalone, blade, mdłe, zużyte, pożółkłe, nieapetyczne, obwisła skóra, tłuste, ciężkie, grube, rozrośnięte tułowia, wzdęte brzuchy z wiszącymi fałdami tłuszczu i nabite mięsem. Ciała starych i podstarzałych ludzi. Wszyscy patrzyli przed siebie, spokojnie, jakby chcieli tak zawsze już tylko patrzeć, daleko, jak najdalej, na błyszczące jezioro, i jeszcze dalej, już tylko czekali, chcieliby stąd wrócić do swych domów odmienieni, w powłokach nowej skóry, napełnieni lekkością, pokrzepiającymi myślami o przyszłości, tak aby nawet ich lodówki, meble, opakowania z lekarstwami, talerze, sztucce, kanapy, kieliszki i szklanki nie kryły zdumienia z powodu zaskakującej przemiany.

Nieco dalej na plecach nastoletniej dziewczyny zauważyłem wytatuowany krzyż, coś takiego nie tak dawno byłoby nie do pomyślenia, a teraz jest to normalne, zwyczajne, krzyż wkłuty igłą w delikatną jej skórę. Zostanie tam na zawsze i ona umrze razem z nim, tak, między piersiami i nad wzgórkiem łonowym też jakiś napis, rysunek drobny, przechodzę, muszę przechodzić, inni też przechodzą, też patrzą obojętnie. Jej koleżanka w okolicy talii, tuż nad pośladkami, prezentowała wytatuowany symetryczny wzór, a na szyi chińskie znaki. Po coś to wszystko lub nie po coś, może zachęcające do czegoś bardzo pikantnego, także na prawym ramieniu tatuaż, szyfr, któremu nie zdążyłem się dokładniej przyjrzeć, jakby gwiazda, tak, gwiazda, zupełnie bez światła, płaska jak nalepka na skórze, mignął mi tylko jej zarys, taka moda, coś to znaczy albo nie znaczy. Ale czy mój to problem? Te nowe rzeczy. Te dziewczyny, co ze sobą robią, będą robić, co chcą robić, czegoś chcą, już nie czytają, jeszcze przejdą swoje piekła i nieba, straszne straszności. Nie uda się im (ani nikomu) nie zapłacić ceny, gdy je dotknie los. Wcześniej oczywiście wyprą się staroświeckich prawd. Powiedzą ze śmiechem. Ktoś napruty winem i palący jakieś zioła napisał,

no, tę grubą starą książkę, taką tam. No wiesz. Cholera! Rozdzierali ją na scenie na kawałki. Księgę. Wrzeszczeli na całe gardła, grali, tańczyli. Ktoś zdjął spodnie, majtki, i wypiął tyłek do publiczności, pokazał swoje genitalia. Według własnego widzimisię i kaprysu. Jak zabawa to zabawa.

Nie czułem się jednak tą myślą pocieszony ani na moment upewniony, że jestem w lepszej sytuacji. Zamykałem się w sobie. A nawet gubiłem wewnętrznie. Byłem bardziej samotny. Bliższy pewności istnienia śmierci, która drepcze i tu w tej przyrodniczej beztrosce. Aż strach pomyśleć, że tak blisko drepcze. Szedłem nad tym Jeziorem Linie, zdziwiony i zdumiony, widząc to wszystko, czego kiedyś nie było mi dane zobaczyć, jakby już na marginesie życia szedłem, któremu z coraz większym trudem potrafię podołać i któremu już prawie nikt nie przyznaje racji. Chcieliby, aby nie pokazywać się już ze swoim życiem na oczy. Bo teraz już nie mój czas, ale ich pięć minut. Ich posad i władztwa.

Przystawałem, zwalniałem kroku, nie miałem sił iść zwawo ani nie chciałem, nie tak szybko, bo po co, i dokąd, więc wielu mnie wyprzedzało. Gdzieś chcieli być jak najszybciej, pełnią sił pędzili. Biegli. Jak zdobywcy świata. Takimi to drobnymi szczegółami, używając pospolitego, trywialnego argumentu, obcesowo zagadywał do mnie Czas. Chciałem uwolnić się od natrętnej myśli o śmierci. Za trudnej dla mnie, by przy niej pozostawać choćby chwilę dłużej. Pozostało tylko to jezioro, niezmienne. Dawało mi teraz, tutaj, na skrawku ziemi pod stopami, tylko ono, namiastkę czystego trwania. Uzmyslałem kosmiczny wymiar każdej rzeczy. Myślałem o tym i nie mogłem uwolnić się od niepokoju. Wiem, że to banalne. W tym samym miejscu, przed tysiącami lat, identycznie, lekko, błękitnie odbijało się niebo. Jezioro inne od ludzi, od dzisiejszej mody, przekleństw, przebiegłości, urządzeń technicznych, propagandy, licznych wojen i katastrof, inne ode mnie, od moich myśli popadających w zwątpienie. W nim tkwi zaklęta, tajemnicza wiedza, wieczna legenda, o której nikt z odpoczywających na plaży, i w małej zatoczce, w upatrzonym przez siebie zaułku, między łozami, nawet nie pomyśli. Zresztą jak o tym pomyśleć. I co miałyby z tego wynikać. Z tego, że świeci słońce i słusznie byłoby do niego się upodobnić.

Poczułem ulgę, kiedy Paulina pokazała mi miejsce, które mieliśmy osiągnąć, i osiągnęliśmy, osobne, wolne, nie tak rozległe jak ta wielka nieopodal plaża, pełna ludzi, gwaru, hałasu, śmiechu. Znaleźliśmy nareszcie skrawek żółtego piasku, trochę pustki, milczenie nieba, trawę, zioła, spokój świata, jakieś kwieciste pnącza. Małutka zatoczka witała nas, wolna od krzewów i wodnego, mazistego zielska, z ładnym widokiem na ścielący się na jeziorze blask. Uderzyło mnie mocne, jaskrawe światło, więc musiałem zmrużyć oczy. Paulina rozebrała się i po krótkim rozbiegu rzuciła się w płytką wodę. Mogłem sięgnąć po aparat fotograficzny i na pamiątkę zrobić jej zdjęcie, ale nie zdążyłem. Wzbudziła wokół siebie wielki, wodny rozprysk, tęczyowy gejzer piany, który zaraz opadł. Na grubym kocu położyłem książkę, długopis, zeszyt. Cóż tu dla mnie, jaka odpowiedź na pytania, rozterki i poszukiwania sensu. Zmieniałem się po chwili w zamarłego w bezruchu obserwatora szerokiego krajobrazu, drzew, obłoków i horyzontu. Za którym, dalej i dalej nieustannie rozstrzygają się, pomyślnie lub nie, codzienne, ludzkie losy.

(III nagroda w XII Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukshy ph. „Małe Ojczyzny – pogranicze kultur i narodów”, Kargowa 2011)

**twarde sylaby krzyku**

pierwszy plan  
generalskie epolety  
nieznośnie obce garnitury  
opięte na brzuchach  
szereg umundurowanych karabinów  
przy twarzach bez wyrazu  
twarde sylaby krzyku  
po nich marszowy tupot

drugi plan zamazany  
niezborny  
bez musztry  
uśmiechem rozmytym łzami  
szuka otuchy  
dla odchodzących drogą  
ku sprawom nie do wyobrażenia

on odmierzy dni trwogi  
metrami przestrzeni  
dla wspólnego życia  
ona odepchnie przecucie  
ocynkowanego powrotu  
oboje chcą wierzyć  
twardym sylabom krzyku  
głuszącym lęk

**nierozpoznani**

*Magdalenie Abakanowicz*

zwielokrotnionym echem sięga głębi ziemi  
bezglowiem nigdy nie dosięga nieba  
tłum gęstniejący w rozdarłej przestrzeni

krocą po ziemi  
ciężkie kadłuby  
wkłęknięci w bryłę  
ludzie bez twarzy  
nie do pojęcia  
nierozpoznani  
tu żadna trąbka żaden śpiew ptaka  
krocą choć stoją krzyczą bezgłosem  
dokąd ich wiodą?  
przeciw czemu krzyczą?

wchodzisz w tłum i lęk  
zaciska ci gardło

**znamię kainowe**

zacichło echo mocnych stóp  
kosiarze ludzkich głów  
odeszli po robocie  
ochryple krzyki tych co zabijali  
i niemy jęk pomordowanych  
zastygły płatem rdzy na piasku  
zmąciły rzekę rudą falą  
szarością pola zapyliły

poznał Jahwe że Kain  
zawsze zabije brata  
że na górę Moria  
musi wysyłać anioła  
by zbrojne ramię nie opadło  
na kark syna

czy znamię kainowe wciąż plami?  
czy zadrży mi ręka  
gdy włożą do niej nóż?

**...vivere non est necesse**

za widnokretem pamięci pozostawiłeś obrazy  
zepchnięte w podświadomość stłoczone kolaże  
lat minionych i nalogu cyberprzestrzeni  
kipią pięknem i grozą

w oczekiwaniu na nieuchronność  
przewijasz film życia  
kwilenie niemowlęcia  
krzyk duszy mężczyzny  
szept starca

zapada kurtyna  
linią horyzontu odcinasz się od tych  
którzy żeglują

# Opowiadania

## Krzeseł

Po śmierci moich rodziców został pewien zasób rzeczy codziennego użytku. Stały przez lata. Ich widok, ich swojska obecność, kształt i kolor, od samego dzieciństwa towarzyszyły mi w życiu. Były i już. W swoich szczenięcych latach miałem możność po wielokroć przysłuchiwać się, a w zasadzie dowiadywać, gdzie i w jakich okolicznościach przyszło im je nabywać, a raczej zdobywać. Zdobywać, bo przecież z nikim, z żadnym ich właścicielem nie ustalali ceny, nie płacili pieniędzy, ani nawet nikogo nie pytali o zgodę, czy mogą sobie je tak po prostu na własność zabrać. Jechali z Niemiec do Polski, tak myśleli, byleby tylko jak najszybciej po latach niewoli wrócić z przymusowych robót w ojczyste strony, tego pragnęli najbardziej, nie docierały do nich, choć może i docierały, ale nie dowierzali im, polityczne ustalenia, które zapadły w Jącie. Mimo lat pracy nie mieli nic. Wczesną wiosną, konnym wozem, przemieszczali się przez opustoszałe z ludności niemieckiej wioski. Odbywali wtedy dość niebezpieczną podróż z Guntersdorfu do Jaromierza, by tu osiąść i gdzie ja się urodziłem. Ta podróż mimowolnie wyposażała ich w krzesła, stół, szafę, łóżka, sztućce, talerze, jakieś drobne przedmioty potrzebne do życia, także w obraz dość dużych rozmiarów, o religijnym charakterze, który obecnie wisi w moim domu, a wcześniej jakiejś niemieckiej rodzinie dawał posługę duchową wizerunkiem Cieśli z Nazaretu, pochylającego się nad dzieciątkiem Jezus, które na rękach trzyma Maryja Panna. Nad ich głowami przestrzeń zwieńczona jest białą kwitnącymi gałązkami jabłoni. Opustoszałe niemieckie domy były pełne różności. Dla ludzi biednych, a takimi byli wtedy moi rodzice, to były bogactwa. W spiżarniach stały stoiki z wiśniowymi zaprawami. Przysłowiowy obiad czasami dymił na jeszcze gorącej, kuchennej blasze. Jakby w celu nakarmienia tych, co przyjdą. Przybędą. Głodnych, obcych ludzi. Jedni tracili swoje posiadłości, cały życiowy dobytek, inni go obejmowali. Tak decydowała o ludzkich losach historia. Poniemieckich rzeczy z biegiem lat z naszego domu jednak ubywało. Różne przygody je spotykały. Po prostu wykruszały się. Pamiętam jak stary, poniemiecki kredens kuchenny, teraz wiem, że był piękny, ustąpił miejsca współczesnemu kredensowi z płyty paździerzowej, jakoby ładniejszemu wyrobowi masowej produkcji stolarskiej, mimo że był o kanciastych zarysach. Jego argumentem było to, że robił wrażenie nowoczesnego mebla. A przecież naprawdę elegancki był ten niemieckiej roboty. Sporo rzeczy jednak ciągle nam służyło. Były to solidne przedmioty, np. porcelanowy dzbanek do herbaty czy krzesła. Jedne w pokoju sypialnym, a zarazem gościnnym, wyściełane pluszowym materiałem, a inne, proste, twarde jak to w kuchni. Wytrzymały sporo lat. Co jakiś czas odmalowywał je ojciec lub robiła to mama, zawsze na biały i brązowy kolor. Ale nawet się nie obejrzałem, kiedy po latach okazało się, że z całego tamtego naszego, domowego wyposażenia,



zostało jedno liche krzesło, które było już tylko z kąta w kąt przestawiane i nikt o nie nie dbał. Zostało na koniec wstawiane do graciarni. Całkowicie zapomniane. Osamotnione. W pewnym momencie znalazło się na dworze. Wyrzucone z domu. Poddane działaniu deszczu, mrozu i słońca. Farba złuszczyła się. Łączenia zrobiły się ruchome, więc przestało być stabilne. Już nie do siedzenia. I patrząc na nie, miało się tylko jedną myśl. Na nic się już nie nadaje, naprawiać go nie ma sensu. Nie warto. Rozeschnięte, brudne, zrujnowane krzesło. I na co komu to jedno krzesło. Nic tylko porąbać je i spalić. Chyba w przypływie jakiejś dziwnej refleksji odezwała się we mnie chęć jego ocalenia, czyli uratowania od zagłady. Zacząłem się nim zajmować. Po oczyszczeniu z farby dotarłem do surowego drewna, zobaczyłem stare, pociemniałe słoje sosny posadzonej najpewniej jeszcze na początku dziewiętnastego wieku. Ten zbędny przedmiot powoli zaczął odzyskiwać swoją rację. Zaczął żyć. Z dnia na dzień upewniałem się o słuszności podjętej decyzji. Siedzieli na nim Niemcy, następnie moi rodzice, ja wysiadywałem do późnej nocy, odrabiając lekcje, pisząc wiersze, a teraz, wiem to, to krzesło w mojej świadomości znaczy na pewno więcej niż to, czym materialnie jest.

## Czarne kiszki

W dawnym czasie kilka doznań miało dla mnie wielką moc. Można by je detalicznie opisać. Każde było wypełnione różną, odległą od siebie treścią. Jednym z tej kategorii przeżyć był dzień świniojebicia, który corocznie w naszym wiejskim, rodzinnym domu w Jaromierzu, w miarę jak nadchodziło Boże Narodzenie, nabierał szczególnej wagi. Zresztą nie tylko w naszym domu. Kiedy przy stole, w czasie kolacji lub obiadu, pojawiły się rozmowy o potrzebie kupienia czarnego pieprzu, majeranku, kaszy jęczmiennej, soli, cebuli, czosnku, bułek, liści laurowych, to wiedziałem już, że to szczególne święto jest naprawdę blisko. Co jakiś czas ojciec zdawał mamie relację ze swoich oględzin i ocen wagowych naszego wieprzka. Wyczuwałem w jego głosie sporą dozę ekscytacji. W końcu jak najbardziej uzasadnioną, bo zbliżał się bardzo ważny dla nas wszystkich moment. Aż wreszcie ustalony dzień świniojebicia stał się faktem. Od wczesnego rana palone było w piecu, gotowana była w dużej ilości woda, potrzebna do oparzania zabitej świni z sierści. Przygotowywane też były liczne garnki i miski. Kto tego nie przeżył, nie wie, o co chodzi. Na tę chwilę czekałem i nie mogłem się jej doczekać. Dopytywałem niemal codziennie, kiedy to będę mógł zjeść zupełnie niereglamentowane przez mamę, gorące, bardzo smaczne, wyjęte dopiero co z kotła, świetnie przez wytrawnego i cenionego w okolicy rzeźnika ze Starego Jaromierza, niejakiego Kaczmarka, mężczyznę niskiego wzrostu, przygotowione różne wyroby, a w tym także moje bułczanki. Rano wychodziłem do szkoły, a rzeźnik akurat przyjeżdżał rowerem z całym swoim sprzętem masarskim. Kiedy wracałem, kałuża zwierzęcej krwi znaczyła bielutki śnieg. Moja pyszność nad pysznościami, czyli czarne kiszki, bułczanki, były gotowe i absolutnie nadawały się już do zjedzenia. Ile ja, dzieciak z trzeciej klasy, mogłem wtedy tego zjeść, najwyżej dwie, trzy sztuki, nie więcej, bo zgłodniały żołądek szybko się nasycał. Jednak ten jej smak z dodatkiem musztardy był jedyny w swoim rodzaju. To była jedna z tych chwil o charakterze uczty, dawała poczucie dobrobytu, spokoju, zadowolenia, który trwał później jeszcze jakiś czas, kilka miesięcy, aż zjedliśmy wszystkie owe wątrobianki, salcesony, kiełbasy, wędzone boczek, mięsa wszelkiego rodzaju, szynki i mielonki. I nastawały dni raczej zwyczajne, nieco chude, pod względem wyżywienia już raczej monotonne.

Z rzeźnikiem Kaczmarkiem łączy się tragiczna historia. Z pochodzenia był Niemcem i pod koniec lat sześćdziesiątych uzyskał odpowiednie dokumenty na wyjazd do swojej rodziny w Niemczech Zachodnich. Papiery miał już w rękę, wystarany paszport w swojej kieszeni. Na pewno bardzo żył tą ważną dla siebie sprawą. Na kilka dni przed wyjazdem zginął, zimową porą, w wypadku samochodowym.

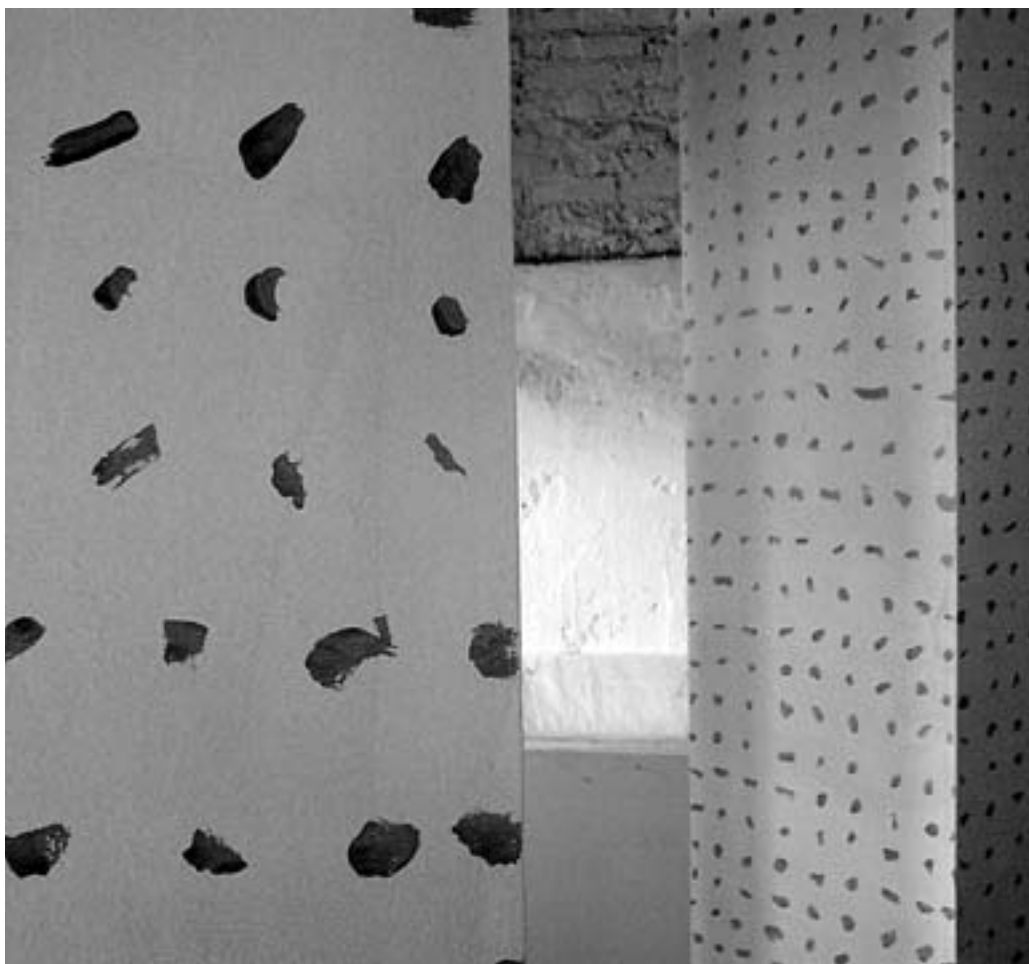
## W Berlinie Zachodnim

*Liobie Happel i innym z Wiepersdorfu*

W latach osiemdziesiątych, kiedy już było można, bo wojskowy reżim Jaruzelskiego pozwolił, odbyłem trzy podróże. Poniekąd inicjacyjne. Pierwsza zawiodła mnie do portowego miasta Hamburg. Całą noc jechałem przez Niemcy mizernym, zielonogórskim autobusem. Nie widziałem przez to nazbyt dużo tego kraju, prawie żadnych szczegółów ani pól, żadnych drzew, łąk, lasów ani architektury mijanych miejscowości, choć bardzo chciałem. Niektórzy współpasażerowie tym autobusem po prostu wyjeżdżali z Polski do lepszego świata jako zdeklarowani uchodźcy polityczni. Zgłaszali się po przybyciu na miejsce docelowe na policję i dostawali niemal od ręki prawo pobytu. W zasadzie z każdego takiego autobusu tylko garstka podróżnych wracała do ojczyzny. Taki był wtedy porządek spraw. Noc za oknami była czarna, matowa, jesienna, długa, pozbawiona nadziei. Hamburg zaś od razu uderzył neonami. Nieustannym ruchem luksusowych aut. Jakby wyczarowywał najśmielsze kolorystyczne fantazje. Spacerowały kobiety, jacyś mężczyźni stali grupkami na chodniku. Palili dobre papierosy. Zajrzałem, wiedziony niepomahowaną ciekawością do słynnej dzielnicy Czerwonych Lamp. Ktoś wiedział, którądy trzeba tam iść. Poszliśmy więc. Na witrynach, za panoramicznymi szybami pojedynczo, nieruchomo siedziały nagie kobiety. Upodobnione do posągów bogiń rozkoszy. Sprawdziałem wtedy w sobie męską odwagę patrzenia na nie. W innym miejscu Hamburga weszliśmy wąskim korytarzykiem do jakiegoś ciasnego lokalu, który, wydawało się nam, wyglądał na typową kawiarnię. A nie był nią. Wypełniony był przyciemnionym światłem. Półmrokiem. Na małej scenie w rytm orientalnej, sączącej się muzyki tańczyło kilka bardzo mocno roznegliżowanych, kształtnych, powabnych, młodzieńskich, delikatnych dziewczyn, pochodzących z Tajlandii. Od razu podeszła do nas starsza kobieta. Wydekołowana wyraźnie. W czerwonej, lśniącej bluzce z jedwabiu. Dwa guziki był odpięte. Od razu dostrzegłem mocny makijaż na jej twarzy. O coś po niemiecku zapytała. Słowo „seks” wyłożyłem z jej zdania. Nie było naszym celem w tym lokaliku dłużej zagrzewać miejsca. Wycofaliśmy się. Dotykałem, podekscytowany, zupełnie obcego mi świata. Intuicyjnie przeczuwałem jego charakter. To wszystko starałem się później wyrazić w wierszu *Hamburg*. Wracałem niejednemu raz do obrazu tego miasta, które „Sennych przywabia wędrowców spragnionych dziwności. I upokarza oczy patrzące na bezmiar przedmiotów”. Kolorowego, lśniącego, wykwinnego, z dozą wpisanej w jego mury obcości. Myślałem, bardzo często myślałem, jak tu jest, czy tu jest dobre, lepsze niż w Polsce życie. Patrzyłem na nie także przez pryzmat opowieści mojego ojca, który mówił jak to pod koniec wojny eskadry amerykańskich bombowców ciężko leciały, pełne śmiercionośnych bomb, właśnie na Hamburg, by zrównać go z ziemią.

Niedługo później pojechałem do Berlina Zachodniego. Wysiadłem z pociągu w Berlinie Wschodnim, przeszedłem przez silnie strzeżoną granicę, na której enerdowscy strażnicy dokładnie, rutynowo kontrolowali mi paszport. I za innymi podążyłem tunelem do kolejki podziemnej. To uczucie stawiania pierwszych kroków w takim miejscu było jedyne w swoim rodzaju. Towarzyszyła mi psychiczna niepewność, nawet lęk, a zwłaszcza nieznanomość topografii miasta robiła swoje. No i na dodatek ciążyła mi słaba znajomość języka. Wędrowałem ulicami Berlina Zachodniego poniekąd na ślepo, bez żadnego przewodnika ani adresu, do którego mógłbym zmierzać, z kimś się przywitać, wejść z nadzieją, że ogrzeje się, umyje twarz, ręce, napiję się herbaty i odpocznę nieco. Nic z tych rzeczy. I to było jednak okropne. Usiadłem na chwilkę na zimnej ławce przy skwerze. Patrzyłem. Siedział na niej wiele lat wcześniej Witold Gombrowicz, gdy przebywał tutaj na stypendium literackim. Czułem się strasznie samotnie. Jak rzucony w otchłań. A przede mną ogrom, miejski moloch, poranny ruch, neony, pełno aut, zapachy kebabów, policjanci spacerujący jakby od niechcenia w pobliżu jakichś budynków. Chłonałem te obrazy

bezgranicznie całym sobą. Wszystko takie zadbane. Równe chodniki, gładkie ulice. Raz po raz pojawiali się Polacy. Słyszałem polskie słowa. Co wpływało na mnie kojąco. Wszedłem do jakiegoś sklepu. A tam ogrom produktów – taki, że przyprawił mnie o zawrót głowy. Poczułem swoją znikomość, bo chciałem kupić tylko jakiś drobiazg. Już nawet nie pamiętam, co wtedy chciałem kupić. Obok mnie szli mężczyźni i kobiety z całego świata. Afrykanie, Arabowie, Japończycy i inni Azjaci. Tu znaleźli swoje miejsce do życia. Czułem, że są zdomowieni i zarazem zadowoleni z życia. Może się łudziłem. Szedłem poboczną ulicą, w pobliżu rzeki czy kanału, niepostrzeżenie przybliżył się do mnie jakiś mężczyzna w średnim wieku, w kapeluszu, jesiennej kurtce, też wolno szedł, miałem wrażenie, że chce o coś zapytać, ale gdy zrozumiał, że nie znam języka, wyjął niemal bez wahania z torby czekoladę, prawie bezszelestnie rozwinął papier, przełamał ją na pół i ze słowem „bitte” skierował rękę w moją stronę. Zaskoczył mnie ten gest, a raczej zupełnie niespodziewany jego uczynek. Dość niewprawnie, ale z iskrą radości wyrzekłem swoje „danke”. I tak każdy dalej podążył w swoją stronę. Trochę inny wtedy wydał mi się Berlin Zachodni.



**Tak różni**

*Marceli...*

Co we mnie dojrzało, w tobie się rodzi.  
Co we mnie umarło, w tobie żyje.

Jesteś moim śladem,  
Zagubionym wspomnieniem.  
Ja – twoją drogą, nadchodzącym dniem.

Twój świat to kilka miejsc bez nazwy  
I rozmyte twarze, które bez trudu można podmienić.

W twoim świecie wazon jest jeszcze cały,  
W moim – rozbity na tysiące kawałków.

U ciebie we śnie niby-drzewa nie mają jeszcze korzeni.  
U mnie – już dawno zrzuciły liście.

Twoje kryjówki są doskonałe.  
Moje – już zdążyły mnie zdradzić.

Nie pytasz, bo jeszcze nie poznałaś.  
Ja poznałem, więc już nie pytam.

Jesteśmy tak różni.  
Kto by pomyślał, że coś nas łączy, córeczko?

**Prosząc o cud**

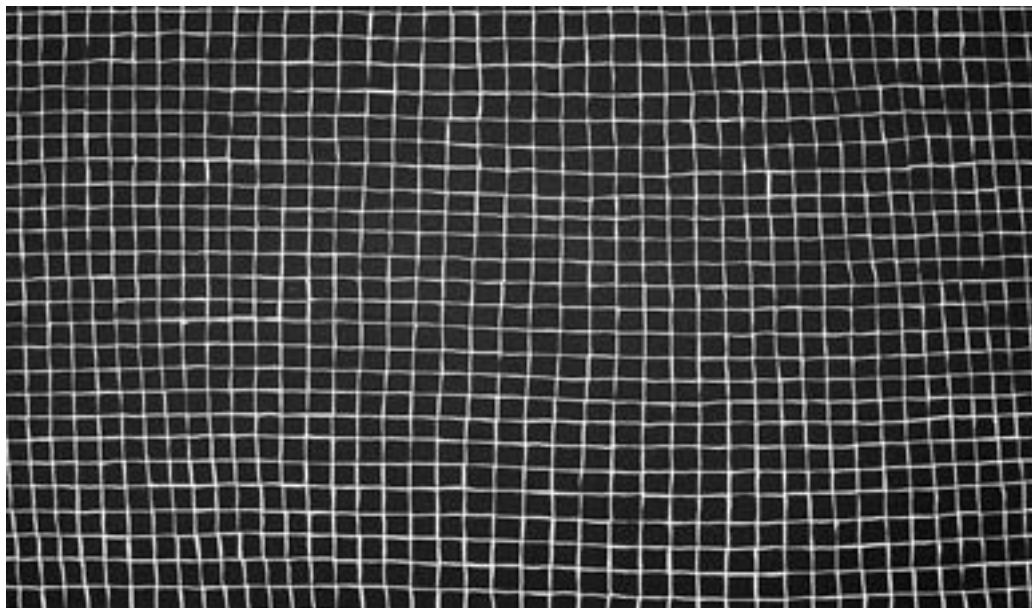
Boże –  
Chociaż prosimy –  
Oszczędź nam cudów.

Nie zmieniaj rzeczy,  
Nie wybawiaj z trosk,  
Nie poprawiaj niedoskonałości.

I tak nie uwierzemy,  
A jeśli nawet,  
Zapytamy z wyrzutem:

Dlaczego tak późno, tak niewiele,  
Jakie to ma znaczenie  
I co teraz z nami?

Oszczędź nam cudów,  
Bo jeszcze się pokłócimy  
Lub gorzej – rozpętamy wojnę.



## ZBLIŻENIA

Kamila Gieba

### Mitologiczna rekonstrukcja piastowskich korzeni w lubuskiej literaturze ludowej na przykładzie *Złotej dzidy Bolesława*

Tereny obecnie leżące w obrębie Ziemi Lubuskiej przez blisko siedem wieków nie należały do państwa polskiego, toteż nie dziwi fakt, że przez ten czas polski rodowód tego obszaru mógł ulec społecznemu zapomnieniu. Po przyłączeniu Ziemi Zachodnich do Polski konieczne stało się zrekonstruowanie wymierającej pamięci zbiorowej. Osadnicy przybywający na zachód znaleźli się

w specyficznej sytuacji – raz, że wyrwano ich z rodzimych stron i wcielono w nowe, obce dla nich miejsce, a dwa, że przedwojenną polskość owego miejsca można by kwestionować. Z tego względu konieczne stało się konstruowanie regionalnych korzeni, czemu posłużyła zakrojona na szeroką skalę akcja tożsamościotwórcza. Z dzisiejszej perspektywy można ją potraktować jako działania,

które przyczyniły się do powstania mitologii Ziemi Lubuskiej. Już sam fakt wcielenia terytoriów zachodnich do Polski po setkach lat nosi znamiona nadzwyczajności i kwalifikuje się jako tworzywo mitu.

Jedną ze strategii kulturowego oswajania Ziemi Lubuskiej stało się nawiązywanie do mitu piastowskiego, rozumianego jako przywracanie pamięci narodowej o historycznym związku Ziemi Odzyskanych z macierzą. Ową pamięć odtwarzała m.in. literatura, która przyczyniała się do formowania nowej świadomości społecznej osadników.

Mit piastowski nie jest jednak, jak mogłoby się wydawać, tworem doby PRL-u – jego podwalin można dopatrywać się już w dziełach Galla Anonima, który uznał Ziemię Lubuską za *clavem terrae* – klucz do Królestwa Polskiego. Strategiczne znaczenie tego terenu podkreślał także Jan Długosz. Szerzej w świadomości społecznej mit piastowski zaczął funkcjonować na przełomie XIX i XX wieku, gdy był popularyzowany w ramach myśli zachodniej, propagowanej przez polski ruch narodowy. W 1887 roku Jan Ludwik Popławski na łamach „Głosu” pisał: „Czas już po tylu latach błąkania się po manowcach wrócić na starą drogę, którą ku morzu trzebiły krzepkie dłonie wojów piastowskich”<sup>1</sup>. Słynnym głosicielem myśli zachodniej był także Roman Dmowski. Do jej krzewienia przyczynili się również przedwojenni historycy, m.in. Oskar Balzer i Stanisław Zakrzewski.

Znaczną rolę w rozpowszechnianiu myśli zachodniej odegrał założony w 1919 roku Uniwersytet Poznański, zwany Wszechnicą Piastowską. W okresie międzywojennym w ramach działalności Uniwersytetu Poznańskiego odrodziła się ideologia orientacji piastowskiej, czyli przesuwania granic Polski na zachód i podkreślania wagi stosunków

polsko-niemieckich. Myśl ta stanowiła alternatywę dla orientacji jagiellońskiej, czyli dla skupiania myśli politycznej i społecznej na Kresach Wschodnich<sup>2</sup>.

Problematyka myśli zachodniej i związanego z nią mitu piastowskiego była żywa również w latach II wojny światowej. Wówczas linia Odry i Nysy Łużyckiej stała się strategicznym elementem przestrzeni polsko-niemieckiego pogranicza – przyłączenie do Polski terenów leżących na zachód od tych rzek postulował Lech Karol Neyman w pracy *Szaniec Bolesławów* (1941) i Leszek Prorok w *Dziedziectwie Piastów* (1944).

Kategorię mitu dla badania literatury powstałej po wojnie na Ziemiach Odzyskanych proponowała Halina Tumolska, która w pracy *Mitologia Kresów Zachodnich w pamiętnikarstwie i beletrystyce polskiej (1945-2000)*. *Szkice do dziejów kultury pogranicza* pisze o specyficznej paraleli, łączącej politykę pierwszych Piastów z polityką władz komunistycznych – chciano udowodnić, że tak jak piastowscy królowie dokonywali konsolidacji narodu i budowali fundamenty polskiej państwowości, tak po wojnie władza komunistyczna starała się odbudowywać zniszczoną Polskę<sup>3</sup>. Według Tumolskiej powoływanie się na mit piastowski miało sugerować osadnikom, że teraz to oni muszą przejąć rolę scalania Ziemi Odzyskanych z macierzą, rolę podobną do piastowskiego wyznaczania granic na Odrze i budowania podwalin nowego państwa.

Szczególna rola w realizacji mitu piastowskiego przypadła literaturze ludowej, wykorzystującej tradycję i wyobraźnię zbiorową ludu. Jak stwierdził Eugeniusz Paukszta: „poprzez baśń, gawędę i legendę mądrość ludu wypowiada swoją dziejową prawdę”<sup>4</sup>. Lubuska literatura pochodzenia ludowego była zdolna do przywrócenia pamięci o polskim

1 Za: T. Kenar, *Myśl zachodnia Ruchu Narodowego w czasie II wojny światowej – Dodatek specjalny Instytutu Pamięci Narodowej*, [w:] „Nowe Państwo” 2010, nr 1, s. 1.

2 A. Kwilecki, W. Tomaszewski, *Poznań jako ośrodek myśli zachodniej*, [w:] *Polska myśl zachodnia w Poznaniu i Wielkopolsce. Jej rozwój i realizacja w wiekach XIX i XX*, red. A. Kwilecki, Warszawa–Poznań 1980, s. 141.

3 H. Tumolska, *Mitologia Kresów Zachodnich w pamiętnikarstwie i beletrystyce polskiej (1945-2000)*. *Szkice do dziejów kultury pogranicza*, Toruń 2007, s. 43.

4 E. Paukszta, *Wstęp*, [do:] *Odzyskane gniazda. Proza i poezja o Ziemi Lubuskiej*, Poznań 1963, s. 14.

rodowodzie Ziemi Odzyskanych, poprzez liczne nawiązania nie tylko do tradycji, ale też do trudnej historii tego miejsca, nierozzerwalnie związanej ze skomplikowanymi relacjami polsko-niemieckimi.

Przedmiotem niniejszej analizy są baśnie, legendy i podania, które znalazły się w *Złotej dzidzie Bolesława* pod redakcją Janusza Koniusza, wydanej w roku 1970. Autorami utworów zebranych w tej pozycji są: Izabella Koniusz, Helena Rutkowska, Kazimierz Malicki, Tadeusz Jasiński, Andrzej Krzysztof Waśkiewicz, Walerian Szpala i Maria Zientara-Malewska.

Co prawda mit piastowski eksponowany był nie tylko w baśniach, podaniach i legendach, ale kreowano go również w zbiorach opowiadań historycznych (np. *Dymy wyższe nad dęby i Mieczem i krzyżem* Tadeusza Jasińskiego czy *Kartki z Ziemi Lubuskiej i Czarownica z Zielonej Góry* Eugeniusza Paukszty), jednakże jego realizacje w gatunkach literatury ludowej są bardziej interesujące, gdyż cudowność mitologii piastowskiej opiera się tutaj nie tylko na faktach historycznych, ale wzmocniają ją też pierwiastki fantastyczne, wywodzące się w prostej linii z dawnych wierzeń słowiańskich.

W *Złotej dzidzie Bolesława* znajduje się wiele odwołań do słowiańskiej przeszłości. Oto w *Dwóch rzekach* Witeziowi pomagają Pakla i Obra – kapłanki Światowida przemienione w rzeki; pomoc ze strony naczelnego bóstwa Słowian otrzymał również Dobiesław, bohater legendy *Skąd się wzięła nazwa Lubiatów*; w *Krasnoludkowych darach* krasnoludy (w mitologii słowiańskiej znane jako ubożęta) pełnią funkcję bóstw opiekuńczych domu Mirosławy. Odwoływanie się do stworzeń znanych z mitologii słowiańskiej również ma swój wkład w kreowanie mitu piastowskiego – poprzez przywoływanie tradycji dawnych Słowian podkreślana była odrębność kulturowa mieszkańców dawnych terenów obecnej Ziemi Lubuskiej w stosunku do plemion germańskich.

Nawet gdy świat pogański został już schrytystianizowany, pozostały w nim reminiscencje wcześniejszych wierzeń, o czym wyraźnie mówi legenda *Olbrzym z Sulechowa*, gdzie spotykamy słowiańskiego kapłana Świętopełka – „czasem odwiedzali [go] starzy, którzy w dzień dla pozorów modlili się w kościołach, a nocami jeszcze oddawali cześć staremu bogu”.

Historia lubuskich miejsc i ich polskiego rodowodu jest podkreślana w legendach założycielskich i toponimicznych, m.in. w *Żagannie*. Matką założycielki Żagania według legendy miała być Wanda, córka Kraka. W związku z toponimią i historią miejsca pozostaje również podanie *Dąbrówka* – nazwa miejscowości Dąbrówka miała się wywodzić od imienia czeskiej żony Mieszka I. Mit piastowski jest realizowany w *Złotej dzidzie Bolesława* także poprzez nawiązywanie do historii miejsca – zarówno w podaniach bazujących na faktach udokumentowanych, jak też w legendach i baśniach, opierających się na wyobraźni ludowej. Każda baśń, legenda i podanie z omawianego zbioru rozgrywa się w przestrzeni precyzyjnie wskazanej przez toponimy odnoszące się do realnie istniejących lokacji. Wykorzystywanie przestrzeni w formowaniu postaw ideologicznych oraz w konstruowaniu tożsamości regionalnej to zabiegi wpisujące się w problematykę polityki miejsca. Jak stwierdza Elżbieta Rybicka, literackie reprezentacje przestrzeni mogą w swoim uwikłaniu we władzę służyć tworzeniu „wspólnoty opartej na zbliżonych doświadczeniach”, a także tworzeniu „imaginarium ważnego dla [...] konstruowania tożsamości etnicznych, narodowych, społecznych, płciowych”<sup>5</sup>. Wyobrażenia przestrzeni w *Złotej dzidzie Bolesława* są zatem jednym z narzędzi, za pomocą którego tworzyła się nowa mitologia.

Jednym z elementów mitu piastowskiego jest podkreślanie tego, co od pradziejów jest rodzime i swojskie, ale istnieje też inny wymiar tej mitologii, polegający na przeciwstawieniu owej „swojskości” z odmiennością kulturową obcego ludu. Baśnie,

5 E. Rybicka, *Od polityki przestrzeni do polityki miejsca. zwrot topograficzny w badaniach literackich*, „Teksty Drugie” 2008, nr 4, s. 36.



podania i legendy Ziemi Lubuskiej silnie podkreślają słowiański rodowód pierwotnych, prawowitych Lubuszan i zderzają go z pierwiastkiem germańskim. To, co polskie, jest dobre, szlachetne, natomiast to, co germańskie, niesie ze sobą grabież, podstęp, niewolę i śmierć. Taki stereotyp wpisuje się w najstarsze pokłady narodowej mitologii, opierającej się na elementarnej opozycji swój-obcy. Germanie, władający zupełnie innym językiem, byli dla Słowian „niemi” – etymologicznie Niemiec znaczy właśnie tyle, co ‘niemy’, w sensie „niezrozumiały, taki, z którym się trudno porozumieć”, w przeciwieństwie do wyrazu Słowianin, pochodzącego od ‘słowa’, na oznaczenie człowieka, z którym można się porozumieć<sup>6</sup>.

W legendach, podaniach i baśniach Ziemi Lubuskiej przeważa właśnie taki stereotyp, czyli ukazanie Niemca jako kogoś spoza rodzimej kultury. Większość utworów zebranych w *Złotej dzidzie Bolesława* nawiązuje do takiej postawy – Niemiec rabuje i zniewala – czy to w imię pobudek religijnych (*Kniaziówna z dankowskiego jeziora*), idei patriotycznych (*Biesiady szkieletów na zamku Schonaicha*) czy też po prostu jako bezwzględny raubritter (*Sulechowski olbrzym, Czarny jeździec*). Nieważne, czy niewolę niesie legat papieski, hitlerowski oficer czy zwyczajny rozbójnik – są to po prostu wcielenia Niemca, czyli naczelnego wroga.

Zderzenie świata germańskiego i słowiańskiego oraz wynikające z niego antagonizmy to dominujący wątek w *Złotej dzidzie Bolesława* – niemal każdy utwór z tego zbioru dotyka drażliwej kwestii polsko-niemieckiej. Niemcy ukazywani są jako nacja dominująca, uzależniająca od swoich decyzji politycznych i ekonomicznych polską ludność, dławiąca wszelkie przejawy polskości. W takiej sytuacji naturalne staje się „spoglądanie wstecz, ku suwerennej przeszłości, w której da się uchwycić

momenty chwały, gdy terażniejszość cierpi na ich niedosyt”<sup>7</sup>.

Mit piastowski w *Złotej dzidzie Bolesława* jest literacką projekcją takich haseł, jak „powrót ziem prapolskich do macierzy” czy „dziedzictwo Piastów”. Mit jest tu środkiem komunikacji pomiędzy władzą i społeczeństwem, przekazującym zawołane przesłanie poprzez odnoszenie się do historii, miejsca i nazwy, poprzez czerpanie z dawnych legend, przez odwołania się do świadomości zbiorowej i pamięci społecznej. Jak można patrzeć na mit piastowski ze współczesnej perspektywy? Warto w tym miejscu przywołać słowa Normana Davisa, który tak pisał o Ziemiach Odzyskanych: „Nie ma ziemi wiecznie polskiej. Są ziemie, które czasowo Polacy mają, dzięki łasce Boga, pod własnym panowaniem. I tyle. To samo dotyczy Niemców [...]. Historycy polscy mówią, że to są ziemie polskie, a historycy niemieccy, że niemieckie. I ani ci, ani ci nie mają racji. To są ziemie mieszane i nie można zamykać na to oczu”<sup>8</sup>. W stwierdzeniu Davisa, że kresy zachodnie to ziemie mieszane, kryje się istotna przesłanka – taka mianowicie, że Ziemia Lubuska to teren multikulturowy. Oczywiście nie można odmówić jej polskości, gdyż niezaprzeczalnym faktem jest, że związane są z nią początki polskiej państwowości. Nie można podważyć piastowskiego rodowodu tego terenu, ale niewłaściwe byłoby również dewaluowanie tego, że przez siedem stuleci Ziemia Lubuska zamieszkiwana była przez ludność niemiecką.

Piastowskie wpływy na obszarze dzisiejszej Ziemi Lubuskiej nie są mitem – są faktem historycznym, o czym zaświadczać źródła kronikarskie. W kategorii mitu potraktowano tutaj nie historię, ale literacką narrację *Złotej dzidy Bolesława*, zdolną do oddziaływania na sposób myślenia czytelnika i na zmianę jego świadomości regionalnej.

6 J. Bartmiński, *Jak zmieniał się stereotyp Niemca w Polsce? Profile i ich historyczno-kulturowe uwarunkowania*, [w:] *Stereotypy mieszkają w języku – studia etnolingwistyczne*, red. J. Bartmiński, Lublin 2009, s. 256.

7 H. Gosk, *Opowieści „skolonizowanego/kolonizatora”*. W kręgu studiów postzależnościowych nad literaturą polską w XX i XXI wieku, Kraków 2010, s. 18.

8 N. Davis, *Polskie mity – europejskie stereotypy*. Dostęp online: [http://www.davies.pl/w\\_polskiemity.php](http://www.davies.pl/w_polskiemity.php) [odczyt: 1.08.2011].

# Pytając o nowego siebie – budując nowy dom

**Relacja z interdyscyplinarnej konferencji ph. „Miejsce i tożsamość.  
Literatura lubuska w perspektywie poetyki przestrzeni i antropologii”**

W dniach 15-16 listopada 2011 roku miała miejsce pierwsza w dziejach Uniwersytetu Zielonogórskiego konferencja poświęcona twórczości lubuskiej. Jej organizatorami była Pracownia Badań nad Literaturą Regionalną, działająca przy Zakładzie Teorii i Antropologii Literatury w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze oraz Studenckie Koło Literaturoznawców działające w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Obrady konferencji trwały dwa dni. We wtorek, 15 listopada poszczególne sekcje obradowały w gmachu Uniwersytetu Zielonogórskiego przy al. Wojska Polskiego, w środę, drugiego dnia, konferencja odbywała się w budynku Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. C. Norwida. Przedmiotem badawczej refleksji, a także dyskusji, stały się wieloaspektowe związki literatury z miejscem oraz zapisana w utworach autorów lubuskich relacja pomiędzy przestrzenią i tożsamością. Starano się odpowiedzieć na szereg pytań, spośród których najważniejszymi wydają się te, zamieszczone w oficjalnym zaproszeniu skiero-

wanym do potencjalnych prelegentów oraz uczestników: Jak na kartach literatury naszego regionu wyraża się problematyka geograficznie, kulturowo i duchowo zakreślonej przestrzeni? W jaki sposób lubuskość wpisuje się w perspektywę „małych ojczyzn”, a biorąc pod uwagę przeszłość tego miejsca – jak konstytuuje się wobec współistniejących tutaj ojczyzn wielu? Jak w tym kontekście zmieniała się świadomość kolejnych pokoleń? Czy na pisarskie doświadczenie przestrzeni oddziaływała sytuacja oraz klimat pogranicza?

W obszarze refleksji naukowców pozostawała głównie przestrzeń – zarówno ta daleka, jak i bliska; obca i oswojona; przechowywana w pamięci i aktualnie doświadczana; zapisywana w językach historii, geografii i poezji. Przyglądano się, jak ta ostatnia przemawia za pomocą metafor i archetypów, legend miejsca oraz narosłych dokoła nich mitów; uobecniona *explicite* (w nazwach miast, wsi, ulic czy osiedli) i implikowana; będąca bohaterem, tłem i scenariuszem literackich zdarzeń.

Do udziału w przedsięwzięciu zaproszono nie tylko literaturoznawców, ale także badaczy zjawisk językowych, antropologów, psychologów

oraz filozofów. Specjalnymi uczestnikami i gośćmi konferencyjnego spotkania byli przedstawiciele lokalnego środowiska literackiego, m.in. członkowie zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich, który w roku 2011 obchodzi 50-lecie swojego istnienia. Jak zauważyła prof. Małgorzata Mikołajczak w słowie otwierającym konferencję, „nieczęsto się zdarza, aby na sali obrad obecny był zarazem podmiot i przedmiot badań: badacze, krytycy, pisarze i studenci”.

Obejmując badawczą refleksję przestrzeń w literaturze lubuskiej, organizatorzy wyrażali nadzieję, że uda się im zarazem ukazać bogatą i zróżnicowaną przestrzeń tej literatury, zakreślić mapę najważniejszych zjawisk literackich regionu oraz uchwycić klimat miejsca, które w pracach literaturoznawczych wciąż pozostaje obszarem *terra incognita*. Patrząc z perspektywy zakończonych obrad, mogę z przekonaniem powiedzieć, że nadzieje te zostały spełnione. Co więcej, otwarte zostały nowe ścieżki dla regionalnych badań, wskazane kierunki, w których literaturoznawcza refleksja nad regionem mogłaby dalej się rozwijać.

W swojej relacji nie chciałbym ograniczyć się jedynie do zrelacjonowania przebiegu obrad poszczególnych sekcji czy też wyłuskania głównych założeń wygłoszonych referatów. Proponuję spojrzeć na to naukowe spotkanie w sposób tematyczno-problemowy, wysnuć wnioski, ale też wskazać zagadnienia niejasne, drażliwe, często będące także przedmiotem burzliwych sporów i dyskusji.

Już w pierwszym wykładzie wygłoszonym przez prof. Sławomira Kufla z Uniwersytetu Zielonogórskiego, zatytułowanym *Na krańcach mapy, czyli kłopot z tożsamością*, zaczęły poruszać kwestie, które powracały jak echo w dalszych debatach. Profesor Kufel zwrócił uwagę na rodzenie się w bólach samego województwa lubuskiego, którego nazwa jest nazwą stosunkowo **świeża**, a tym samym problematyczne staje się definiowanie Ziemi Lubuskiej jako takiej. W tyglu kulturowym i obyczajowym przesiedleńców z ziem wschodnich, z Polski centralnej i z innych miejsc kraju pierwsze, bardzo wątpliwe struktury społeczne były tworzone od zera przez

władze lokalne. Szczególnie intensywnie promowano rodowód piastowski tych ziem, wszczepiając już dzieciom w szkołach mit piastowski, który na konferencji też stał się przedmiotem rozważań. Na określenie tych zabiegów profesor użył określenia „patriotyzm nazwany” i zapytał: co stało się bazą podstawową dla badań – czy najpierw była świadomość czy nazwa? Nie bez lekkiej ironii prof. Kufel zauważył, że ziemie nadodrzańskie kojarzone były z powiedzeniem „Piassek, lassek i Lembasek” oraz z określeniem „Czerwonej Góry” (z powodu licznych koszarów i fortyfikacji, w których stacjonowały wojska radzieckie). Dlatego poza rozwiązaniem problemu nazewnictwa-tożsamościowego prelegent sugerował także refleksję nad tworzeniem się tożsamości jako procesem kształtowania społeczeństwa, nie tylko za sprawą czynników zewnętrznych, ale też wewnętrznych. Zauważył również, że lubuska tożsamość to proces ciągły w toku, ciągle dynamiczny.

Kontynuacją rozważań zapoczątkowanych przez prof. Kufla stał się referat prof. Anny Zielińskiej z Instytutu Sławistyki Polskiej Akademii Nauk Państwowej. Jego temat, *Miejsce i przestrzeń w perspektywie narracji biograficznych najstarszych mieszkańców województwa lubuskiego*, dał słuchaczom ogląd czysto antropologiczny, a zarazem naoczny. Pani profesor jest bowiem badaczem terenowym; wędrując przez ziemie pogranicza polsko-niemieckiego, rozmawia z najstarszymi mieszkańcami województwa lubuskiego i zbiera ich wspomnienia. Jak sama zaznaczyła, podczas swoich badań odwiedziła takie miejscowości jak: Pszczew, Dąbrówka Wielkopolska, Zbąszyń, Zbąszynek, Skwierzyna. Zaowocowało to na przestrzeni lat 2009-2011 wywiadami z trzydziestoma osobami urodzonymi jeszcze przed rokiem 1945. Prof. Zielińska zauważa, że aby nie zagubić się w kontinuum czasu i przestrzeni, człowiek potrzebuje odwołań do tożsamości przystającej do warunków, w których się znalazł. Prelegentka przywołuje tutaj pojęcie *człowieka pogranicza*, spełniające funkcję tożsamościowej identyfikacji z miejscem. Pogranicze jest tutaj rozumiane jako przestrzeń dwujęzykowa; strefa, w której dochodzi

do „ścierania się” dwóch nacji, w wypadku Ziemi Lubuskiej – Polaków z Niemcami. Ludzie z tych terenów często doskonale odnajdują się w obu kręgach kultury, płynnie mówią po niemiecku, a także przechowują liczne pamiątki oraz pielęgnują pamięć o byłych mieszkańcach czy niemieckiej proveniencji zabytków. Nie jest to zjawisko obce także dla mnie, gdyż pochodzę z Lubina. Babcia i dziadek bardzo często w odniesieniu do poszczególnych budynków używali zwrotu „poniemiecki”. Wiąże się też z tym zjawisko określane przez profesor Zielińską jako „bycie ostatnim”. Poczucie takiej przemijalności w odczuciu tych ludzi ewokuje zobowiązanie do przekazania pamięci o tych, którzy byli przed nimi i odeszli. Oto charakterystyczny cytat z omawianych wypowiedzi: „jestem ostatnim landsberczykiem, cesarżową Herminę mam w dwóch szufladach”. Jak jednak zauważyła jedna z badanych osób, pojęcie pogranicza zaczyna się zacierać z powodu likwidacji granic: „kiedyś było pogranicze, teraz jest Europa”. Ludzie ci nie chcą jednak wyjeżdżać, co pozwala przypuszczać, że ziemia ta stała się „ich” ziemią. Co ciekawe, a zarazem potwierdzające wątpliwości autora poprzedniego referatu, pojęcie lubuskości, bycia Lubuszaninem, czy w końcu samej Ziemi Lubuskiej dla ludzi z wojennego i powojennego pokolenia są śmieszne i sztuczne. Bliższe zdają się tu nazwy Śląsk i Łużyce, a to otwiera pytania, czy możliwym jest tworzenie nowej tożsamości na starej? Czy może jednak lepiej jest zaszczepiać nowe pierwiastki tożsamościowe na „czystej matrycy”, co daje efekty widoczne w młodym pokoleniu urodzonym już na Ziemiach Odzyskanych.

Od strony psychologicznej zjawisko wytworzenia nowej tożsamości i adaptacji do nowych warunków przybliżyła dr Urszula Gembara (Uniwersytet Zielonogórski) w referacie zatytułowanym *Twórczość artystyczna a zjawisko akulturacji w kontekście migracji powojennej na Ziemi Lubuskiej*. Badaczka wyszła od stwierdzenia, że szok emocjonalny, jakim było wyrwanie całej masy ludzi z ich rodzinnego i rodzimego środowiska oraz przerzucenie jej na nowy i nieznany grunt, było często powodem szoku kulturowego (porówny-

walnego do szoku pourazowego), który jednak nie był w owych czasach ani tak rozpoznawany, ani nazywany. Zmiana kultury i potrzeba wytworzenia czy też przysposobienia nowej to właśnie wspomniane w tytule referatu zjawisko akulturacji. Może ona przybrać formę segregacji, integracji, asymilacji czy marginalizacji, która może prowadzić do alienacji. W swoim wykładzie Gembara po raz pierwszy **dotyka** kwestii roli twórcy w szerokim spektrum tego pojęcia. Artysta jest na tle społeczeństwa jednostką o wrażliwości wybitnej, wręcz nadwrażliwości. Twórczość artystyczna może być więc dla niego drogą terapii, ucieczką od sytuacji nieznanej, stresowej, w świat bezpieczny i znany. Proces twórczy może stać się też polem i sposobem oswojenia nowej przestrzeni i pomocą w przyswojeniu jej jako swojej. Jednak nie tylko bycie twórcą, lecz także odbiorcą tak pojmowanej sztuki, może doprowadzić do swoistego *katharsis* i przebudować dawną świadomość. Rola pisarza, malarza, poety jest więc nie tylko tożsamościowo twórcza, lecz także terapeutyczna.

Pierwszą część obrad zamknął wykład *Tożsamość miejsca, miejsce tożsamości w utworach wybranych poetów lubuskich* dra Karola Maliszewskiego z Uniwersytetu Wrocławskiego. Stał się on tym samym zamknięciem serii wykładów zarysu historycznego Ziemi Lubuskiej i ogólnoliterackich, a zapoczątkował wykłady skupione już bezpośrednio na literaturze nadodrzańskiej. Wykład ten stał się swoistym podsumowaniem trzech poprzednich. Doktor Maliszewski także podkreślił problem z tożsamością lubuską jako tworem sztucznym i niejako narzuconym przez władze komunistyczne. Dodatkowo zauważył, że nie można mówić o literaturze lubuskiej, gdyż twórczość tutejszych pisarzy to raczej mozaika aniżeli efekt pracy jednej szkoły twórczej czy środowiska tworzącego pod sztandarem wspólnego manifestu. **Za** wyjściowy do przyjrzenia się bliżej poetom lubuskim uznał jednak fakt wzrostu popularności promowania tzw. małych ojczyzn. Na bazie tego opis pejzażu Ziemi Lubuskiej nieodmiennie jest pejzażem wewnętrznego stanu ducha, odzwierciedlającym uczucia, stan psychiczny, myśli czy

nastawienie piszącego, przy jednoczesnej mitologizacji i często uwzniośleniu, szczególnie w kontekście porównań ze stronami rodzinnymi. Poezja tak pojęta jest dla Maliszewskiego ucieczką w siebie i rozpamiętywaniem dawnego urazu przeniesionego na nowy grunt. Ziemia w lirykach lubuskich jawi się jako coś, co do niedawna było obce i wrogie, a więc być może dlatego jest oporna w procesie przyswajania przez nowych osadników. Archetypiczność pewnych obrazów ewokuje pierwotny związek z ziemią, powrót do korzeni, a to z kolei do tradycji przodków i w efekcie do mitu piastowskiego. Budowanie domu na nowej ziemi to wicie gniazda. Gniazda, które jednak ciągle znajduje się na chwiejnym drzewie. Ta poezja to nie tworzenie nowego świata, lecz próba zachwyty nad stanem zastanym, nad nową rzeczywistością. Docenienie tej nowej przestrzeni i czasu to z kolei akceptacja i przyjęcie „w siebie” nowej, nadodrzańskiej tożsamości.

Po pierwszych czterech wykładach nadszedł czas na pierwszą dyskusję. Dyrektor Instytutu Filologii Polskiej UZ prof. Leszek Jazownik podniósł drażliwą kwestię nazywania przesiedleń czy repatriacji ludności „zbrodnią na ludzkości”. Poruszył też zagadnienie zaprzęgnięcia całego aparatu komunistycznego do budowy mitu Ziem Odzyskanych. Trzeba by więc uznać zabiegi te jako prowadzące do sztucznego wszczepienia tożsamości lubuskiej kresowianom. Niezwykle celna była w tym kontekście wypowiedź Wojciecha Jachimowicza. Zwrócił on uwagę, że sugerowanie nowej tożsamości powinno być zabiegiem niezwykle subtelnym i delikatnym. Reklamą, która jednakże pozostawi młodym ludziom możliwość wyboru. Taka postawa jest jednak możliwa dopiero wtedy, kiedy mieszkańcy regionu będą potrafili zdefiniować lubuskość. Tymczasem owa tożsamość jest nieustannie dyskutowana i dookreślana, a zatem jawi się ciągle jako sfera poszukiwania definicji własnej tożsamości.

Druga część wykładów dotyczyła twórców i poezji kresowej, co uznać można za kontrę dla dotychczasowych rozważań, dającą możliwość spojrzenia na problematykę Ziem Odzyskanych

z perspektywy ziem utraconych. Pierwszy referat, wygłoszony przez prof. Tadeusza Bujnickiego z Uniwersytetu Warszawskiego, poświęcony był osobie Henryka Szykina i poetom wileńskich lat 90. Wykład drugi, *Wileńskie miejsca i wileńska tożsamość „santockiego lirnika” – Henryka Szykina* w zamyśle autorki, prof. Katarzyny Węgorowskiej dotyczył bezpośrednio osoby samego poety i jego pierwotnej tożsamości. Z kolei prof. Marta Ruszczyńska w referacie *Kresowy raj utracony w prozie Zygmunta Trziszki*, ukazywała obraz kresowszczyzny, w literackim ujęciu typowym dla autora wspomnianego w tytule. Pozostaje też wyrazić wielki żal, że na konferencję nie dotarł Sergiusz Sterna-Wachowiak ze Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, który miał wygłosić referat pod tytułem *Powidoki utraty i epifanie obecności. Metafizyka pejzażu w liryce współczesnych poetów lubuskich*. Przyjrzyjmy się jednak pierwszym trzem wystąpieniom bardziej szczegółowo.

Pierwsze dotyczyło szeroko pojętego środowiska literatów wileńskich, kierunków ich działalności, a także rysu najważniejszych inicjatyw i nurtów w ich twórczości. Jak zauważył prof. Bujnicki, środowisko literackie skupione w Wilnie często ma rodowód wiejski z naleciałościami szlacheckiej przeszłości. Staje się przez to, jak nietrudno się domyślić, spadkobiercą dorobku romantycznego. Twórczość ta nie ma jednak charakteru polonijnego czy repatriacyjnego. Pisarzy należy postrzegać jako autochtonów, zakorzenionych w litewskiej przestrzeni, niemających przez to potrzeby budowania własnej tożsamości od nowa. Co więcej, po rozpadzie ZSRR owa litewskość i poczucie odrębności od Polski były tak silne, że spotkały się z oporem mniejszych środowisk polonijnych. Zderzyły się w tym miejscu dwa przeciwstawne poglądy ocierające się o nacjonalizm. W postrzeganiu Litwy i Wilna jako ziem utraconych zauważyć można niesłabnącą mitologizację i uwznioślenie. Oparcie zaś na resentymentach i odmiennym rozumieniu historii prowadzi niezmiennie do licznych antagonizmów i rozdziewków pomiędzy środowiskiem litewskim a polonijnym. Na bazie tego można zauważyć ceremoniał

odkrywania i poznawania ziem wschodnich przez Polaków. W poezji o tej tematyce powtarzają się tematy pejzażowe oraz stałe motywy czy symbole wileńskie (Matka Boska Ostrobramska, ulice, zabytkowe budynki czy w końcu cały szereg pamiątek pomickiewiczowskich), przy jednoczesnej, niestety, głębokiej niechęci do odrębności literatury i twórców litewskich. I dodać trzeba, że nieustannie też powstają inicjatywy rewitalizacji środowisk polskich na tych ziemiach. To właśnie te inicjatywy prof. Bujnicki omawiał w drugiej części swojego referatu. Nie bez znaczenia jest tutaj osoba Henryka Szyłkina, który był jednym z gości honorowych rzeczonyj konferencji. Od roku 1985 podjął on na Litwie próby wydawania polonijnych antologii poetyckich. Przez ostatnie lata wyszło ich kilkadziesiąt, często w seriach. Pierwsza z nich *Pośród dzikich fal* może być postrzegana jako punkt wyjścia do inicjatyw podjętych także na początku lat 90. XX wieku w Zielonej Górze. Znalazły się w nich liczne debiuty, które chociaż spóźnione, w zintensyfikowany sposób przyczyniły się do erupcji poezji wileńskiej. Lata 1990-1998 przyniosły kolejną serię dziesięciu autorów, wśród których znaleźli się także debiutanci; są to m.in.: Bukowska, Kuncewicz, Mieczkowski, Piotrowski, Pszczołowska, Sokołowski czy Komaliszko. Jak w debacie skomentował to sam Szyłkin: „Namawiałem ich do pisania. Jesteście młodzi! Zachwyceni życiem! Kochacie! Piszcie o tym!”.

Do tego komentarza nawiązała w swoim wykładzie kolejna prelegentka, prof. Katarzyna Węgorowska z Uniwersytetu Zielonogórskiego. Jak sama zaznaczyła, jej analiza z racji uprawianych badań ma charakter czysto językoznawczy. Dostrzegła ona poprzez analizę środków stylistycznych w twórczości Szyłkina ewokowanie elementów zapamiętanego krajobrazu. Toponimia Litwy i Wilna jest w wierszach poety uwznioślona, zmitologizowana zupełnie jak w twórczości Mickiewicza. Do stałego elementu krajobrazu należy litewska wieś i wszystko to, co dookoła niej się znajduje: rzeki, lasy, pola, zwierzęta, ptaki i rośliny. Jak **zauważa** pani profesor, **santocki lirnik** oddaje ten koloryt i różnorodność z dokładnością

wnikliwego badacza – botanika, zoologa, ornitologa. Takie ujęcie i kreacja w poezji małej ojczyzny to przejście od geografii politycznej do geografii emocjonalnej, uczuciowej. Poezja ta jest potwierdzeniem poglądu, że wybór małej ojczyzny tożsamej z naszym wewnętrznym „ja” to często decyzja nas samych. To zachowane w sercu doznania, zapachy, obrazy i smaki. Oderwania od nich często zaś zmuszają do wspominania tego, co minęło, owocując odczuciami smutku, a nawet rozpacz. Ratunkiem od tego, jak pięknie podsumowała prelegentka, jest „owocowanie poezją”.

Z poglądami przedmówców korespondował ostatni z wygłoszonych w części wspólnej wykład prof. Marty Ruszczyńskiej, która scharakteryzowała twórczość kolejnego lubuskiego autora na podstawie jego dwóch utworów: *Wielkie świniobicie* oraz *Żyłasta ręka ojca*. W tych opowiadaniach Trziszka powraca do czasów dzieciństwa. Barwnie opisuje zapamiętaną okolicę dolnego biegu Noteci oraz Puszczy Noteckiej, które nazywa „pierwszą ziemią”. Takie nieustanne powracanie do lat dzieciństwa i utraconego domu rodzinnego sam Trziszka uważał za genetyczne obciążenie przesiadłców. Nie ma w tym jednak nic dziwnego. Charakterystyczne dla Trziszki, według profesor Ruszczyńskiej, jest jednak brak mitologizacji i uwzniośleń. Posługuje się on natomiast groteską i ironią, na wzór Gombrowicza (z którym jest zresztą porównywany). Taka przekora i spojrzenie na ziemię kresowe w krzywym zwierciadle stają się dla pisarza sposobem i metodą szukania własnej lubuskiej tożsamości i zmierzenia się z wewnętrznym problemem wykorzenienia. Pojęcie „ziemi obiecanej”, do której pisarz przybył, tchnie w jego twórczości śmiercią, strachem i chaosem. Jest to ziemia demoniczna, diabelska – jest „ludzką babraniną”; podczas gdy utracony dom – dziełem Boga. Dopiero zaoranie nowej ziemi, zasianie jej i wzięcie we władanie może być punktem startowym do tworzenia nowej tożsamości. Trziszka uważał, że nie może być autentycznej kreacji literackiej właśnie bez tego „zaklęcia i zniewolenia pierwszej ziemi, pierwszego języka i pierwszej matki”. Wtedy to nowa przestrzeń staje się Itaką

u kresu swoistej odysei w życiu człowieka i – jak pisze Trziszka – „zbawiennym więzieniem”.

Jak wspomniałem, zabrakło Sergiusza Sterny-Wachowiaka, który miał wygłosić referat pod tytułem *Powidoki utraty i epifanie obecności. Metafizyka pejzażu w liryce współczesnych poetów lubuskich*. Stratę tę powetował jednak Henryk Szyłkin, który odwołując się do wygłoszonych referatów, przedstawił barwnie i niezwykle żywo punkt widzenia bezpośredniego uczestnika. Zaznaczył też ze śmiechem, że nie do końca historia i twórczość wyglądały tak, jak odmalowali je prelegenci, co z kolei wywołało śmiech na sali. Tak to jednak w świecie literatury często (o ile nie zawsze) bywa – słowa interpretowanych i interpretujących, ich wnioski i oceny nie zawsze idą w parze, a pomysły badaczy rozmiągają się z zamysłem twórców.

Po przerwie obiadowej poszczególni prelegenci oraz słuchacze obradowali w dwóch sekcjach. Niestety, mogłem uczestniczyć tylko w jednej z nich, która zdominowana została przez doktorantów i studentów Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Obrady otworzył wykład **doktor** Katarzyny Taborskiej z Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Gorzowie Wielkopolskim pod tytułem *Literatura i literackość w tożsamościowych periodykach miejsca „Ziemi Gorzowskiej (1945) i „Ziemi Lubuskiej” (1945/46)*. Jako punkt wyjścia obrane zostały trzy pytania: Jak na kartach literatury lubuskiej wyrażają się różne przestrzenie? Jak lubuskość wpisuje się w nurt „małych ojczyzn”? Jak na takie wyrażanie wpływa świadomość pogranicza? Ziemia Lubuska, jak zauważa doktor Taborska, była na początku postrzegana jako miejsce niechciane i narzucone siłą. Do tego było to miejsce niedawno jeszcze zamieszkane przez wroga. Swoją obcością zaś według repatriantów nie pozwalała ona wyrażać się według dawnej tożsamości. Poczucie to potęgowane było przez głębokie przeświadczenie o tymczasowości pobytu w tym miejscu. Wobec takiej postawy nowo osiedlonego społeczeństwa obowiązek stworzenia nowej tożsamości spadł na barki propagandy świeckiej i Kościoła. Powstawanie licznych periody-

ków, felietonów, szkiców, obrazków miało na celu jak najszybszą integrację Ziemi Odzyskanych z tymi, które uchodziły za przedwojenne polskie. Szczególną rolę pełniły tutaj artykuły quasi-histeryczne, odwołujące się do mitu piastowskiego. Na fundamencie tego mitu kreowano nową rzeczywistość, zakorzenioną w starych podaniach. Co ciekawe, władze komunistyczne doskonale sobie zdawały sprawę z faktu, że bez wsparcia i działania kapłanów katolickich nie będą w stanie zaszcześcić ludziom nowej tożsamości, a tym samym stworzyć stałych struktur społecznych. Zastąpiono też dość szybko określenie „kresy” nazwą „ziemie utracone”, które było nacechowane mniej sentymentalnie. Podtrzymywano natomiast długo niechęć do wszystkiego, co niemieckie, zezwalając często na niczym nieuzasadnione akty wandalizmu. Tępiono i odrzucano wszelkie przejawy niemieckiego świata zastanego.

W dalszej części głos zabrali doktoranci i magistranci Uniwersytetu Zielonogórskiego. Pierwsza z nich, Maria Roszak, w niezwykle żywy i ciekawy sposób ukazała konwencjonalne przedstawienie Ziemi Lubuskiej we współczesnych (wydanych po 2000 roku) przewodnikach turystycznych. Wskazywała ona na szczególne docenienie kultury materialnej oraz przyrody. Opisom poszczególnych zabytków czy pomników przyrody nieodłącznie towarzyszą, jak pokazała, modulatory podkreślające wyjątkowość, oryginalność, niepowtarzalność regionu. Typowe są tu także dyrektywy wywołujące w odbiorcy wrażenie przymusu odwiedzenia Ziemi Lubuskiej.

Referat Doroty Pośledniej „*Odzyskane gniazdo. Budowanie tożsamości regionu w narracji historycznej autorów piszących o Ziemi Lubuskiej*” po raz kolejny w trakcie obrad powrócił do zagadnień nowej tożsamości. Pamięć indywidualna, jak dowodzi Poślednia, trwa w tożsamości, pamięć zbiorowa zaś odbija się w dziejach świata i ludzkości. Zdają się o tym mówić *Odzyskane gniazda* pod red. Eugeniusza Paukszty (1963), które stanowią ówczesny przegląd twórczości związanej z literaturą lubuską. Poprzez wspomnienia tworzą one nową tożsamość. Co jednak zrobić,



kiedy wspomnienia te są bolesne? – pyta referentka. Należy stworzyć nowe, które pozwolą się ponownie zakorzenieć w nowej przestrzeni. Wielki sukces na tym polu odniósł cały szereg baśni, mitów i podań sięgających w głąb historii narodu polskiego, aż do czasów piastowych. Tak przekształconej historii uczono też w szkołach.

Samych repatriantów kreowano na entuzjastycznych kolonizatorów Ziem Odzyskanych. To propagandowe „zarażanie entuzjazmem na siłę” miało na celu jak najszybszą odbudowę i rekonstrukcję polskiego społeczeństwa na ziemiach do niedawna niemieckich. W **zastanej** tutaj ziemi i kamieniu zapisana jest przecież piastowska historia, jednak z całkowitym pominięciem „epizodu niemieckiego” tych krain. Kamień to też granica, która krwawiąc pod jarzmem niemieckiej niewoli, oczekuje wyzwolenia. Zabieg ten dowiódł, że o ile kamień pamięci trwa, to jednak ludzka tożsamość bardziej przypomina piaskowiec – daje się zmieniać, ulega przeobrażeniom.

Trzeci wykład, Jakuba Rawskiego oparty został na *Majuskułach* Czesława Markiewicza i polegał na wyłuskaniu z nich gier intertekstualnych z twórczości tego poety. *Majuskuły*, według Rawskiego, wymagają od czytelnika niesamowitej erudycji i odczytania, są lekturą niebywale trudną. Kiedy jednak odbiorca przebiję się przez warstwę hipotekstualną, transtekstualną, hipertekstualną, być może zauważy, że poeta podejmuje polemikę np. z twórczością Zbigniewa Herberta, utożsamiając się z buntem sobie współczesnych, Bursy czy Wojaczka. Jest to dramat poszukiwania własnej tożsamości oparty na poetyce Nowej Fali, a w okresie późniejszym, Nowej Prywatności.

Ostatni tego dnia odczyt należący do dr Iwony Żuraszek-Ryś (Uniwersytet Zielonogórski) noszący tytuł *Zielonogórskie nazwy ulic w pisarstwie Henryka Ankiewicza*, był interesującą podróżą sentymentalną, szczególnie dla starszych mieszkańców Zielonej Góry. Pani doktor w swoim referacie analizuje trasy *Przechadzek zielonogórskich* Ankiewicza, opisujące nazwy starych ulic, ich klimat, charakter, a nawet znaczenie dla miasta. Jest to swoista spleta długu wobec miasta i społeczności,

w której dorastał autor. A on sam stworzył niezwykle żywą i barwną legendę miasta.

Na tym zakończyły się obrady pierwszego dnia konferencji. Warto jednak nadmienić, że o godzinie 18 w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. C. Norwida miało miejsce spotkanie jubileuszowe z okazji 50-lecia zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich, a po nim uroczysty bankiet dla uczestników. Drugi dzień konferencji, którego obrady miały miejsce w gmachu biblioteki, upłynął pod znakiem właśnie owego jubileuszu. Był tedy okazją do przyjrzenia się temu, co już minęło oraz kierunkom dalszego rozwoju.

Dwa pierwsze wygłoszone referaty dotyczyły bezpośrednio zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich oraz lubuskich środowisk twórczo-literackich. Andrzej K. Waśkiewicz w wystąpieniu zatytułowanym *O lubuskim środowisku literackim – z perspektywy uczestnika i obserwatora* wspominał początki i rozwój ZLP z perspektywy nie tylko biernego obserwatora, ale przede wszystkim czynnego uczestnika. Jak sam zatytułował swoje subiektywne wspomnienia: „co było wielkim, małym się wydało”. Wspominał jednak ciepło, optymistycznie, z entuzjazmem. W dyskusji, która się potem wywiązała, zwrócił też uwagę, że w tak małym środowisku nieuniknione jest „wzajemne się głaskanie” i „krytyka układowa”. Krytykę może uprawiać każdy, „zawieszając wartości na kołku”, pozostaje tylko wtedy pytanie – po co?

Bardziej historyczny charakter miał odczyt dra Roberta Rudiaka ze Związku Literatów Polskich, który omawiał i charakteryzował pokrótce literacką mapę Środkowego Nadodrza (pisarze, ugrupowania i zjawiska paraliterackie w latach 1945-2000). Jak zauważył, nie możemy mówić w wypadku województwa lubuskiego o zawodowym środowisku literackim, lecz raczej o skupisku osób piszących. Badacz wymienił trzy enklawy, które do dnia dzisiejszego są siedzibą największych tego typu ugrupowań: Zieloną Górę, Żary oraz Gorzów Wielkopolski. Opisuując ich powstawanie, rozwój i działalność, wskazał dodatkowo kilka mniejszych ośrodków, które jednak swoje



istnienie zawdzięczały wydarzeniom epizodycznym. Są to: Gubin, Nowa Sól, Świebodzin, Żagań oraz należący wcześniej do tego okręgu Głogów.

Szczególnie ciekawy – ze względu na moje miejsce pochodzenia i zamieszkania – był dla mnie wykład prof. Małgorzaty Mikołajczak „*Kropla potu ze Śląska*”. *Trop autobiograficzny w poezji Janusza Koniusza*. Twórca ten został namaszczonej przez samego Juliana Przybosia jako kontynuator jego spuścizny. Tym samym wyrósł na ikonę poezji lubuskiej. Dwa skrzydła poezji Koniusza to, jak twierdzi prof. Mikołajczak, estetyzm i materia życia. Co prawda poeta terminował w szkołach awangardy, „krążąc wokół słowa”, jednak w ostatecznym rozrachunku wybrał drogę estetyki poetyckiej. W okręgu tematycznym tej poezji pozostaje Biblia i mitologia, a najczęstsze tropy autobiograficzne to ojciec, górnik, kopalnia. Ten pierwszy znajduje się niezmiennie w centrum tematycznym poezji Koniusza, ewokuje to natomiast refleksję nad rytmem śmierci i dramatyzmem górniczego losu. Poeta, w rozumieniu Koniusza, pracuje w materii słowa niczym górnik, a proces twórczy to ciężka i znojna praca – jak w kopalni.

W drugiej części, odbywającej się już w sekcjach, w sekcji A jako pierwszy swój wykład wygłosił prof. Leszek Jazownik. Zwrócił on uwagę słuchaczy na sylwetkę i twórczość zapomnianego i zepchniętego na margines lubuskiego twórcy, Eugeniusza Łastowskiego. Ów autor zadebiutował dopiero w roku 2005 w wieku 86 lat. Tak późny rok debiutu warunkowany był najpierw ograniczeniami cenzury, a potem brakiem zainteresowania tematyką utworów, poprawnością polityczną i komercjalizacją ruchu wydawniczego. Jazownik wspomina trzy utwory Łastowskiego odnoszące się do trzech etapów jego życia. Pierwszy, *Widma*, to opowiadanie oparte na wspomnieniach związanych z Berezowcem i ewakuacją tamtejszego więzienia. Drugi, *Szumiały lasy*, to z kolei swoisty zbiór wspomnień z działalności w AK, z walk w lasach koło wsi Myszk. Ostatnie wspomniane opowiadanie, *Ptaszek na kracie*, relacjonuje pobyt w socjalistycznym więzieniu za czasów Polski

powojennej. Nadodrże w tej prozie jawi się nieodmiennie jako tygiel kulturowy. Z jednej strony pełen otwartości na inne kultury, z drugiej zaś przesycony swoistą ksenofobią i niemożnością otwarcia. Nie da się też nie zauważyć dojmującej „amnezji tożsamościowej” w otaczającym pisarza społeczeństwie. Problem podniesiony został mimochodem w wykładzie prof. Jazownika, wskazuje jednak, jak wielki potencjał może tkwić w lubuskich twórcach piszących niejako „do szuflady”. Może warto byłoby się zastanowić nad odszukiwaniem i wydawaniem właśnie takich, zapomnianych i wiekowych twórców?

Referat Kamili Gieby, magistrantki Uniwersytetu Zielonogórskiego, *Realizacja mitu piastowskiego w zbiorze baśni, podań i legend o Ziemi Lubuskiej „Złota dzida Bolesława”* rozwijał poruszane i wspominane już we wcześniejszych referatach zagadnienie budowania mitu piastowskiego w świadomości osiedleńców Ziemi Odzyskanych. Zbiór *Złota dzida Bolesława* miał słać i zintegrować wielokulturowe społeczeństwo repatriantów. Odwoływano się do stwierdzenia zawartego w kronikach Galla Anonima i Długosza, że ziemia lubuska to „klucz do królestwa polskiego”. Założenie to próbowano utrwalić w świadomości ludzi za pomocą wydanego w 1970 roku pod redakcją Janusza Koniusza zbioru mitów, legend i baśni pod wyżej wspomnianym tytułem. Tworzono legendy zupełnie nowe, ale też adaptowano i tłumaczono stare legendy i podania niemieckie, które wpisały się w pejzaż tych krain. Nieodmiennie jednak kreowano w nich stereotyp głoszący, że to, co polskie, jest proste i dobre, to zaś co niemieckie – złe, podstępne i okrutne. Tego typu zabiegi były też charakterystyczne dla naukowych publikacji historycznych tego okresu. Tendencje te, jak tłumaczy Gieba, znajdują swoje potwierdzenie już w samej etymologii słów „Niemiec” i „Słowianin”. Ten pierwszy to przecież ktoś niemy, ktoś, z kim nie można się porozumieć, a więc jest on tajemniczy i niezrozumiały. Słowianin zaś wywodzący swą nazwę od „słowa”, to ktoś swojski, władający rodzimym językiem, ale też człowiek słowny, na którym można polegać.

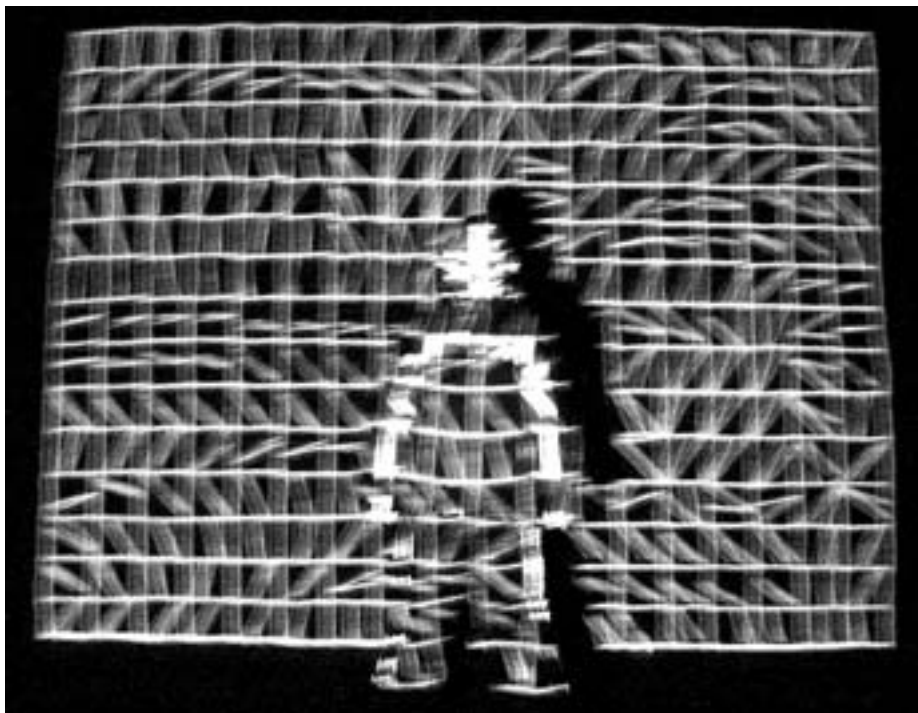
Niezwykle ciekawe było też wystąpienie Wojciecha Jachimowicza na temat zabytku w literaturze i świadomości społeczności Środkowego Nadodrza, jakim jest dwór w Szybie. Jachimowicz, który jest właścicielem budynku, stworzył wokół dworu cały szereg inicjatyw. Od renowacji popadającego w ruinę dworku, poprzez wystawę instrumentów muzycznych, aż po wydawanie gazety „Merkuriusz Regionalny” oraz założenie wydawnictwa Ryzolit. Jego nakładem ukazały się zaś *Legendy Wzgórz Dałkowskich*, które pisarz stworzył na potrzebę chwili, aby promować swój region. Jak jednak sam nie bez uśmiechu zauważył, małe dzieci opowiadają je jako stare legendy lokalne, z pełnym przekonaniem o ich lubuskiej, starodawnej tożsamości.

Ostatnie trzy wykłady zamykające konferencję *Miejsce i tożsamość. Literatura lubuska w perspektywie poetyki przestrzeni i antropologii* wygłoszone zostały przez dr Marię Jazownik z Uniwersytetu Zielonogórskiego (*Topika przestrzenna w „Sonetach ostrobramskich” Henryka Szyllina*), Wolfganga Bryllę także z Uniwersytetu Zielonogórskiego (*Narracja przestrzeni. O lubuskich krajobrazach w twórczości Hansa Fallady*) oraz

Janusza Łastowieckiego (*O heterotopii w raporcie Radia Zachód i specyfice miejsc lubuskich*).

Wszystkie te wykłady nawiązywały do przestrzeni Ziemi Lubuskiej czy też Wileńszczyzny. Po raz kolejny podnosiły kwestie akceptacji, oswojenia i przyjęcia jako własnej nowej tożsamości wynikającej z egzystencji w nowej przestrzeni. To szczegółowe przyjrzenie się jeszcze raz zagadnieniom przewijającym się przez cały bieg konferencji stanowiło jej piękne zwieńczenie.

Podsumowując tę relację, relację niepełną, gdyż zabrakło w niej sprawozdania z dwóch sekcji, w których nie miałem możliwości uczestniczyć, chcę wyrazić nadzieję na jak najszybszą publikację książki. Książka ta stanie się niewątpliwie cennym kompendium dotyczącym literatury naszego regionu. I z pewnością pomoże lepiej poznać miejsce, w którym przyszło nam żyć, z którym każdego dnia zrastamy się coraz bardziej i które przyjmujemy jako swoje bez względu na zapis w metryce urodzenia. Dodam ponadto, że to wspólne – uniwersyteckie i biblioteczne przedsięwzięcie powinno mieć swój ciąg dalszy i stać się przedmiotem szczególnej troski władz lokalnych jako niepowtarzalna okazja promowania regionu.



# Poszukiwań młodych talentów ciąg dalszy

**Andriej Kotin laureatem II Konkursu „Debiut Poetycki Pro Libris”**

Pomysł promowania „młodej” poezji nie jest nowy. Zne są inicjatywy podejmowane przez lokalne środowiska mające na celu wyszukiwanie twórców dotąd mniej popularnych bądź całkowicie nieznanych. Warto wspomnieć chociażby o intencjach pisma społeczno-kulturalnego „Nadodrze”, które od lat 60. stanowiło organ prasowy, będący rodzajem trybuny literackiej. Większość autorów wierszy tu stawiała pierwsze kroki. Już w II połowie lat 70., głównie za przyczyną środowiska akademickiego, intensywnie rozwijał się ruch młodoliteracki na obu uczelniach zielonogórskich (WSP i WSI) z Klubem Dziennikarzy Studenckich, z jednodniówką społeczno-kulturalną WSP „Faktor”, która przyciągała osoby piszące. „Faktor” stał się pismem integrującym studentów z obu uczelni wyższych. Prób odkrywania i nagłaśniania twórczości uzdolnionych autorów podejmowała się także audycja pn. Radiowa Książka Poetycka nagłaśniana w Radio Zachód przez Czesława Markiewicza. Także Oficyna Wydawnicza AND w latach 90. promowała poezję młodych, publikując kilkanaście tomików autorów dotąd mniej znanych w Zielonogórskiej Serii Poezji i Eseistyki. Redakcja kwartalnika literacko-kulturalnego „Pro Libris” poszukiwała uzdolnionych twórców, m.in. organizując na łamach pisma w 2005 r. konkurs literacki „W poszukiwaniu

talentów”. Podobnie, w 2010 r., Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Zielonej Górze, włączając się w trend poszukiwania młodych poetów, ogłosiła Konkurs „Debiut Poetycki Pro Libris”.

Laureatem pierwszej edycji konkursu został Jakub Rawski, głogowianin studiujący w Zielonej Górze. Jego wiersze zostały opublikowane



w starannie wydanym tomiku pt. *Pasaże*, zrecenzowanym przez dr Anitę Kucharską-Dziedzic. W publikacji wykorzystano zdjęcia młodych fotografików: Iwo Rachwała i Bartosza Konopnickiego. Całość graficznie opracowała Małgorzata Gołucka. Książka była promowana na wieczorze poetyckim z udziałem środowiska literackiego Zielonej Góry, a także wielokrotnie prezentowana za pośrednictwem lokalnych mediów. Z perspektywy roku, jaki minął od rozstrzygnięcia konkursu, warto dodać, że zwycięzca konkursu aktywnie współpracuje z redakcją „Pro Libris”, często goszcząc na łamach pisma jako autor.

W tym roku biblioteka ponownie ogłosiła konkurs, pozyskując jako współorganizatora Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych DEBIUT.

Podobnie jak poprzednio organizatorzy wytyczyli sobie jako cel zachęcenie młodych autorów do tworzenia poezji, do rozwoju własnego talentu oraz stworzenie możliwości zaistnienia w regionalnym środowisku literackim. Oczekując szerokiego zainteresowania udziałem w konkursie, wyznaczono nagrodę – wydanie w nakładzie 200 egzemplarzy tomiku wierszy laureata.

Biorąc pod uwagę zeszłoroczne doświadczenia i oczekiwania środowiska piszących, dokonano zmian warunków regulaminowych – wydłużony został wiek uczestników, pomniejszono natomiast ilość wierszy w nadsyłanych pracach. Generalnie tegoroczny II Konkurs adresowany był do osób wywodzących się z województwa lubuskiego lub obecnie zamieszkujących na jego terenie, które nie ukończyły 35 roku życia oraz których twórczość poetycka nie ukazała się jeszcze w formie książkowej. Nie narzucono tematyki wierszy, pozostawiając dowolność wyboru autorom. Zastrzeżono jedynie, że utwory nadesłane nie mogły być wcześniej publikowane w formie drukowanej oraz nagradzane w konkursach. Warunkiem dopuszczającym do udziału w literackich zmaganiach było nadesłanie zestawu składającego się z nie mniej niż 40 wierszy, z których każdy miał być opatrzony godłem.

Spośród autorów nadesłanych i dopuszczonych regulaminowo 11 zestawów wierszy Jury wyłoniło zwycięzcę II edycji konkursu. Został nim Andriej Kotin. Urodzony w 1985 r. autor wywodzi się z Moskwy. W latach szkolnych mieszkał na zmianę w Moskwie i Berlinie. W wieku piętnastu lat wraz z rodzicami przeprowadził się do Polski, gdzie w roku 2008 ukończył studia magisterskie na Filologii Germańskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Obecnie przygotowuje się do obrony doktoratu na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pisać wiersze zaczął bardzo wcześniej, zainspirowany dziewiętnasto- i dwudziestowieczną poezją rosyjską. Publikował w rosyjsko- i niemieckojęzycznych almanachach i antologiach. Prócz tego pisze także prozę: opowiadania *Papierosy dla Liliany* oraz *Babcia* zostały opublikowane w czasopiśmie „Fa-Art” i „Akant”; opowiadanie *Краткое жизнеописание* (*Krótki opis życia*) wkrótce ukaże się w rosyjsko-austriackim czasopiśmie „Wiedeń Literacki”. Andriej Kotin jest też autorem piosenek, przeważnie w języku polskim, rosyjskim i niemieckim.

Prace zmierzające do wydania książki Andrieja Kotina już trwają. Napisania recenzji podjęła się znawczyni literatury lubuskiej prof. Małgorzata Mikołajczak, kierownik Pracowni Badań nad Literaturą Regionalną przy Zakładzie Teorii i Antropologii Literatury Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Materiał ilustracyjny w postaci oryginalnej grafiki dostarczył Piotr Czech z Wydziału Artystycznego UZ.

Podobnie jak w ubiegłym roku książka laureata będzie promowana na specjalnie zorganizowanym wieczorze poetyckim z udziałem lokalnego środowiska literackiego oraz nagłaśniana w mediach.

Andriejowi Kotinowi serdecznie gratulujemy wygranej, a tych młodych poetów, którzy marzą o wydaniu własnej książki poetyckiej, już dziś zachęcamy do uczestniczenia w III edycji konkursu, planowanej w 2012 roku. Poniżej przedstawiamy wybór twórczości nadesłanej na tegoroczną edycję konkursu.

### **Motyle w motelu**

Motyle w motelu fruwają po ścianach,  
Plotkując o ludziach: bezradnych, niechcianych,  
Nietkniętych spełnieniem, zamkniętych w depresji  
Od seksu do seksu, od sesji do sesji,  
Bezdomnych, ambitnych, szalonych, normalnych,  
Nie dość że wierzących, to jeszcze moralnych,  
Nie dość że stworzonych, to jeszcze tworzących,  
Nie dość że śmiertelnych, to jeszcze wierzących.  
Motyle w motelu nie patrzą na wino,  
Sałatki i tomy Tomasza z Akwinu,  
I krążą motyle, i tańczą motyle,  
A my nie słyszymy ich pieśni – i tyle.

### Apel

Niech mówią na nas: marzyciele,  
Idealiści, dzieci baśni –  
Lecz tam, gdzie myśmy dolecieli,  
Żółtawy księżyc świeci jaśniej,  
Niż pulchny płomień waszych pieśni,  
Niż puder waszych słońc lustrzanych,  
Przekazujący posmak pleśni  
Północnym randkom zakochanych.  
Pośrodku bezlitosnej zimy,  
Bezpłodnych słów i modnych pojęć  
Nam wyciągają cherubiny  
Natchnienia skrzącą się rękojeść.  
Spadając ze skalistej góry  
Bez żadnej szansy na ratunek,  
Pijemy łyzy samotnej chmury,  
Wołając: „Co za boski trunek!”  
Nas nudzą długie korytarze,  
Prezydent wsi, szarlatan z Wiednia,  
Kursy, dyskursy, komentarze  
I inne popularne brednie.  
I kiedy wiek, który nadchodzi,  
Zaowocuje krwawym żniwem,  
Będziemy wciąż bezkarnie młodzi  
Odurzeni Niemożliwym.

**Bez snu**

W myślach odliczam kolejną godzinę  
nieprzerwany czas  
wtulam się coraz głębiej w pierzynę  
znów nie mogę spać

w głowie nic prócz bezbarwnych myśli  
nie znajdę tej nocy  
kolejna noc i znów nic się nie przyśni  
szkoda mojej mocy

zegar szepta po cichu melodie  
tik tik tiki tak  
sny widzę lecz one nie są moje  
bezsensowności świat

**Jesień**

Jesień złote niesie owoce  
Jabłka z drzew opadają  
Suną po liściach wiatru karoce  
I dni chłodniejsze się stają  
Nietoperz pod osłoną jesieni  
Leci na łowy po zmroku  
Na niebie pogoda się pieni  
Witając tę porę roku  
Złocą się ulice i drogi  
Kapelusze na głowach ludzi  
Od liści domów barwne są progi  
To w mieście jesień się budzi



### Ares – Mars

Stoi tam bóg, którym wszyscy gardzą.  
W sercu swym żywi niechęć i złość,  
To wszak przez niego piekło i zamęt,  
Krew płynie z rany, łamie się kość.

On niewzruszony w Tracji przebywa  
U ludzi dzikich, którym pomaga.  
Wartością siła, wojna i męstwo,  
A hańbą wieczną zawsze jest zdrada.

Tam, gdzie usłyszysz szcęk krwawych mieczy,  
Tam, gdzie człowieka ostatnie tchnienie,  
Tam bóg potężny bitwą dowodzi,  
Wciąż wszczynać wojny – jego pragnienie.

Mord i Niezgoda trzymają lejce –  
Tak przez potomnych są nazywani.  
Bojaźń i Strach rydwan boski ciągną,  
I są przez tamtych wciąż popędzani.

Największym wrogiem boga Aresa  
Była od zawsze siostra, Atena.  
Nienawidziła swojego brata  
Z całego serca i bez wytchnienia.

Razu pewnego chcąc go poniżyć  
Jęła się włóczni, by bratu zadać  
Ranę wstydliwą i tak bolesną,  
Że sam Posejdon musiał go zbadać.

Od ludzi greckich pomników mało,  
Świątyni też wiele nigdy nie dostał.  
Za to Rzymianie bardzo go czcili,  
On jednym z głównych bogów ich został.

### **Midas**

Raz król Midas miał marzenie,  
By co dotknie zmieniać w złoto.  
Bachusowi swe życzenie  
Jął przedstawiać wraz z ochotą.

Jaka radość nastąpiła,  
Gdy godzina prób wybiła,  
Bo to krzesła, stoły lśniły  
I tym złotem aż świeciły.

Co nie dotknie – w złoto zmienia  
I ożywia swe marzenia,  
By być najbogatszym z ludzi,  
Zazdrość innych w sercach budzić.

Lecz mu szybko zrzędła mina,  
Kiedy chwycił puchar wina,  
Bo z pucharu, daję głowę –  
Płynie złoto karatowe.

Inne rzeczy, też tak samo,  
Nie są tym, czym były rano.  
Chleb jest czystą sztabą złota,  
Tak jak solą żona Lota.

Jednak Bachus to bóg dobry  
I wysłuchał jego modły,  
Dar opuścił ciało króla,  
Gdy w Paktalos dało nura.

### **Konstelacja luster**

konstelacja luster  
zakrada się z przestrzeni lepkiem  
światłem przypadku  
narasta pod skórą drzew  
solidnych w milczeniu

rozrzucona energia  
skumulowana w międzyczasie  
odpycha bliskie ciała  
mogę tonąć lub latać w tym  
samym momencie  
ciemnego rozbłysku

z krwi burzliwa chmura mózgoaktywnych  
pełzających strun szczepionych z kartką  
papieru sponad fioletowego słońca  
otwarta elipsa paradoksów  
i nigdy zamkniętego nieprawdopodobieństwa  
wzdłuż wskroś wszerek w poprzek i z powrotem

**Zapadnięty w sobie**

zapadnięty w sobie sen  
i krzywa losu słowo w słowo  
wyciągnięta po szyję nietrwała melodia zakazanych  
spojrzeń cień zwinięty w nieludzki  
kłębek stacza się w mróz  
w jaśniejącą ciemność  
horyzontu zdarzeń samopodobny szelest  
i zabrudzone oczy jak płatek śniegu  
nieskończenie powiększony gwiazda krwi  
zakopana pod czaszką jak w błocie szukanie nocy

**(Nie)pokój duszy**

Wszystko już spakowane.  
Rozliczone, zapłacone,  
Sam zostanę.  
Sam.

Książki przeczytane,  
Muzyka wysłuchana,  
Zapachy wciąż trwają,  
Dłoń zostaje zimna.

Za wszystko rozliczą,  
Wszystko przypomną,  
Nic się nie ukryje,  
Nawet brak miłości!

Zrzuć mnie, jak głaz  
Z wysokiego nieba  
W nieodgadnięte czeluście,  
Które poznał Dante.

To przez brak ciepła,  
Zrzucony, obity, przeklęty.  
Tkwię w piekła odmętach  
Jak zdrajca wyciągnięty!

**Cisza!**

Grzmiąca cisza,  
Wśród ludzi tylu.  
Cisza upaja mnie,  
Nie ma szumu.

Grzmiąca cisza,  
Jest, płynie – rozciąga się –  
W bezkres, nie zobaczysz jej,  
Nie usłyszysz jej!

Rozkochaj się w Ciszy,  
Zrozum Ją!  
Rozpłyn się w Niej!  
Wysłuchaj Jej...

**tam stał taki stół**

miął cztery nogi  
(byłem zazdrosny  
że miał o dwie więcej niż ja)

malowałem go kredkami  
chowałem się pod nim  
i cicho rozmawiałem  
o swoich tajemnicach

niedawno połamano i spalono  
podobno z powodu korników

i dzisiaj posprzątałem

udało się zmieścić  
w pudełku od zapalek

**inwestycja**

widać dom szeroki i kolorowy  
z komina tylko dym  
w środku mały pokój  
krzesło stół szafa  
i kuchnia  
ktoś się tam krząta

ale nie spodoba mi się ten ktoś  
nie pasowałby do mojej nowej szarej farby na ściany



**Wolności...**

W sercu puls ustaje  
W powolnym konaniu  
Płomień gaśnie  
Wypalając się  
Do ostatniej kropli krwi...

Moja tęsknota powraca  
Z każdą myślą  
Dnia wolnościowego  
Patrzac na okno  
Ubrane kratą  
Z żelaza szczerego...

Tęsknota chowa się  
W końcu mojej głowy  
Ubrana w zależności  
Od pory dnia...

**Lawendowy świat**

W lawendowym świecie  
Pokrytym złotymi myślami  
Przemierzam morza i oceany  
Pośród dzikich drzew  
I niemych skał  
Szybuję hen do gwiazd  
Niosą mnie skrzydła  
Polskiej godności  
Moja dusza  
Niczym pień  
Starego cisu  
Ulanego deszczem  
Śliska i zmienna  
Jak pory roku.

Tych kilka metrów kwadratowych  
Podziemnej posesji  
Na które zarabiamy całe życie  
Uczymy się prujemy żyły i kochamy

To jest tak błahe  
tak prawdziwe  
Nie mogę przestać o tym myśleć

## Kacper Pietrenko (godło Kacper Hauser)

Wyszedłem za miasto słuchać śpiewu łabędzi  
Obok zamrożonej rzeki  
Dziwacznie tańczą na nieboskłonie  
Obłoki jak reklamówki foliowe  
Gotów jestem wpakować tam cały pęk marzeń  
Słów kluczy  
Kieszenie dziurawe choć upycham je fioletowym światłem  
Wylewa się i znajduję je  
Idąc znów tą samą drogą

### **Do Pana Andersena**

Gdzie Baśniowy Królu podziewa się sens Twych opowieści?  
Jak młodzik w tych mrocznych bajkach ma odszukiwać treści?  
Ołowiany Żołnierz? Ziarnka grochu? Sprawa jasna.  
Jest tu strach, groza... Lecz gdzie ukryła się zabawa?  
Gdzie nauka? Morał jaki?  
Po co róża z grobu Słowika? Czyż rodzina to Ślimaki?  
Czemu kogut z dachu źle się do ziomków odzywa?  
I skacząc z dachu, łamiąc kark na ziemi dogorywa?  
Tragedia Małej Syrenki? Dziewczyna z zapalkami? Owszem wzrusza.  
Lecz zamiast układać do snu, do smutnych refleksji zmusza.  
Czy Brzydkie Kaczętko zasługuje na śmiechy ze strony kolegów?  
Czy mała Dama zmruży oczy po Królowej Śniegu?  
Który młody Książę spokojnie zaśnie,  
wiedząc o wiedźmie czyhającej w zaspie?  
Może dzieci nie te? Może ciut zepsute?  
Ben-tenowa era, wygrała z Kogutem?  
Szat cesarza nikt już nie będzie czytał,  
tylko Pokemony w każdym śnie witał?  
Nie za ciężkie brzemień na dzieci nałożyłeś?  
(a i dorosłym sen z powiek spłoszyłeś....)

**Żyj na Max(xie)a!**

Wśród dyskotekowych barw życia codziennego  
jasnożółtymi blaskami spowite  
ciepło, pogoda ducha i okiełznanie nieznanego  
są nowoczesności tajemnice odkryte

Zdobione pomarańczowymi migawkami  
Samodyscypliny – urzeczywistnianie własnych planów  
w podskokach, piruetach, tanecznymi krokami  
bawiąc się, śmiejąc nie uznawać rozkazów i panów

W czerwonych wybuchach miłosnego oświecenia  
wsluchani w muzyczną ekspresję namiętności  
w obrotach z towarzystwem poszukiwać spełnienia  
smutki i troski zagłuszyć bitem radości

„Niech żyje bal, biba, impreza, feta i disco”  
krzyczy buntownicza młodzież, dorośli i wesołe dziadki  
w fioletowym blasku wolności nie dowierza towarzystwo  
gdy do tańca dołączyły uśmiechnięte matule i babki

Błękitne łzy uronią przyjaciele, łzy rozstania, łzy wzruszenia  
gdy spokojnym ruchem w rytm baletowego taktu  
dojdiesz do przestworzy marzeń spełnienia  
na upragnioną taneczną scenę londyńskiego teatru

Zatem baluj, kochaj mocno całym sobą,  
wierz w siebie, miej nadzieję, pomóż gdy ktoś prosi  
wśród zielonych drzew, idź swą drogą  
wszak w Londynie nikt majtek nie nosi...



Urodził się w 1963 r. w Łodzi. Studia: Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Wydział Sztuk Pięknych w Toruniu oraz Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych w Łodzi (obecnie ASP). Obecnie tworzy szereg działań artystycznych w Zbąszyniu gdzie pracuje i mieszka. Zajmuje się malarstwem, grafiką, instalacją, obiektem artystycznym, wideo, działaniami parateatralnymi i site-specific. Prowadzi scenę plastyczną od 20 lat. Realizuje projekty kuratorskie w Muzeum Ziemi Zbąszyńskiej i Regionu Kozła. Ma na swoim koncie wiele działań artystycznych, wystaw, festiwali. Jest twórcą Międzynarodowego Festiwalu Artystycznego *Experyment*. Prowadzi *Galerię Baszta* – non profit. Jest prezydentem Stowarzyszenia Kulturalno-Edukacyjnego *Przestrzeń*.

**Ważniejsze wystawy:** 2011 Galeria ASP Łódź; 2010 Galeria 2b+R w Warszawa; 2010 Galeria ASP w Łodzi; 2009 Międzynarodowe Biennale Sztuki Nowoczesnej w Taszkencie; 2008 Międzynarodowe Spotkania Artystyczne Experyment w Zbąszyniu; 2007 Międzynarodowe Biennale Sztuki Współczesnej w Taszkencie; 2007 Międzynarodowe Spotkania Artystyczne Experyment w Zbąszyniu; 2007 Kolekcja Starej Winiarni, Galeria Miejska Arsenal w Poznaniu (wystawa zbiorowa); 2006 Galeria Stara Winiarnia w Zielonej Górze; 2006 Międzynarodowe Spotkania Artystyczne Experyment w Zbąszyniu; 2005 Międzynarodowe Spotkania Artystyczne Experyment w Zbąszyniu; 2003 Białe postacie, malarstwo, Stralsund Niemcy.

# Festiwal Experiment – historia

Początki Experimentu sięgają roku 2001. Wtedy to z inicjatywy Teatru S, kierowanego przez Ireneusza Solarka, odbyły się w Zbąszyniu Spotkania Teatralne EXPERYMENT. Harmonogram zainicjowanego wydarzenia obejmował cztery wieczory, podczas których zaprezentowały swoje dokonania Nieformalna Grupa Teatralna, Oskar Woźny oraz gospodarze – Teatr S. Ostatnie wydarzenie stanowiło zwieńczenie wspólnej pracy wszystkich artystów podczas festiwalu. W ten sposób narodził się charakter „finałowego” dnia Experimentu, podczas którego publiczność mogła zobaczyć widowisko multidyscyplinarne, bogate w obrazy, dźwięk i ruch. Oddające jedność w działaniach i inspiracjach wszystkich przybyłych na Experiment artystów. Pierwsza edycja festiwalu otrzymała bardzo pozytywne komentarze na łamach „Gazety Lubuskiej”, „Głosu Wielkopolskiego” oraz „Dnia Wolsztyńskiego”.

## 2002

Kolejny rok pracy organizatorów zaowocował wydarzeniem artystycznym na szerszą skalę. Druga edycja Experimentu zyskała miano Międzynarodowych Spotkań Teatralnych. Wydarzenie skierowano zwłaszcza do młodych artystów, którzy proponują oryginalne projekty form teatralnych. Otwarcie na nowatorskie pomysły, techniki, dokonania indywidualne i grupowe pozwoliło skupić w dniach festiwalowych najbardziej atrakcyjne i interesujące prace. Czas festiwalu stał

się nie tylko przeglądem teatralnym, ale także czasem przygotowań do wspólnego finału zatytułowanego Fiolet.

## 2003

W roku 2003 Teatr S oraz Zbąszyńskie Centrum Kultury w organizacji Experimentu wsparły: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury oraz Urząd Marszałkowski Województwa Wielkopolskiego. Do Zbąszynia przyjechali artyści z Litwy – Wileński Teatr Staromiejski, z Japonii – Akira Shimuzu i Satoshi Aizawa, z Francji – La bata hola de la Pintura, z Zakopanego – Teatr Psychodelli Absolutnej, z Lubaczowa – Teatr Światła Magapar, a także Teatr NASZ, Teatr Eventual z Lublina, Grupa „Czego nigdy” oraz Teatr S. Artyści wpisali swoje prace w dostępne przestrzenie miasta, nie tylko salę ZCK, ale również przestrzeń Rynku Miejskiego, Parku i zbąszyńskich Kazamatów.

## 2004

W roku 2004 Experiment został przemianowany na Międzynarodowe Spotkania Artystyczne, swoją tematyką obejmował już nie tylko wydarzenia teatralne i plastyczne, ale również koncerty, instalacje video oraz filmy. Zbąszyński Dom Kultury w organizacji wsparło dodatkowo Starostwo Powiatowe, a także Stowarzyszenie Kulturalno-Edukacyjne „Przestrzeń”. Po raz kolejny w Zbąszyniu gościli mimowie z Japonii: Akira Shimuzu, Satoshi



Aizawa i Hisato Imada, a także Teatr „Eventual”, Teatr „Czego Nigdy”, Teatr Psychodelii Absolutnej. Projekcje filmowe mogły zaistnieć dzięki przestrzeni Muzeum Ziemi Zbąszyńskiej i Regionu Kozła, które stało się nową przestrzenią wykorzystywaną od tego roku przez artystów Eksperymentu, podobnie jak przestrzeń nieczynnego holu dworca PKP, która posłużyła do realizacji finałowej pracy.

## 2005

Pod hasłem „Panta Rei” artyści z całego świata spotkali się w Zbąszyniu podczas Międzynarodowych Spotkań Artystycznych Eksperyment 2005. Harmonogram festiwalu rozrósł się pod względem dziedzin sztuki i gatunków, które zaproponowano publiczności. Widzowie mogli zobaczyć w ciągu sześciu dni spektakle teatralne, instalacje interaktywne oraz koncerty. Poszukiwanie poprzez „eksperymentowanie” zadziało na wszystkich obszarach sztuki. Wydarzenie zrecenzował „Dzień Wolsztyński”:

„Wszyscy chcący wziąć w niej udział nie mogą liczyć na nagrody czy honoraria ani zwrot kosztów podróży. Mimo to, co roku do Zbąszynia ściągają

coraz liczniejsze grupy artystów, niekiedy z bardzo odległych stron Świata, jak np. przybywający od trzech lat Japończycy. Obsługą logistyczną przedsięwzięcia zajmuje się liczna grupa młodzieży z miejscowego liceum i gimnazjum. Wolontariusze podzieleni na grupy realizują bardzo odpowiedzialne zadania, od pomocy przy przygotowaniu posiłków po obsługę techniczną spotkań. – Na tym polega Eksperyment – mówi Ireneusz Solarek jeden z głównych organizatorów. – Nie ma on żadnych cech komercyjności i tak pozostanie. Nikt nie dostaje tu wynagrodzeń, wszystko dzieje się z potrzeby tworzenia i dzielenia się tym z innymi”. („Dzień Wolsztyński” z 19 lipca 2005)

## 2006

Eksperyment w roku 2006 otworzył koncert zespołu Żywiołak. Organizatorzy postanowili tym razem zwrócić się także z propozycją do nieco młodszej widowni, proponując pokazy filmów z 29th Clermont Ferrand Short Film Festival. Dojrzała widownia natomiast mogła zobaczyć między innymi gombrowiczowską *Iwonę księżniczkę Burgunda* w interpretacji Polskiego Teatru w Moskwie, *Chips of peace* duetu Centrala



Rybna czy przedstawienie zatytułowane *Latająca świnia* Teatru Nie ma. Gospodarze, czyli Teatr S zaprezentował festiwalowej publiczności spektakl zatytułowany Tkliwość. Pechowy okazał się wieczór finałowy tegoż Eksperymentu, ponieważ zaplanowane w plenerze wydarzenie nie powiodło się z powodu deszczu.

### 2007

Ślad – to tytuł Eksperymentu, który odbył się w dniach od 8 do 15 lipca 2007 roku. W przestrzeni miasta po raz kolejny zagościli artyści z całego świata. Wystąpił Teatr-laboratorium Alma Alter z Bułgarii, Teatr Polski w Moskwie, Teatr „To tylko My”, Teatr Mist, Teatr Powsinogi, a także Teatr S. Poza teatralnymi spektaklami mogliśmy zobaczyć wiele prac indywidualnych z dziedziny plastycznych, multimedialnych, a także wysłuchać koncertów muzycznych.

### 2008

Rok 2008 stanowił propozycję repertuarową bogatą pod względem muzycznym. Zbąszyńskiej publiczności zaprezentowała się Szkoła Muzyczna

z Poznania, Big Band, Tuńczyk, Yannick Franck, Phil Maggi, Samshabati czy KakofoNIKT. Na scenach teatralnych mogliśmy zobaczyć po raz kolejny prace Centrali Rybnej, Almy Alter, Grupy S. Po raz pierwszy zawiązał do Zbąszynia poznański Teatr Usta Usta. Przestrzeń starej części Dworca Kolejowego, Baszty i Muzeum posłużyła wystawom plastycznym i wernisażom.

### 2009

Temat *widzialne – niewidzialne* w 2009 roku skupił w Zbąszyniu po raz kolejny artystów poszukujących poprzez przekraczanie granic gatunkowych, zmieniając znaczeń i funkcjonalności przedmiotów czy przestrzeni codziennego użytku.

### 2010

W roku 2010 pojawiła się idea zamknięcia jednego z etapów Eksperymentu i postawienia go w odrobinę innym świetle. Dziesięcioletni staż zaowocował wieloma kontaktami, opiniami profesjonalistów i amatorów, artystów oraz widzów, które organizatorzy wykorzystują, by Eksperyment nie utracił charakteru twórczych poszukiwań.





Galeria Stara Winiarnia w Zielonej Górze, *Zapis*, 2006



Galeria Stara Winiarnia w Zielonej Górze, *Zapis*, 2006



XI Międzynarodowe Spotkania Artystyczne Experiment w Zbąszyniu, instalacja *przestrzeń antagonistyczne*, 2011





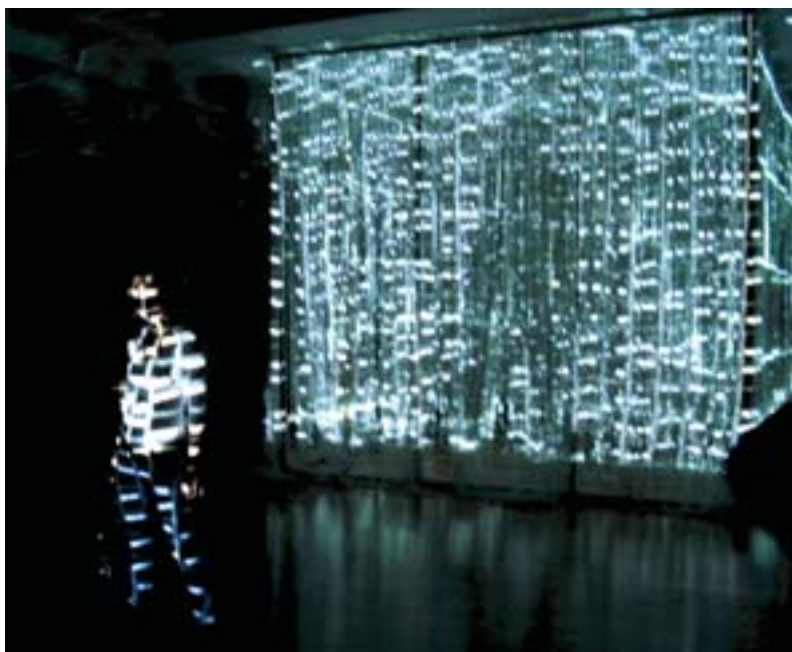
XI Międzynarodowe Spotkania Artystyczne Eksperyment w Zbąszyniu, instalacja *przestrzeń antagonistyczne*, 2011



XI Międzynarodowe Spotkania Artystyczne Eksperyment w Zbąszyniu, instalacja *przestrzeń antagonistyczne*, 2011



Międzynarodowe Biennale Sztuki Nowoczesnej w Taszkencie, instalacja *Inne Przestrzenie*, 2009



Międzynarodowe Biennale Sztuki Nowoczesnej w Taszkencie, instalacja *Inne Przestrzenie*, 2009

# Teatr S – wypowiedzieć tekst widzem – z teatralną misją *aisthesis sensualis*

Teraz masz objawiać za pomocą ruchu rzeczy niewidzialne, dostrzegane dzięki oczom, lecz nie bezpośrednio oczyma [...].

Edward Gordon Craig  
*Artystom teatru przyszłości*

Nietrudno udowodnić potężną siłę sprawczą słowa w kulturze. *Logos* stworzył człowieka, stając się jednocześnie narzędziem używanym w określaniu wszystkiego, co ludziom towarzyszy, od przedmiotów materialnych po abstrakcyjne opisy odczuć zmysłowych. Słowo stało się medium posiadającym zdolność obcowania zarówno z *sacrum*, jak i *profanum*. Funkcja komunikacyjna pozwoliła mu wkraczać w kolejne etapy rozwoju ludzkości z dużą swobodą i powodzeniem. Kultura ustnego przekazu, kultura piśmienna, druk, radio, telewizja i internet to przełomowe wydarzenia w dziedzinie komunikacji ludzkiej, lecz przede wszystkim to nieodwracalne zmiany zdolności percepcyjnych człowieka. *Logos* jako znak otworzył swój barwny wachlarz, który w dziedzinie sztuki między innymi wykorzystał teatr. Identyfikując się ze słowem poprzez tekst dramatu, w **drugiej** połowie XX wieku, postanowił od niego uciec w tekst inscenizacji – obrazy, barwy, dźwięki. Zdefiniowany przez Hansa-Thiesa Lahmanna teatr postdramatyczny, choć ciągle wywołuje wiele

burzliwych dyskusji, okazuje się pomocny w spojrzeniu na kształtowanie percepcji widza i definiowanie jego roli we współczesnym teatrze. Interdyscyplinarne podejście do teatru jest więc tak oczywiste, jak jego wielopłaszczyznowość i materialna polifoniczność. Twórczość Teatru S stanowi doskonały obraz procesu, w którym widoczne są cechy przynależności do teatru postdramatycznego, jak i podejmowanie problemu percepcji sztuki poprzez wielką nieobecność *logosu*; nieobecność, która przeistacza się w istnienie poprzez współudział widza.

Doświadczenie sztuki proponowane przez reżysera Teatru S, Ireneusza Solarka, prowokuje odbiorcę do stawiania pytań dwojakiego rodzaju. W pierwszej kolejności są to kwestie dotyczące kondycji ludzkiego ciała w sztuce, dalej natomiast pytania o zależności pomiędzy ciałem a czasoprzestrzenią. Wydaje się, że w tym wypadku zakładana obecność *logosu* powinna znaleźć swoje źródło w ożywionym ciele aktora, postaci czy bohatera, niezależnie jaką terminologią i jakim nazewnictwem się tutaj posłużymy. Jest jednak inaczej, ponieważ słowo nie utożsamia się jednoznacznie z materią ożywioną. Ciało definiowane w spektaklach Teatru S ukazywane jest w procesie stopniowego zatracania swojej pierwotnej skamieniałości. Wyraźnie można zauważyć to w późnych sztukach *Tkliwość*, *Trzy stany skupienia* czy *Terra*

*Incognita*. Wszystko dzieje się równolegle do rozwoju systemu pracy reżysera, a zarazem jego artystycznej ewolucji. Kolejne spektakle artysty dają świadectwo nieustannego poszukiwania, wykraczania, kruszenia i jednoczesnego zlepiania skorupy. Ukazując ciało dążące do wyzwolenia, pokazuje jednocześnie jego zależność w istnieniu na scenie od odbiorcy i procesu konkretyzacji zachodzącego w jego głowie. Znamienne wydaje się użycie terminu „skamieniałość”, ponieważ w pewien naturalny sposób odsyła do materialności, której nieodłącznym elementem są zarówno statyczność tożsama z kategorią śmierci, jak i przestrzenność konstytuująca sens rzeźby jako dziedziny sztuki. Dyskusji nie podlega fakt, iż Teatr S to scena artysty absolutnego, artysty – demiurga.

Plastyczne wykształcenie reżysera narzuca analizę teatralnej inspiracji poprzez sztukę wizualną, a zwłaszcza pracę, którą najprościej można określić rzeźbieniem w ludzkim ciele. Ukazywaniem jego plastyczności lub wręcz przeciwnie, ograniczenia składającego się jedynie na **znak**, a raczej – jak pisze Lehmann – na „manifest cielesności”. Ruch ciała interpretowany w historii teatru jako rodzaj pisma gestycznego, w teatrze tworzonego przez Solarkę, ogólniej w teatrze postdramatycznym, stanowi wypadkową sił i bodźców generowanych przez zaistniałą sytuację wido-

wiska teatralnego, a więc wpływ przestrzeni scenicznej, rekwizytów teatralnych, a ostatecznie także zwrotnego sprzężenia z widzem obecnym w przestrzeni rozgrywającego się spektaklu. Ludzkie ciało definiowane jest przede wszystkim poprzez kategorie właściwe sztuce rzeźbiarstwa, modelowania materii, która w przekonaniu odbiorcy niekoniecznie jest zupełnie martwa i bezwolna. Bardzo trudne okazuje się pokazanie ludzkiego ciała pozbawionego znaczeń, prawdziwie „nagiego”, tak by nie rodziło skojarzeń typu: stare, młode, piękne, okaleczone, zniekształcone. Wydaje się jednak, że dla Teatru S ta niełatwa do zrealizowania idea stała się motorem wielu spektakli. Ciało aktora stanowi przede wszystkim narzędzie, medium dialogu reżysera z widzem, jest białą kartą papieru pochłaniającą najsubtelniejsze sensory czy metafory. Bardzo trudno dostrzec w niej indywidualność samego aktora. Życie prywatne osłania bądź nawet wymazuje stosowana na scenie ciemność, jednolite kostiumy, synchroniczność ruchu. Twórczość Teatru S wymusza pewien określony typ odbioru, wymaga przygotowania bliskiego modlitwie czy kontemplacji, wyciszenia. To typ teatru, w którym wyraźnie samo jego zaistnienie zależy od widza, od jego otwartości, nastroju, samopoczucia, nie natomiast wiedzy czy doświadczenia artystycznego.



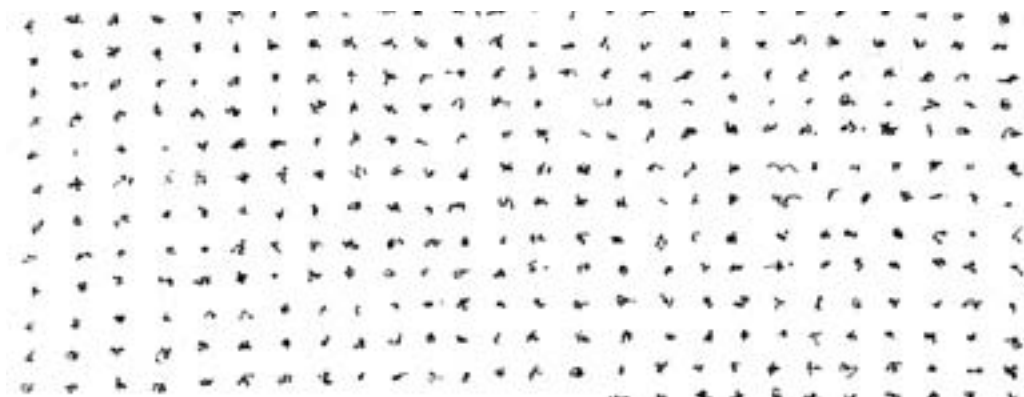


Aktor jako medium rozpięty został pomiędzy dwoma biegunami, reżyserem i widzem, układ ten wyznacza przestrzeń sceniczną danego spektaklu. Dla Solarka to podstawowa zasada definiowania miejsca reżyserowanego widowiska, choć nie do końca obojętna na charakter architektury miasta, konotacje historyczne, kulturowe czy religijne. Zauważyć można, że są to elementy, które podlegają weryfikacji dopiero podczas rozgrywania się spektaklu. Cennym jest więc doświadczenie wyizolowania się z rozmaitych stereotypów, schematów, ograniczeń i utartych sentencji. Znaczenie zostaje nadane przez widza, konkretyzuje się w procesie odbioru samego dzieła, wszystko, co istnieje przed spektaklem, jest weryfikowane. Solarek przywraca pierwotne znaczenie ludzkiemu ciału, podobnie czyniąc z przestrzeni. Semantyczne wyzerowanie wydaje się – jak pisze Lahmann, charakteryzując postdramatyczną scenę – odpowiedzią artystów na współczesne bombardowanie znaczeniami w życiu codziennym. Pozostaje pytanie, czy cel Teatru S to wizja świata wynikająca z konsekwencji ciągłego przyspieszenia w myśl, że w pewnym momencie przyspieszenia wszystko na około wydaje się zwalniać, czy raczej prostszego spojrzenia sugerującego reakcję odwrotną, czyli naturalne, wsteczne spowolnienie egzystencji człowieka?

Pomocna może okazać się kwestia dyskursu scenicznego o charakterze snu, który Teatr S szczególnie sobie upodobał. Senne obrazy wynikają zarówno z charakterystycznej spowolnionej dynamiki, jak i atmosfery ezoteryczności. Możliwe, że sen jest wyidealizowany, zupełnie nie opiera się na systemach świata rzeczywistego, czas nie istnieje, nie przyspiesza i nie zwalnia, ruch jest kategorią czysto estetyczną, zależną od formułującej się przestrzeni. Dla widza to spotkanie wymaga przekroczenia pewnych barier, rezygnacji z rzeczywistości i doświadczenia swoistej komunii z tym światem. To jak początkowa lekcja filozofowania czy medytacji, nauka dostrzegania ruchu w pozornym zatrzymaniu i odwrotnie.

Spotkanie z teatrem Ireneusza Solarka wymaga krytycznego spojrzenia na własną zdolność percepcji, umiejętność odbioru sztuki wizualnej. Bariery nie stanowi wiedza techniczna, erudycyjność w dziedzinie malarstwa, rzeźby czy teatru, lecz dość wysoko zawieszona poprzeczka otwartości zmysłowej widza. By zrozumieć, trzeba poczuć, a nie wiedzieć. Przetłumaczenie granicy między artystą a widzem jest konieczne, by mogli oni stworzyć wspólną myśl, podjąć dialog. W przypadku Teatru S niemy dialog ciała, ale jakże bogaty dialog dusz.





## **VARIA**

Andrzej Buck

### **Wejść na szczyt!**

Uczestnicząc w Projekcie 18 („Biblioteki w społeczeństwie wiedzy. Strategie dla przyszłości”), prowadzonym przez Fundację Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego, brałem udział w wyjeździe studyjnym do Norwegii, w tym do Oslo, ale i Sandefjord oraz do szeregu mniejszych miejscowości. W Norwegii obowiązują zasady, które warto przenieść na polski grunt. Czytelnik nie może mieć do biblioteki więcej niż dwa kilometry (tak mówi norweska ustawa biblioteczna), a książki może zwrócić w każdej, najbliższej się znajdującej bibliotece. Katalogi kartkowe stoją za szybą, w gablotach, jako eksponaty muzealne, a biblioteki to miejsce spotkań. Są otwarte. Czytelnik/użytk-

Andrzej Buck

### **Besteige den Gipfel!**

Als Teilnehmer am Projekt 18 („Bibliotheken in der Wissensgesellschaft. Strategien für die Zukunft”), das durch die Stiftung für die Entwicklung der Informationsgesellschaft durchgeführt wurde, war ich vor kurzem auf einer Exkursion in Norwegen, darunter in Oslo, aber auch in Sandefjord und mehreren anderen kleinen Orten. In Norwegen gelten Regeln, die es wert wären, auf den polnischen Boden übertragen zu werden. Der Leser sollte es nicht weiter als zwei Kilometer bis zur nächsten Bibliothek haben (so das neue norwegische Bibliothekengesetz), und die Bücher können in jeder Bibliothek zurückgegeben werden. Die herkömmlichen Zettelka-

kownik sam rejestruje wypożyczenia (self check), a trezor o każdej porze przyjmuje wypożyczone zasoby. Współczesna biblioteka to miejsce spotkań. Zatem w tym tekście kilka uwag o otoczeniu biblioteki otwartej. A tak na marginesie: wieszczenie śmierci książki i biblioteki to dzisiaj często powtarzane nadużycie. Stanowiska są przecież skrajne. Książka-wywiad z Umberto Eco i Jean-Claude'em Carrière'em nosi jakże znaczący tytuł: *Nie myśl, że książki znikną*. Z kolei w innej książce Łukasz Gołębiowski zapowiada *Śmierć książki* (*No future book*).

## Idea mediateki

Powstało ich w Polsce kilka: Wrocław, Olsztyn: Planeta 11, Warszawa: Start-Meta, Zielona Góra: Góra Mediów. Pierwsze dwie ze środków Fundacji Bertelsmanna.

„Zróbmy sobie mediatekę” – grzmi radio. „Spotkajmy się w Bibliotece” – nawołuje reklama. „Biblioteka miejsce spotkań”, „Republika książki” – to często pojawiające się dzisiaj hasła.

O nowy model biblioteki upominają się dzisiejsi odbiorcy i czytelnicy, choć często nie wprost. Taki wniosek można wysnuć z badań czytelniczych, które alarmują, że czytelnictwo permanentnie spada. Dlaczego?

62 proc. Polaków nie miało w ostatnim roku w rękę ani jednej książki. Prof. Jadwiga Kołodziejska w jednym z wydań „Tygodnika Powszechnego” cytuje wyniki badań Instytutu Książki i Czytelnictwa BN. W 2004 roku 58 proc. Polaków sięgało po książkę przynajmniej raz w roku, w 2006 procent ten zmalał do 50 proc. A w 2008 już tylko 38 proc. miało kontakt z książką. Lepiej jest w 2010: 44 proc. dokonało lektury książki.

A przecież przykład wrocławskiej, warszawskiej czy olsztyńskiej mediateki, że może być inaczej, jest tu wzorcowy. A co jest ich **atutem** – **zapytajmy?** Odpowiedź. To świadomość gromadzenia i badanie wykorzystania zbiorów.

Jeśli uznamy, że dzisiaj idealna biblioteka to... lokalne centrum kultury, wiedzy i informacji, to oznacza, że oprócz zadań wynikających z ustawy

taloge stehen in Schaukästen als Ausstellungsstücke. Bibliotheken sind Treffpunkte. Sie sind offen. Der Leser/Bibliotheksbenutzer kann den Ausleihvorgang selbst durchführen (self check), und die ausgeliehenen Bestände können zu jeder Uhrzeit am Tresor zurückgegeben werden. Die Bibliothek von heute ist ein Treffpunkt. Im weiteren Text werden also ein paar Bemerkungen zur Umgebung einer offenen Bibliothek gegeben. Am Rande: Den Tod des Buches und der Bibliothek zu prophezeien, ist heute ein häufig wiederholter Fehler. Denn wir haben es ja mit extrem divergierenden Standpunkten zu tun. Das Buch – Interview mit Umberto Eco und Jean-Claude Carrière trägt den signifikanten Titel: **„Die große Zukunft des Buches”**. Dagegen kündigt Łukasz Gołębiowski in einem anderen Buch den *Tod des Buches* (poln. Titel *Śmierć książki. No future book*) an.

## Idee der Mediathek

Es sind einige davon in Polen entstanden: Breslau, Allenstein: Planeta 11, Warschau: Start-Meta (Start-Ziel), Grünberg: Góra Mediów (Medienberg). Die beiden ersten wurden aus den Mitteln der Bertelsmann Stiftung finanziert.

„Lasst uns eine Mediathek machen!”, dröhnt es im Radio. „Lass uns in der Bibliothek treffen!”, ermuntert die Werbung. „Treffpunkt Bibliothek”, „Republik der Bücher” – sind Parolen, die jetzt häufig auftauchen.

Die heutigen Leser fordern ein neues Bibliothekenmodell, wenn auch oft nicht direkt. Ein solcher Schluss ist aus den Leseforschungsstudien zu ziehen. Diese sagen nämlich, dass die Lust am Lesen permanent sinkt. Warum?

62 Prozent der Polen haben im letzten Jahr kein einziges Buch gelesen. Professorin Jadwiga Kołodziejska führt in einer Ausgabe der Wochenzeitung „Tygodnik Powszechny” die Forschungsergebnisse des Instituts für Buch- und Leseforschung der Nationalbibliothek an. 2004 haben demgemäß 58 Prozent der Polen mindestens einmal im Jahr zum Buch gegriffen, 2006 ist die Zahl auf 50 Prozent gesunken. 2008 haben

powinna być ona kreatorem wydarzeń edukacyjnych i kulturalnych. Jej zarządzanie opierać się musi o odpowiednio przygotowaną kadrę.



Ponieważ jednak biblioteka to nie tylko gromadzenie, opracowanie i udostępnianie, ale – jak powiedziano – lokalne centrum kultury i informacji, kadra i w tym względzie permanentnie musi doskonalić swoje umiejętności.

Jaka biblioteka? – zadajmy sobie kolejne pytanie. Ustawa o bibliotekach, wytyczne IFLA, manifest UNESCO, SBP i teoretycy dzisiaj mówią: biblioteka otwarta! I ja się z taką tezą oczywiście zgadzam. A przecież w nowoczesnej bibliotece organizacja przestrzeni bibliotecznej to podstawowa zasada kultury organizacyjnej. Zmiana wyglądu biblioteki oraz jej aranżacji wewnętrznej idą w parze ze zmianą pełnionych funkcji i oczekiwań ze strony użytkowników. Demokratyzacja dostępu do wiedzy i informacji, służebność bibliotek wobec klienta znajduje swój wyraz w zmianie ich wyglądu. Dlatego ważne są dzisiaj zmiany estetyczne, technologiczne i upowszechnieniowe. Biblioteka musi być mocno osadzona w regionie, w mieście, w którym ma swoją siedzibę.

Zatem pierwszym celem jest usatysfakcjonowany klient biblioteczny. Są biblioteki idealne, przyjazne lub budzące niepokój, takie, które robią wrażenie obłąkanej twierdzy. A przecież efektem działań bibliotekarza powinien być zadowolony klient. Takim będzie, jeśli biblioteka **będzie** otwarta, jeśli gromadzi, opracowuje i udostępnia, ale też oferuje niczym nieskrępowany dostęp do zbiorów i baz danych. Ten dostęp powinny ułatwić

nur noch 38 Prozent Kontakt mit dem Buch. 2010 sah ein bisschen besser aus: 44 Prozent haben ein Buch gelesen.

Doch das Beispiel der Breslauer, Warschauer oder Allensteiner Mediathek zeigt, dass es auch anders sein kann. Was ist ihr Trumpf? Die Antwort: Es ist das bewusste Sammeln und Analysieren, wie der Bestand genutzt wird.

Vorausgesetzt, dass die ideale Bibliothek... als Lokalzentrum für Kultur, Wissen und Information verstanden wird, sollte sie außer ihren gesetzlichen Aufgaben auch Kultur- und Bildungsveranstaltungen in die Wege leiten. Zu ihrer Verwaltung braucht man ein entsprechend geschultes Personal. Da aber, wie gesagt, die Aufgaben der Bibliothek weit über Sammeln, Bearbeiten und Zugänglichmachen von Büchern hinausgehen, muss sich das Personal auch in den anderen Bereichen dauernd fortbilden.

Dann eine nächste Frage: Wie soll eigentlich die Bibliothek sein? Das Bibliothekengesetz, die



Richtlinien der IFLA, das UNESCO-Manifest, der Verein der polnischen Bibliothekare (SBP) und die Theoretiker sagen heute: Die Bibliothek soll offen sein! Natürlich bin ich auch der Meinung. Die räumliche Gestaltung ist ja in der modernen Bibliothek von grundlegender Bedeutung. Die Veränderung des Erscheinungsbildes und der Innendekoration einer Bibliothek geht mit der Veränderung ihrer Funktion und der Benutzererwartungen einher. Die Demokratisierung des Zugangs zu Wissen und Informationen, sowie die dienende Funktion der Bibliothek gegenüber dem

czytelnikowi procesy technologiczne. Czyli biblioteka rezygnuje z zasady: urzędy są dla urzędników a biblioteki dla bibliotekarzy. Podstawą zarządza-



nia we współczesnej bibliotece jest odpowiednio kształtowana kultura organizacyjna i zarządzanie jakością. Kultura organizacyjna to inaczej wiedza, gust i kompetencja bibliotekarza. Jej przejawy, wg prof. Elżbiety Zybert<sup>1</sup> to: założenia – całkowicie niewidoczne i nieuświadomione, normy i wartości – częściowo widoczne i uświadomione (misja jest precyzyjnym wyrażaniem dalekosiężnych zamierzeń i aspiracji organizacji, jest sformułowaniem wizji firmy na użytek strategii), wreszcie artefakty – w pełni widoczne i uświadomione, zwane także symbolami, będące także sztucznymi tworem kultury. Mogą one pojawiać się w różny sposób: językowy (specyficzny język, mity, anegdoty, legendy); behawioralny (ceremonie, rytuały inkorporacyjne, obrzędy materialne, podnoszenie wartości integracji, redukowanie konfliktów, relacje z użytkownikami); i fizyczny (czynniki identyfikujące bibliotekę, wystrój wewnętrzny i zewnętrzny, sztuka, technologia, przedmioty).

Priorytety dzisiejszej biblioteki to: „rozwój kapitału ludzkiego. unowocześnienie biblioteki. pozyskiwanie środków finansowych na jej rozwój. Pojmowanie biblioteki jako miejsca upowszechniania wiedzy, kultury i informacji. rozwijanie i promowanie jej naukowego statusu”. Do tego potrzebna jest nowa, wspólnie z zespołem zbudowana

Kunden finden ihren Ausdruck in der Veränderung des Erscheinungsbildes dieser Einrichtung. Deswegen ist heute ästhetischer wie technologischer Wandel wichtig. Die Bibliothek muss zu einem wichtigen Ort der Region, der Stadt werden.

Das erste Ziel ist also der zufriedene Kunde. Es gibt Bibliotheken, die freundlich wirken. Es gibt auch solche, die einen abschrecken oder wie eine belagerte Festung sind. Doch das Ergebnis der Tätigkeit eines Bibliothekars soll ein zufriedener Kunde sein. Das wird gelingen, unter der Voraussetzung, dass die Bibliothek offen ist und freien Zugang zu Bestand und Datenbank bietet. Dieser Zugang soll dem Leser durch den Einsatz neuer Technologien erleichtert werden. Die Bibliothek verzichtet also auf das Prinzip: Ämter für Beamte, Bibliotheken für Bibliothekare. Grundlegend für die Verwaltung der heutigen Bibliothek ist die entsprechend geprägte Organisationskultur und das Qualitätsmanagement. Organisationskultur heißt Wissen, Geschmack und Sachverstand eines



Bibliothekars. Professorin Elżbieta Zybert<sup>1</sup> meint, ihre Ausdrücke seien: 1 Voraussetzungen – völlig unsichtbar und unbewusst; Normen und Werte – teilweise sichtbar und bewusst (die Mission ist präziser Ausdruck weitreichender Vorhaben und Bestrebungen der Organisation, sie ist die formulierte Vision der Firma zur Entwicklung einer

<sup>1</sup> E. B. Zybert, *Kultura organizacyjna w bibliotekach: nowe i stare idee w zarządzaniu biblioteką*, Warszawa 2004.

<sup>1</sup> E. B. Zybert, *Kultura organizacyjna w bibliotekach: nowe i stare idee w zarządzaniu biblioteką* [Organisationskultur in Bibliotheken: neue und alte Ideen in Verwaltung von Bibliothek], Warszawa 2004.

świadomość, której wyrazem jest: tożsamość biblioteki, czyli zespół cech biblioteki, wizerunek biblioteki, czyli zespół odczuć klienta/czytelnika.



Od tego trzeba zacząć. Unowocześnienie to także promocja atutów, wcześniej przemyślanych i przewartościowanych. Dr Małgorzata Góralska pisze: „powolność książki i szybkość nowych mediów to dzisiaj dylemat kadry zarządzającej. Zagrożają nam różne skale uśmiercania książek”<sup>2</sup>. Remedium na taką sytuację jest z jednej strony unowocześnianie, rozumiane jako: digitalizacja (w ujęciu Małgorzata Kowalskiej<sup>3</sup>), cyfryzacja i biblioteka cyfrowa. Ale równocześnie pamiętać należy o wychowankach książki kodeksowej. Trzeba zatem zagwarantować, aby nowe media były używane w sposób demokratyczny. Bez odsuwania kogokolwiek od nowych zasobów informacji. Należy uczyć każdego, jak wybierać i oceniać informacje. Jednocześnie utrzymywać przy życiu ten niezbędny instrument rozwoju ludzkiego i kulturalnego, jakim jest książka. Bez względu na jej materialny nośnik.

Kompromisem zatem, na dzisiejsze czasy jest biblioteka hybrydowa. Inaczej przebiegać powinno upowszechnianie wiedzy, kultury i informacji. Cafe language, Info-shop, Patio/galeria – czytelnia nowych i tradycyjnych mediów przy kawie to niektóre zjawiska towarzyszące aktualnie bibliotekom.

Strategie); schließlich Artefakte – völlig sichtbar und bewusst, auch Symbole genannt, künstliche Kulturgebilde. Sie können auf verschiedene Art und Weise zum Ausdruck kommen: über die Sprache (charakteristische Sprache, Mythen, Anekdoten, Legenden); über das Verhalten (Zeremonien, Inkorporationsriten, materielle Ritualien; Erhöhung des Integrationswertes, Konfliktreduzierung, Beziehungen zu Benutzern); und über das Physische (Faktoren, die die Bibliothek bestimmen, Innen- und Außeneinrichtung, Kunst, Technologie, Gegenstände).

Die Prioritäten der heutigen Bibliothek sind: „Entwicklung des menschlichen Kapitals. Modernisierung der Bibliothek. Gewinnung von finanziellen Mitteln für ihre Entwicklung. Verständnis der Bibliothek als ein Ort, wo Wissen, Kultur und Informationen verbreitet werden. Weiterentwicklung und Propagierung ihres wissenschaftlichen Status”. Dazu ist ein neues, gemeinsam erarbeitetes Bewusstsein nötig. Dessen Ausdruck sind: die Identität der Bibliothek, das heißt eine Gruppe von Merkmalen der Bibliothek, das Image der Bibliothek, also die Empfindungen des Kunden/Lesers.

Damit muss man anfangen. Modernisierung bedeutet auch die Vorzüge der Bibliothek zu propagieren, die aber vorher durchdacht und neu hierarchisiert werden müssen. Wissenschaftlerin Dr. Małgorzata Góralska schreibt: „Die Langsamkeit des Buches und die Schnelligkeit der neuen Medien sind ein Dilemma, vor dem heute die Führungskraft steht. Uns droht, dass die Bücher im unterschiedlichen Ausmaß getötet werden”<sup>2</sup>. Das Heilmittel dagegen ist einerseits Modernisierung, verstanden als Digitalisierung (im Sinne von Małgorzata Kowalska<sup>3</sup>) und digitale Bibliothek. Andererseits darf man nicht zulassen, dass das traditionelle Buch in Vergessenheit gerät. Es muss also sichergestellt werden, dass die neuen

2 M. Góralska, *Książka, nowe media i ich czasoprzestrzenie*, Warszawa 2009.

3 M. Kowalska, *Dygitalizacja bibliotek w Polsce*, Warszawa 2007.

2 M. Góralska, *Książka, nowe media i ich czasoprzestrzenie* [Buch, neue Medien und ihre Raumzeiten], Warszawa 2009.

3 M. Kowalska, *Dygitalizacja bibliotek w Polsce* [Digitalisierung von Bibliotheken in Polen], Warszawa 2007.



Jerzy Sosnowski w jednym z wywiadów zauważył za prof. Andrzejem Mencwalem kapitalne zjawisko, któremu poddawany jest dzisiejszy



czytelnik/użytkownik. Otóż czytając tekst w internecie <sup>4</sup>niejako skanujemy go. Ulegamy kulturze parataksy. Inaczej się dzieje, gdy czytamy książkę w wydaniu papierowym. Tu staramy się uruchamiać wyobraźnię i myślenie abstrakcyjne. Literatura jest zatem narracją, teksty internetowe są raczej rozmową. Maryla Hopfinger w pracy *Literatura i media. Po roku 1989*<sup>4</sup> kompetentnie diagnozuje problem, pisząc o sytuacji literatury po roku 1989 i jej nowych nośnikach, obszarach i uczestnikach, zauważa, że obok literatury drukowanej pojawiła się audialna, elektroniczna i paralele audiowizualne. Ale – pamiętajmy: strumień książek jeszcze płynie.

Roli nowoczesnej biblioteki podejmuje się w ostatnim czasie mediateka, czyli biblioteka nowych mediów. Czytelnia i wypożyczalnia. Spodobało mi się bardzo hasło promocyjne wymyślone przez młody zespół przygotowujący nazwę zielonogórskiej mediateki – Góra Mediów. Brzmiało ono: „Wejdz na szczyt <sup>4</sup>góry <sup>4</sup>mediów”.

<sup>4</sup> M. Hopfinger, *Literatura i media. Po roku 1989*, Warszawa 2010.

Medien auf eine demokratische Art und Weise in Anspruch genommen werden und die neuen Informationsressourcen für alle zugänglich sind. Es ist wichtig, jedem Menschen beizubringen, wie er Informationen auswählen und einschätzen sollte. Und gleichzeitig muss man das unentbehrliche Instrument der kulturellen Entwicklung – das Buch – am Leben erhalten und das unabhängig von ihrer materiellen Form.

Eine Kompromisslösung, passend zur gegenwärtigen Zeit, wäre also die sogenannte Hybridbibliothek. Die Verbreitung von Wissen, Kultur und Informationen sollte anders verlaufen. Cafe language, Info-Shop, Patio/Ausstellungsraum, Leseraum mit neuen und traditionellen Medien, wo man einen Kaffee trinken kann – sind einige Erscheinungen, die in der heutigen Bibliothek vorkommen.

Publizist Jerzy Sosnowski hat sich in einem Interview auf Prof. Andrzej Mencwel berufen und ein Phänomen genannt, dem der heutige Leser/Bibliotheksbenutzer ausgesetzt wird. Wenn wir einen Text im Internet lesen, ist es so, als ob wir ihn scannen würden. Wir lassen uns von der Parataxe-Kultur beherrschen. Anders ist es, wenn wir ein Papierbuch lesen. Dabei versuchen wir die Vorstellungskraft und das abstrakte Denken einzusetzen. Die Literatur ist also eine Erzählung, Texte im Web sind eher ein Gespräch. Maryla Hopfinger untersucht das Problem sachkundig in ihrem Buch *Literatura i media. Po roku 1989* (*Literatur und Medien nach 1989*)<sup>4</sup>, indem sie über die Situation der Literatur nach 1989, sowie neue Träger, Bereiche und Teilnehmer der Literatur schreibt. Sie bemerkt, dass neben gedruckter Literatur auch audielle und elektronische Literatur sowie audiovisuelle Parallelen erschienen sind. Aber: der Bücherstrom fließt immer noch.

Die Rolle der modernen Bibliothek übernimmt in der letzten Zeit zunehmend die Mediathek, also die Bibliothek der neuen Medien. Leseraum und Medienausleihe. Mir hat der Werbespruch sehr

<sup>4</sup> M. Hopfinger, *Literatura i media. Po roku 1989* [*Literatur und Medien nach 1989*], Warszawa 2010.

Ale po kolei. W projekcie idei Mediateki we Wrocławiu czytamy:

Młodzi ludzie są tą częścią społeczeństwa, która znajduje się, w związku z uwarunkowaniami pokoleniowymi, w fazie przełomowego rozwoju własnej osobowości. Poszukują oni nowych możliwości identyfikacji. W tej fazie życia szczególnie duże jest zapotrzebowanie na informację, edukację oraz sensowne zagospodarowanie czasu wolnego. Ze względu na strukturę społeczeństwa polskiego i przewagę w niej młodego pokolenia bardzo ważne wydaje się zbudowanie biblioteki modelowej dla młodych klientów (13–25-latków).

Cele merytoryczne biblioteki modelowej to: swobodny i specyficzny dla grupy docelowej dostęp do informacji, wspieranie umiejętności posługiwania się nowymi technologiami, wspieranie czytelnictwa oraz uczenia się, pomoc w orientacji zawodowej, pomoc w rozwijaniu zainteresowań oraz w sensownym zagospodarowaniu czasu wolnego.

Cele ilościowe: przyrost klientów o 30–40 procent lub osiągnięcie 70 procent grupy docelowej (od 13 do 25 lat) jako czytelników Biblioteki, wzrost wypożyczeń i pozostałych form korzystania o 30 procent (w porównaniu ze średnią filii).

Mediateka to multimedialna biblioteka dla młodych czytelników, która w zamierzeniu w swojej ofercie posiadać powinna bogaty zbiór najnowszych multimediiów: filmów DVD i Blu-ray, płyt muzycznych, audiobooków, e-booków, gier PC, elektronicznych programów edukacyjnych i narzędziowych oraz polskich i zagranicznych baz danych z różnych dziedzin wiedzy, a także map elektronicznych.

Biblioteka, zauważając potrzeby użytkowników – rozwijanie własnych zainteresowań, możliwość szybkiego i pełnego uzyskania wiedzy i informacji, bezpłatny dostęp do kompleksowo wyposażonych stanowisk komputerowych z internetem (przeglądanie m.in. multimediiów, baz

gefallen, der von dem selben jungen Team erfunden wurde, das auch den Namen der Grünberger Mediathek – Medienberg vorbereitet hat. Er lautete: „Besteige den Gipfel des Medienberges!“.

Aber der Reihe nach: Im Konzept der Idee der Mediathek in Breslau lesen wir:

Junge Leute sind ein Teil der Gesellschaft, der sich wegen generationeller Bedingtheiten in der entscheidenden Phase der Entwicklung ihrer eigenen Persönlichkeit befindet. Sie suchen neue Identifikationsmöglichkeiten. In dieser Lebensphase besteht ein besonders großer Bedarf an Informationen, Bildung und sinnvoller Freizeitgestaltung. Angesichts der Struktur der polnischen Gesellschaft und der Tatsache, dass die junge Generation darin überwiegt, scheint es sehr wichtig, eine Modellbibliothek für junge Kunden (13 bis 25 Jahre) zu bauen.

Inhaltliche Ziele der Modellbibliothek sind: freier Zugang zu Informationen, Förderung von Fähigkeiten in der Benutzung neuer Technologien, Lese- und Lernförderung, Hilfe bei der Berufsorientierung, Hilfe bei der Interessenentwicklung und sinnvollen Freizeitgestaltung.

Quantitative Ziele: Kundenzuwachs um 30-40 Prozent oder Gewinnung von 70 Prozent der Zielgruppe (13 bis 25 Jahre) als Bibliothekskunden, Erhöhung der Zahl der Ausleihen und anderer Benutzeraktivitäten um 30 Prozent (im Vergleich zum Durchschnitt der Filiale).

Mediathek ist eine multimediale Bibliothek für junge Leser, die in ihrem Angebot einen reichen Bestand an den neusten Medien: DVD- und Blu-ray Filme, Musik-CDs, Audiobooks, E-Books, PC-Spiele, Lern- und Werkzeugprogramme, polnische und ausländische Datenbanken aus verschiedenen Wissensbereichen, sowie elektronische Karten haben sollte.

Unter Berücksichtigung von Benutzerbedürfnissen: Entwicklung der eigenen Interessen, Möglichkeit, Informationen und Wissen schnell und ausführlich zu finden, kostenloser Zugang zu



danych, nauka języków, tłumaczenia, planowanie podróży, komunikacja on-line itp.), powinna wyposażyć Strefę Wiedzy i Strefę Muzyki i Filmu



**M**ediateki nie tylko w najnowocześniejsze multimedialne komputery PC z funkcjonalnymi i wydajnymi urządzeniami peryferyjnymi (m.in. słuchawki, kamery, drukarki, skanery), ale także w telewizory full HD, projektor multimedialny i stacjonarny ekran, sprzęt audio oraz aparaty cyfrowe czy kamery video. Wyróżniającym dodatkowo elementem powinna być Strefa e-booków z czytnikami e-książek. Warto zadbać też o powstanie Strefy Języków ze sprzętem do videokonferencji oraz tłumaczenia symultanicznego przeznaczonej m.in. do spotkań on-line z osobami z przeróżnych instytucji, miast lub krajów.

Mediateka stworzyć powinna przestrzeń przyjazną czytelnikowi, w której oprócz uzyskania precyzyjnej informacji, będzie on mógł rozwijać swoje hobby, korzystając z nowoczesnych zasobów sprzętowych (np. kamer video, oprogramowania do obróbki zdjęć, filmów, dźwięku itp.), doskonalić swoje umiejętności językowe, m.in. rozmawiając ze znajomymi z zagranicy, posłuchać ulubionej muzyki, wypożyczyć książkę elektroniczną czy rozegrać partię szachów on-line.

W prospekcie nowej usługi czytamy: „Szukasz miejsca, w którym połączysz kulturę z rozrywką? Chcesz mieć dostęp do multimedialnych? Brakuje Ci spotkań ze znajomymi przy muzyce, filmie czy grze? Mediateka »Góra Mediów« będzie miejscem, które spełnia Twoje oczekiwania”.

umfassend ausgestatteten PCs mit Internetanschluß (Durchsuchen u.a. von Medien, Datenbanken, Fremdsprachenlernen, Übersetzen, Reiseplanen, Online-Kommunikation u. ä.) sollte die Bibliothek die Wissens- sowie die Musik- und Filmzone der Mediathek nicht nur mit hochmodernen PCs mit praktischen und leistungsfähigen Peripheriegeräten (Kopfhörer, Kameras, Drucker, Scanner), sondern auch mit Full-HD-Fernsehern, Multimedia-Projektor und Leinwand, Audiogeräte und Digital- oder Videokameras ausstatten. Das auszeichnende Element sollte die E-Bookzone mit Lesegeräten für E-Books sein. Es wäre auch sinnvoll, eine Sprachzone mit Systemen für Videokonferenzen und Simultandolmetschen entstehen zu lassen, die man bei Online-Treffen mit Leuten aus verschiedenen Einrichtungen, Städten und Ländern benutzen könnte.

Die Mediathek sollte ein leserfreundlicher Raum werden, in dem der Leser nicht nur genaue



Informationen bekommt, sondern auch seine Hobbys entwickeln kann, während er den modernen Gerätebestand (z. B. Videokameras, Programme zur Bearbeitung von Bild-, Video- und Audiodateien u. ä.) in Anspruch nimmt. Ein Raum, wo er auch seine Sprachfähigkeiten verbessern (u. a. durch Gespräche mit seinen ausländischen Bekannten), seine Lieblingsmusik hören, E-Bücher ausleihen oder eine Online-Schachpartie spielen kann.

Im Prospekt zur neuen Dienstleistung lesen wir: „Suchst du einen Ort, wo du Kultur mit

Powstała biblioteka multimedialna jest dostosowana do potrzeb wymagającego czytelnika. Każdy użytkownik ma możliwość korzystania



z internetu, nowoczesnych zasobów sprzętowych oraz programów czy zagrania w gry.

Aby ułatwić użytkownikom korzystanie z mediateki Góra Mediów stworzono strefy tematyczne: Muzyki i Filmu – w której zbiorach są płyty CD, DVD i Blu-ray; Wiedzy – sfera umożliwia korzystanie z nowoczesnego oprogramowania oraz urządzeń peryferyjnych; Książki Elektronicznej – gromadzi klasykę i literaturę najnowszą w postaci audiobooków i e-booków; Gier – udostępnia konsole PlayStation 3, stanowiska komputerowe oraz gry PS3 i PC<sup>5</sup>.

Zatem hasła: „Wejść na szczyt Góry Mediów!” i „Spotkajmy się w bibliotece” to definicja dzisiejszej nowoczesnej biblioteki.

Weźmy jeszcze dla przykładu jeszcze inne zjawiska i mechanizmy: Kiedy przygasło zainteresowanie drugą wojną, musiał się pojawić **LUC** z projektem „39/89” (ten pokaz muzyczno-multimedialny pojawił się na otwarciu zielonogórskiej mediateki 14 grudnia 2010 roku). Muzeum Powstania Warszawskiego musiało nagrać płytę GAJCY, aby znów zaczęto mówić o poecie Tadeuszu Gajcym.

5 W pisaniu tekstu korzystałem z doświadczeń pani dyrektor Jolanty Słowik z Mediateki MBP Wrocław i pana Karola Tomaki z Mediateki Start-Meta z Warszawy.

Unterhaltung verbinden kannst? Willst du Zugang zu Multimedien haben? Fehlen dir Treffen mit deinen Bekannten bei Musik, Film oder Computerspiel? Die Mediathek »Medienberg« ist ein Ort zur Erfüllung deiner Erwartungen”.

Diese Multimediabibliothek entspricht den Bedürfnissen eines anspruchsvollen Lesers. Jeder Benutzer hat die Möglichkeit, das Internet sowie die modernen Geräte und Programme zu nutzen oder z. B. Computerspiele zu spielen.

Um die Benutzung zu erleichtern, wurde die Mediathek Medienberg in thematische Zonen aufgeteilt: Musik- und Filmzone – hat in ihrem Bestand CDs, DVDs und Blu-rays; Wissenszone – ermöglicht, die moderne Software und Peripheriegeräte zu nutzen; E-Bookzone – sammelt klassische und moderne Literatur als Audiobooks und E-Books; Spielzone – mit PlayStation 3 Konsolen, PCs sowie Spielen für die beiden Plattformen<sup>5</sup>.



Also solche Parolen wie: „Besteige den Gipfel des Medienberges!” und „Lass uns in der Bibliothek treffen!” sind die Definition der heutigen modernen Bibliothek.

Nehmen wir noch als Beispiel andere Erscheinungen und Mechanismen. Als das

5 Beim Verfassen dieses Textes nutzte ich die Erfahrung der Leiterin der Mediathek an der öffentlichen Stadtbibliothek in Breslau Frau Jolanta Słowik, sowie die des Leiters der warschauer Mediathek „Start-Meta” Herrn Karol Tomaka.

Zatem niezbędne są nowe narzędzia upowszechniania, dopuszczenie nowej estetyki rozumienia wiedzy, nowe języki komunikacji.



Dzisiaj dominują projekty będące na ogół syntezą sztuk. Nie oceniaj książki po okładce! Festiwal książek przeczytanych (możesz wynieść, ile uniesiesz)! Podziel się książką! Uwolnij książkę! **Podstawa integracji to: gromadzenie ludzi wokół biblioteki. A do promocji atutów i budowania marki należy zaangażować autorytety.** Promocja marki. Promocja atutów – to nasze wyzwanie.

Ostatni ogólnopolski Tydzień Bibliotek odbywał się po hasłem: „Biblioteka zawsze po drodze, nie mijam – wchodzę”.

Najbliższy, w 2012: „Biblioteka ciągle w grze!”.

Interesse am 2. Weltkrieg nachließ, musste L.U.C. (Łukasz Rostkowski, Rapper, Komponist und Produzent) mit seinem Projekt „39/89” auftauchen. Diese musikalisch-multimediale Vorführung wurde zur Eröffnung der Grünberger Mediathek am 14. Dezember 2010 gezeigt. Das Museum des Warschauer Aufstands musste eine CD mit dem Titel „GAJCY” aufnehmen, damit wieder vom Dichter Tadeusz Gajcy gesprochen wird.

Nötig sind also neue Werkzeuge zur Verbreitung von Wissen, eine neue Art, Wissen zu verstehen, neue Kommunikationswege.

Heute dominieren Projekte, die meistens eine Synthese der Künste sind. Man sollte das Buch nicht nach seinem Umschlag beurteilen (pol. Sprichwort). Festival der gelesenen Bücher (Wissen gewinnen und mit Wissen gewinnen)! Teile das Buch mit den anderen! Befreie das Buch!

**Die Grundlage für die Integration ist es, die**



**Bibliothek zum Treffpunkt der Menschen zu machen. Und beim Propagieren ihrer Vorzüge und Aufbau der Marke müssen Autoritäten mitwirken.** Promotion der Marke. Promotion der Vorteile – das ist unsere Herausforderung.

Das Motto für die letzte polenweite Bibliothekswoche war: *Sollte eine Bibliothek in der Nähe sein. Gehe ich nicht vorbei. Ich komme rein.*

Und der Leitspruch für die nächste Bibliothekswoche 2012: *Bibliothek bleibt im Spiel.*

# Indywidualizm a Persona: tożsamość człowieka w mistyce chrześcijańskiej

*Ja to ktoś inny.*

Arthur Rimbaud

Problem tożsamości jest w dużej mierze związany z jej definicją. Czym jest tożsamość? Czy dotyczy ona bardziej geograficzno-fizycznej czy duchowej sfery ludzkiego życia? Czy można, popełniając stylistyczny grzech tautologii, utożsamić indywidualizm z tożsamością, nie popełniając jednocześnie merytorycznego grzechu mylenia pojęć? Oto pytania, których nie sposób ominąć w kontekście problematyki tożsamości.

Prof. Olivier Clement w trafnie zatytułowanej książce *Źródła*, wnikliwym studium wczesnochrześcijańskiej teologii, stwierdza następującą rzecz: „Pojęcie »natury ludzkiej« u Ojców Kościoła nie jest pojęciem filozoficznym, lecz mistycznym”<sup>1</sup>. Owe rozróżnienie pomiędzy filozofią a mistyką stanowi fundament chrystologicznej nauki o człowieku, zatem wymaga ono krótkiego (ze względu na ogólną objętość niniejszego tekstu) wyjaśnienia. Odpowiadając na pytanie, czym jest mistyka

chrześcijańska, niemiecki teolog katolicki Karl Rahner zaznacza, iż nie należy rozumieć jej jako osobliwych parapsychologicznych fenomenów, lecz jako autentyczne, wywodzące się z samego serca ludzkiego istnienia doświadczenie Boga<sup>2</sup>. Podobnie traktuje mistykę wybitny rosyjski teolog Siergiej Bułgakow: „Mistyką nazywamy wewnętrzne (mistyczne) doświadczenie, które umożliwia nam zetknięcie z duchowym, boskim światem, a także nie tylko zewnętrzne, lecz również wewnętrzne poznanie świata przyrody”<sup>3</sup>. Innymi słowy, nie wolno stawiać mistyki, w chrześcijańskim ujęciu tego słowa, obok popularnych praktyk ezoterycznych bądź nawet medytacji w buddyzmie lub hinduizmie. Podobnie jak człowiek, który zakłada słuchawki, idąc przez ulicę, słyszy muzykę, niedostępną innym ludziom, tak samo mistyk doświadcza czegoś, co dla reszty świata pozostaje tajemnicą. Trzeba podkreślić, iż doświadczenie to (w przeciwieństwie do szamanizmu lub medytacji) nie jest rezultatem pewnej magicznej czy też duchowej aktywności, lecz przy-

1 O. Clement, *Исчому* [*Źródła*], Moskwa 1994, s. 46. Tu i dalej – tłumaczenia A.K.

2 W. Böhme, J. Sudbrack, *Der Christ von morgen – ein Mystiker? Grundformen mystischer Existenz* [*Jutrzejszy chrześcijanin jako mistyk? Podstawowe formy egzystencji mistycznej*], Würzburg/Stuttgart 1989, s. 99.

3 S. Bułgakow, *Православие* [*Prawosławie*], Moskwa 2001, s. 204.

chodzi do człowieka jako dar („Człowiek wszystko zawsze całkowicie otrzymuje”<sup>4</sup>), objawiając się niekiedy w najbardziej zaskakujący i niewytłumaczalny sposób osobom, prowadzącym, pod względem religijnym, tryb życia wysoce daleki od wzorcowego. Istnieje, oczywiście, szereg nie tylko powierzchownych podobieństw między chrześcijańską a orientalną mistyką, zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę takich hinduskich mistyków dwudziestego wieku, jak chociażby Ramakrishna, na którego wewnętrzne pokrewieństwo z mistyką chrześcijańską sprawiedliwie wskazywał Henri Bergson w *Dwóch źródłach moralności i religii*. Podobieństwa te dotyczą jednakże bardziej przebiegu oraz wspólnych cech samego objawienia mistycznego, aniżeli wynikającej z owego objawienia nauki o ludzkiej osobowości. Bowiem podejście do osoby w teologii chrześcijańskiej zasadniczo różni się od filozofii Dalekiego Wschodu, zaskakująco zbieżnej w tym wypadku z filozofią europejską. Nieco upraszczając, można powiedzieć, że szeroko pojęta filozofia nie uznaje podziału istoty ludzkiej na Indywidualium i Personę – podziału, który ma decydujące znaczenie w chrześcijaństwie. Oto co mówi na ten temat rosyjski biskup prawosławny, autor zbiorów kazań i tekstów teologicznych Antoni Surożskij (Bloom): „Jako indywidualium [...] istnieję o tyle, o ile głęboko różnię się od otaczających mnie indywidualiów. [...] Jednostka bądź persona to coś absolutnie odmiennego: ów termin nie odpowiada naszemu empirycznemu poznaniu człowieka [...] Nie wiemy, czym jest »jednostka« w stanie nienaruszonym właśnie z powodu katastrofy, którą nazywamy grzechem pierwotnym, na skutek którego po-

znajemy jednostkę jedynie przez rozdzielać ją i tragiczny pryzmat indywidualiów”<sup>5</sup>.

Warto zatrzymać się przy myśli, iż natura Jednostki nie odpowiada naszej empirycznej wiedzy o człowieku. Oto podstawowa różnica między mistyką a filozofią. Mistyka również opiera się na doświadczeniu, ale jest to jakościowo inne doświadczenie, mające niewiele wspólnego z eureka odkrycia naukowego czy nawet inspiracją poetycką, gdyż ten składnik ludzkiej osobowości, który doświadcza objawienia mistycznego, nie jest Indywidualium, lecz Personą. Termin ten nie istnieje właściwie w misticie orientalnej, która, podobnie jak chrześcijaństwo, apeluje do tego, by nie utożsamiać człowieka z Indywidualium, którego istnienie przemija wraz z pracą umysłu – i wcale nie musi to być śmierć: wystarczy wziąć dla przykładu utratę pamięci. Tak więc, z mistycznego punktu widzenia, Indywidualium jest albo, jak w chrześcijaństwie, skutkiem grzechu pierwotnego, albo, jak w religiach Orientu, złudzeniem, iluzją. Ale jeśli w hinduizmie przeciwieństwo Indywidualium stanowi bezosobowy Absolut, to mistyka chrześcijańska wprowadza tu pojęcie Persony. Sofroniusz Sacharow definiuje Personę jako jedyną część człowieka, która prowadzi rzeczywiste i prawdziwe życie. Problem tożsamości będzie zatem zawsze problemem wiary i wyboru. Utożsamiając się z Indywidualium, wierzymy w coś, co przemija, lecz jest doświadczalne przez każdego z nas. Utożsamiając się z Personą, wierzymy w coś, przynależnego do Wieczności, lecz doświadczalnego jedynie przez tych nielicznych, których w religii chrześcijańskiej określa się mianem „mistyków”.

4 E. Rideau, *Objawienie. Słowo Boże*, Warszawa 1974, s. 14.

5 A. Surożskij, *Человек перед Богом [Człowiek przed Bogiem]*, Moskwa 2000, s. 101-103.

## Halina Barań: spotkanie z Łużycami

Z inicjatywy Instytutu Historii, 20 października 2011 na Uniwersytecie Zielonogórskim gościła pisarka z Bogatyni Halina Barań. Przedmiotem jej zainteresowań są zagadnienia dotyczące kultury łużyckiej. Zaproszenie na to spotkanie przyjął także Alfred Měškank, tłumacz literatury polskiej na języki łużyckie. Moderatorem dyskusji pomiędzy zaproszonymi gośćmi a słuchaczami był specjalizujący się w tematyce łużyc prof. dr hab. Tomasz Jaworski z Instytutu Historii Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Punktem wyjścia do tej ciekawej wymiany myśli była wydana niedawno kolejna powieść Haliny Barań pt. *Słowiański ogród*, opowiadająca o skomplikowanych losach Łużyczan na pograniczu niemiecko-czesko-polskim. Uczestnicy spotkania wysłuchali fragmentów tej powieści przeczytanych przez samą autorkę. Halina Barań pisząc o losach Łużyczan, kreśli jednocześnie ich dramat, który – zdaniem pisarki – polega na tym, że mieszkają oni na swoich rdzennych ziemiach, są u siebie, a jednocześnie są przez innych postrzegani jako obcy. To nadaje jej twórczości wymiar uniwersalnego doświadczenia, wspólnego dla wszystkich grup etnicznych usytuowanych na

## Halina Barań Eine Begegnung mit der Lausitz

Am 20. Oktober 2011 war bei der Universität in Zielona Góra auf Einladung der Fakultät für Geschichte die Schriftstellerin Halina Barań zu Gast. Von besonderem Interesse sind für sie die Fragen der Lausitzer Kultur. Die Einladung wurde auch von Alfred Měškank wahrgenommen, dem Übersetzer der polnischen Literatur in die Lausitzer Sprachen. Als Moderator bei der Diskussion zwischen den eingeladenen Gästen und den Zuhörern betätigte sich der Spezialist für Lausitz, Prof. Dr. Tomasz Jaworski von der Fakultät für Geschichte der Universität in Zielona Góra.

Den Ausgangspunkt für den interessanten Gedankenaustausch war der vor Kurzem herausgegebene Roman von Halina Barań unter dem Titel *Słowiański ogród* (*Der slawische Garten*), über die verwickelten Schicksale der Lausitzer im deutsch-tschechisch-polnischen Grenzgebiet. Die Anwesenden hörten den Fragmenten des Romans zu, gelesen von der Autorin selbst. Indem Halina Barań über die Schicksale der Lausitzer schreibt, schildert sie gleichzeitig deren Tragödie, die darin bestehe, so die Schriftstellerin, dass sie in ihrer angestammten Heimat leben, aber gleichzeitig als Fremde angesehen werden. Dies verleiht den

pograniczu oraz narodów, którzy nie posiadają własnej państwowości.

Do napisania *Słowiańskiego ogrodu* zainspirowała pisarkę historia pewnego starszego człowieka – Niemca, jak mówili o nim ludzie, mieszkającego w okolicach Bogatyni. Tymczasem był on z krwi i kości Łużycaninem. Na pytanie: „kim są Łużycanie?”, pada w książce symboliczna odpowiedź: „takimi samymi ludźmi, jak wszyscy”. Tyle że jest to naród znajdujący się w sytuacji szczególnie trudnej. Od około 1500 lat z uporem utrzymuje się na swoim własnym miejscu na ziemi, pomimo naporu innych nacji i systematycznego wynaradawiania. Autorka w swojej twórczości nie przemilcza bolesnej przeszłości Łużyczan, przesładowanych nie tylko przez Niemców. Także i przez Polaków, którzy – zwłaszcza po 1945 roku – odnosili się do Łużyczan wrogo, upatrując w nich Niemców, odpowiedzialnych za wybuch wojny.

Historia – jak mówiła Halina Barań – nie sprzyjała wzajemnemu poznaniu Łużyczan i Polaków. Wielu Łużyczan, po ustanowieniu granicy na Odrze i Nysie, znalazło się po polskiej stronie i musiało opuścić swoją małą ojczyznę. W ramach „fałszywie pojętej akcji polonizacji” po 1945 roku zmieniono wiele rdzennych łużyckich nazw miejscowości. Był to szczególnie bolesny cios w łużycką tożsamość. Dopiero dzisiaj młodzi Polacy, mieszkańcy dawnych ziem łużyckich uświadamiają sobie, że dawniej należały one nie tylko do Niemców. Na nowo odkrywają historię swoich ziem, poznając ich łużycką przeszłość. Starają się docierać do tego wszystkiego, co mogłoby Łużyczan i Polaków łączyć. Jak się okazuje, to nadal trudne, bo – jak podkreśliła Halina Barań – problematyka łużycka jest wciąż nieobecna w treściach edukacji regionalnej w szkołach w rejonie Bogatyni.

To może rzeczywiście nieco dziwić w sytuacji, gdy Polska od 2004 roku jest członkiem Unii Europejskiej i bez obaw może odkrywać wiele wątków swojej historii, o których wcześniej trzeba było milczeć. Tematyka małych ojczyzn i tworzenia euroregionów, sprzyjających budowaniu

Romanen von Halina Barań eine universelle Prägung, den Bezug auf die Erfahrung aller ethnischen Gruppen, die in einem Grenzgebiet leben, sowie der Völker, die keinen eigenen Staat haben.

Inspiration für den *Slawischen Garten* war für die Autorin die Geschichte eines älteren Menschen – eines Deutschen, wie er von den Menschen, die um Bogatynia lebten, genannt wurde. Dabei war er ein Lausitzer aus Fleisch und Blut. Auf die Frage: „Wer sind die Lausitzer?“, fällt im Roman die symbolische Antwort: „Einfach Menschen, wie wir alle“. Nur ist die Lage des Volkes eine besonders schwierige. Es beharrt hartnäckig auf seinem Boden, obwohl von anderen Nationen bedrängt und systematisch entnationalisiert. Die schmerzhafteste Vergangenheit der Lausitzer, die nicht nur von den Deutschen verfolgt wurden, wird von der Schriftstellerin keinesfalls verschwiegen. Auch die Polen spielten dabei eine Rolle, indem sie – insbesondere nach 1945 – gegenüber den Lausitzern ein feindliches Verhältnis pflegten, indem sie in ihnen Deutsche sahen, verantwortlich für den Ausbruch des Krieges.

Wie dies Halina Barań formuliert, hat die Geschichte das gegenseitige Kennenlernen der Polen und der Lausitzer kaum begünstigt. Nachdem die Staatsgrenze an der Oder und Neiße begründet worden ist, fanden sich zahlreiche Lausitzer auf der polnischen Seite und mussten ihre Heimat verlassen. Im Rahmen einer „falsch verstandenen Polonisierung“ wurden nach 1945 viele ursprünglich Lausitzer Ortsnamen geändert. Dies war ein besonders schmerzhafter Schlag für die Lausitzer Identität. Erst heute werden sie junge Polen, die auf dem ehemals Lausitzer Boden leben, bewusst, dass dieser früher nicht nur den Deutschen gehörte. Sie entdecken die Geschichte ihrer Heimat vom Neuen, erkennen deren Lausitzer Vergangenheit. Sie versuchen alles das zu finden, was die Lausitzer und die Polen verbinden könnte. Dies erweist sich jedoch als schwierig, da – das betont Halina Barań – die Lausitzer Problematik im Unterricht über die Regionalgeschichte in den Schulen in und um Bogatynia immer noch abwesend ist.



transgranicznych relacji, opartych na zaufaniu i otwartości, także wobec trudnej historii – stanowi przecież szczególnie silny fundament polityki kulturalnej i społecznej Unii Europejskiej. Tymczasem w oficjalnym politycznym dialogu niemiecko-polskim wątek łużycki jest nieobecny, całkowicie niedostrzegany.

Podczas spotkania można było też posłuchać, jak pięknie brzmi współczesny język górnołużycki. Alfred Měškank czytał fragmenty przetłumaczonej przez siebie wcześniejszej książki Haliny Barań *Cień brzasku*. Ta powieść, wydana w 2009 roku niedługo ukaże się w języku górnołużyckim.

Można w tym języku usłyszeć dawne, śpiewne słowiańskie echa, które w polszczyźnie całkiem zanikły albo „utwardziły się”. Alfred Měškank objaśniał także fascynujące osobliwości gramatyki języka górnołużyckiego, w którym występuje jeszcze (oprócz liczby pojedynczej i mnogiej) liczba podwójna, już od dawna nieobecna w polszczyźnie. Na tych żywych przykładach mogliśmy się także nauczyć gramatyki historycznej i wzbogacić wiedzę o przeszłości naszego ojczystego języka.

Językiem górnołużyckim posługuje się dzisiaj nie więcej niż 55 tysięcy ludzi. W dodatku jeszcze spora część z nich nie używa go na co dzień, a jedynie deklaruje jego znajomość. Łącznie językami górno- i dolnołużyckim posługuje się około 150 tysięcy osób. Tworzą oni silną wewnętrzną kulturę, która nadal jest żywa i trwa pomimo przeciwności. Niestety, w nowej rzeczywistości Unii Europejskiej też ich nie brakuje, ponieważ bezwzględne realia kapitalizmu kulturowego wydatnie utrudniają łużyczanom zachowanie ich tożsamości.

Jest też inny dramat, akcentowany przez Halinę Barań w *Słowiańskim ogrodzie*. Gdy dorosła córka dowiaduje się od matki, że wywodzi się z rodziny o łużyckich korzeniach, pyta: „Dlaczego mi o tym nie opowiadałaś?”. Choć obecnie nie ma w tym nic złego, by przyznawać się do łużyckiego pochodzenia – to jednak nadal pokutuje przekonanie, że jest to swego rodzaju stygmat. Symbolem tej postawy jest Mikławš,

Angesichts der Tatsache, das Polen seit 2004 Mitglied der Europäischen Union ist und ohne Furcht bestimmte Teile seiner Geschichte aufdecken kann, zu denen man früher schweigen musste, kann das wundern. Die Heimatproblematik und die Bildung von Euroregionen, zum Zweck des Aufbaus grenzüberschreitender Verhältnisse, gestützt auf Vertrauen und Offenheit, auch gegenüber einer schwierigen Geschichte, bilden doch ein starkes Fundament der Kultur- und Sozialpolitik der Europäischen Union. Dabei ist die Lausitzer Frage bei den offiziellen deutsch-polnischen politischen Kontakten abwesend, überhaupt nicht bemerkbar.

Bei der Begegnung konnte man sich auch die schöne heutige Oberlausitzer Sprache anhören. Alfred Měškank las aus dem zuvor von ihm übersetzten Roman von Halina Barań *Cień brzasku* (*Der Schatten der Morgendämmerung*). Dieser 2009 herausgegebene Roman erscheint in Kürze auch in der Oberlausitzer Sprache.

In ihr hört man alte, slawische Echos, die in der polnischen Sprache entweder völlig verschwunden sind, oder sich „verhärteten”. Alfred Měškank klärte die Anwesenden über auch die faszinierenden Eigentümlichkeiten der Oberlausitzer Sprache auf, in der (neben dem Singular und Plural) auch der Dual vorhanden ist, der im Polnischen lange nicht mehr benutzt wird. Durch diese lebhaften Beispiele erhielten wir auch Einsicht in die historische Grammatik und konnten unser Wissen über die Vergangenheit auch der eigenen Sprache erweitern.

Die Oberlausitzer Sprache sprechen heute nicht mehr als 55.000 Menschen. Ein Großteil davon spricht sie dabei kaum in täglichen Situationen, sondern behauptet nur, sie zu kennen. Die Ober- und Unterlausitzer Sprache sprechen heute insgesamt ca. 150.000 Menschen. Sie bilden eine an und für sich starke Kultur, die weiterhin lebt und trotz Widrigkeiten Bestand hat. Diese Widrigkeiten fehlen leider auch in der neuen Realität der Europäischen Union: Der Kulturkapitalismus erschwert es den Lausitzern erheblich, ihre Identität zu behalten.

Es gibt auch ein anderes Problem, das von Halina Barań in *Der Slawische Garten* betont wird.



jedna z postaci „Słowiańskiego ogrodu”. Tak jednak być nie musi, czego dowodem jest to, że obecnie premierem Saksonii jest Łużyczanin, Stanisław Tillich.

To interesujące spotkanie było próbą odpowiedzi na pytania, które zadaje Halina Barań w swoich książkach. Są to ponadczasowe pytania o tożsamość, korzenie i stosunek współczesnych pokoleń do swojej małej ojczyzny, do jej przeszłości. Podjęcie przez polską pisarkę tematyki Łużyckiej przełamuje długoletnie milczenie po polskiej stronie na temat prawdy o historii sąsiedzkiego narodu oraz naszych z nim relacjach. Jeszcze do niedawna niewiele (lub wcale) mówiło się na temat Łużyczan mieszkających na obecnych ziemiach polskich, wzdłuż granicy na Odrze i Nysie. Także świadków tamtych dawnych czasów jest już coraz mniej. Dlatego twórczość Haliny Barań poświęcona tematyce Łużyckiej jest pięknym gestem zwrócenia się w stronę ginącego już dziś, niestety, Łużyckiego dziedzictwa i zauważenia w nim także elementów wzbogacających naszą historię i kulturę. Jest to także próba ocalenia tego niewielkiego narodu przed zatraceniem tożsamości. Nie tylko Łużyczanie, ale i my, Polacy, powinniśmy się podjąć wysiłku „odkłamywania” bolesnej i skomplikowanej przeszłości ziemi Łużyckiej. Musimy umieć dostrzec, że odznacza się ona tym unikalnym i inspirującym kulturowym bogactwem, jakie może narodzić się tylko na terenach pogranicza. Jako pełnoprawni Europejczycy, możemy czerpać z tego bogatego źródła dziedzictwa kulturowego, przyczyniając się do dalszego budowania wielokulturowej i bezpiecznej Europy.

Nachdem die erwachsene Tochter von ihrer Mutter erfährt, sie entstammen einer Lausitzer Familie, fragt sie: „Warum hast du mir das nie erzählt?“. Auch wenn es heute durchaus in Ordnung ist, sie zur Lausitzer Herkunft zu bekennen, so spukt immer noch die Überzeugung herum, es handle sich um eine Art Stigma. Symbolisch hierfür ist die Gestalt von Mikławś, einer der Figuren des Romans. Dass es aber so nicht sein muss, wird vom heutigen Premierminister von Sachsen bezeugt, dem Lausitzer Stanisław Tillich.

Dieses interessante Treffen stellte einen Versuch dar, die Fragen zu beantworten, die Halina Barań in ihren Romanen stellt. Es sind universelle Fragen nach der Identität, nach den Wurzeln und dem Verhältnis der heutigen Generationen zu ihrer Heimat und deren Geschichte. Indem von einer polnischen Schriftstellerin die Lausitzer Problematik aufgeworfen wird, wird das langjährige Schweigen auf der polnischen Seite zu der wahren Geschichte des Nachbarvolkes und unseren Verhältnissen zu ihm unterbrochen. Noch vor Kurzem erwähnte man die Lausitzer, die auf den heutigen Gebieten Polens leben, entlang der Oder-Neiße-Grenze, kaum oder gar nicht. Immer weniger werden auch die Zeugen jener alten Zeiten. Daher stellt das Werk von Halina Barań zum Thema Lausitz eine schöne Geste dar, mit der sie sich an dieses, heute leider inzwischen zugrunde gehende Erbe wendet und versucht, darin auch Bausteine unserer Kultur und Geschichte zu finden. Es ist dabei ein Versuch, dieses kleine Volk vor Verlust seiner Identität zu bewahren. Nicht nur die Lausitzer, sondern auch wir, Polen, sollen die Mühe aufbieten, jegliche Lügen über die schmerzhaft und verwirrt Vergangenheit der Lausitz aufzudecken. Wir müssen in Stande sein, einzusehen, dass sie sich durch einen einmaligen und Inspiration verleihenden Reichtum auszeichnet, der nur im Grenzraum entstehen kann. Als vollberechtigte Europäer können wir von dieser reichhaltigen Quelle des europäischen Erbes schöpfen und damit unseren Beitrag zum Aufbau eines multikulturellen und sicheren Europas leisten.

## **Zdrowie współpracy polsko-niemieckiej! Czyli o leczeniu po obu stronach Odry**

Tego lata hucznie świętowano w Polsce i w Niemczech 20 rocznicę zawarcia Traktatu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy. Od samego początku ważnym elementem sojuszu obu krajów była współpraca regionalna. Dzięki niej mogły rozwijać się kontakty trzech polskich województw z przyległymi landami: województwa dolnośląskiego z Saksonią (od 17 września 1999 r.), województwa lubuskiego z Brandenburgią (od 12 stycznia 2000 r.) i województwa zachodniopomorskiego z Meklemburgią (od 18 czerwca 2000 r.).

Związek ten jeszcze mocniej ma scementować powstały pod koniec 2007 r. Program Współpracy Transgranicznej 2007-2013. Projekt zakłada wzajemną realizację lokalnych planów między poszczególnymi regionami. Przygraniczne tereny Polski podzielone zostały na siedem części. Spośród nich aż trzy obejmują Niemcy. Pozostałe współdziałają z Republiką Czeską, Republiką Słowacką, Republiką Litewską i Południowym Bałtykiem (Szwecją, Danią i Litwą). Do niektórych z kilkunastu możliwych obszarów wsparcia zalicza się: rozbudowę połączeń transportowych, turystykę, usługi, ochronę praw dziedzictwa kulturowego czy ochronę zdrowia.

O ile efekty współpracy na gruncie sportu lub wspomnianego transportu widać na co dzień, tak opieka zdrowotna na pograniczu polsko-niemieckim

## **Auf die deutsch-polnische zusammenarbeit! Vom grenzübergreifenden gesundheitsschutz**

Im Sommer haben wir in Polen und Deutschland 20 Jahre des Vertrags über gute Nachbarschaft und freundschaftliche Zusammenarbeit gefeiert, in dessen Fokus von Anfang an enge Zusammenarbeit auf Regionalebene steht. Dies hat wesentlich zur Verbesserung gegenseitiger Kontakte zwischen drei polnischen Woiwodschaften und den benachbarten deutschen Bundesländern beigetragen. Dementsprechend arbeitet seit 17. September 1999 die Woiwodschaft Dolnośląskie mit Sachsen zusammen, Lubuskie mit Brandenburg (seit 12. Januar 2000) und Zachodniopomorskie mit Mecklemburg (seit 18. Juni 2000).

Zur Festigung dieser Beziehungen hat auch das Ende 2007 eingeleitete Programm zur grenzübergreifenden Zusammenarbeit 2007–2013 beigetragen. Das Projekt setzt gemeinsame Realisierung lokaler Pläne der einzelnen Regionen voraus. Die in Polen liegenden Grenzgebiete wurden in 7 Teile gegliedert. Drei von ihnen arbeiten mit deutschen Regionen zusammen, die übrigen mit Tschechien, der Slowakei, Litauen und der Region Südliche Ostsee (Schweden, Dänemark, Litauen). Unter den zu bearbeitenden Unterstützungsbereichen sind u. a. folgende zu nennen: Ausbau von Verkehrsverbindungen, Tourismus, Dienstleistungen, rechtlicher Schutz des Kulturerbes und Gesundheitsschutz.

dopiero zaczyna się rozwijać. Większość działań odnosi się do wymiany doświadczeń z zakresu ochrony zdrowia, jego promocji i organizacji nowych projektów unijnych. W ciągu ostatnich kilku lat odbyło się kilkanaście takich konferencji, m.in.: „Europa i międzynarodowe szpitalnictwo”, „Sympozja chirurgów urazowych i ortopedów”, „Polsko-niemieckie forum innowacji”. Kongresy medyczne pokazują potencjał branży medycznej Polaków i Niemców. Spotkania pomagają również przedsiębiorcom w ustaleniu możliwości dofinansowania nowych, medycznych inwestycji. Jednak dla pacjenta najbardziej wymierną formą współdziałania służb medycznych, o której może się bezpośrednio przekonać, jest kooperacja szpitali.

### **Innowacyjne e-zdrowie**

Wzorcowym regionem kładącym nacisk na partnerstwo placówek można nazwać województwo zachodniopomorskie. W projekcie „Telemedycyna w Euroregionie Pomerania” bierze udział jedenaście zachodniopomorskich szpitali oraz dwadzieścia jeden oddziałów z Meklemburgii – Pomorza Przedniego i Północnej Brandenburgii. Celem programu jest utworzenie infrastruktury telekomunikacyjno-informatycznej, która umożliwi wykonywanie zabiegów medycznych na odległość.

Warto wspomnieć, czym dokładnie zajmuje się ta stosunkowo młoda gałąź leczenia. Telemedycyna to nowoczesna technologia, wykorzystywana do zdalnego monitorowania badań oraz ich konsultowania. Jednocześnie wspiera ona różne specjalizacje medyczne, m.in. teleradiologię, tele mammografię i telepatologię. Po raz pierwszy wykorzystano ją w Strasburgu w 2001 r. podczas tzw. operacji Lindbergh. Zabieg przeprowadził francuski profesor Jacques Marescaux i nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że lekarz w rzeczywistości był w Nowym Jorku.

Rozwiązania telemedyczne w polskiej służbie zdrowia pomału zaczynają się upowszechniać. Przykładowo, szpitale objęte powyższym programem, wyposażane są w specjalistyczny sprzęt cyfrowy i centra szkoleniowo-konferencyjne.

Während Erfolge in den Bereichen Sport und Verkehr auf Schritt und Tritt zu sehen sind, fängt die Kooperation im Gesundheitswesen auf den grenznahen Gebieten erst an. Die gemeinsam unternommenen Maßnahmen konzentrieren sich vor allem auf den Erfahrungsaustausch im Bereich Gesundheitsfürsorge, deren Förderung sowie Bearbeitung neuer EU-geförderter Projekte. In den letzten Jahren fanden mehrere Konferenzen zu diesen Themen statt, u. a. „Europa und internationales Krankenhauswesen”, „Deutsch-polnisches Symposium der Unfallchirurgen und Orthopäden”, „Deutsch-polnisches Innovationsforum”. Medizinische Kongresse veranschaulichen ein großes Potential dieser Branche in Deutschland und Polen. Die Zusammentreffen verhelfen auch Unternehmern zur besseren Einschätzung von Mitfinanzierungsmöglichkeiten neuer medizinischer Investitionen. Für Patienten stellt die Zusammenarbeit deutscher und polnischer Krankenhäuser die direkteste Form der Kooperation im Bereich medizinische Dienstleistungen.

### **Innovative e-gesundheit**

Woiwodschaft Zachodniopomorskie ist zu einer Modelregion geworden, in der die Partnerschaft medizinischer Anstalten besonders gefördert wird. An dem Projekt „Telemedizin in der Euroregion Pomerania” sind 11 polnische Krankenhäuser und 21 deutsche aus Mecklemburg-Vorpommern und Nordbrandenburg beteiligt. Ziel des Programms ist es, ein komplexes Informationssystem zum Datenaustausch einzurichten, das räumlich asynchrone medizinische Eingriffe ermöglicht.

Womit beschäftigt sich der junge Teilbereich des Gesundheitswesens? Telemedizin ist eine moderne Technologie, die Diagnostik und Therapie unter Überbrückung einer räumlichen Distanz möglich macht und gleichzeitig andere Medizinbereiche, wie Teleradiologie, Tele mammographie und Telepathologie unterstützt. Sie wurde zum ersten mal 2001 während der sog. Lindbergh-Operation eingesetzt. Der medizinische Eingriff

Podstawowym zastrzeżeniem pozostaje tempo wprowadzania reform. Według Sprawozdania Merytorycznego z działalności fundacji „Bezpieczeństwo dla Pacjentów” w 2010 roku, zaledwie 34% ośrodków zdrowia posiada dostęp do medycznych baz danych.

### **Razem przeciwko nowotworom**

Drugim, milowym krokiem we współpracy medycznej sąsiadów znad Odry jest otwarcie Ośrodka Monitorowania Chorób Nowotworowych. Tym razem dzięki Programowi Współpracy Transgranicznej Polska (województwo lubuskie) Brandenburgia 2007-2013, w zielonogórskim Szpitalu Wojewódzkim podpisano umowę z Kliniką Helios z Bad Saarow. Co ciekawe, Brandenburgia już na początku lat 90. wprowadziła kliniczny rejestr osób chorujących na raka. Dziś program uważany jest za jeden z najlepszych w Niemczech. Skorzystać z niego mogą mieszkańcy przygranicznych regionów, a w przyszłości planowane jest poszerzenie rejestru z województwa lubuskiego na obszar całego państwa.

Projekt dzieli się na dwa etapy. W pierwszym sporządza się specjalny rejestr osób dotkniętych chorobą. Następnie zestawiane są zebrane informacje, aby efektywniej dobrać optymalne metody leczenia. Na analizowane przez specjalistów dane składają się opisy diagnostyk, terapii oraz opieki poszpitalnej. To odróżnia proponowany kliniczny rejestr raka od standardowego epidemiologicznego, który nie zapewnia jakości w wystarczającym stopniu. Dzięki zapisom medycznych danych pacjentów możliwy jest ogląd pacjenta pod kątem statystycznym i biomedycznym.

Realizacja programu może być przełomowa nie tylko dla sąsiedztwa polsko-niemieckiego. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zdiagnozowanie chorób i dobranie pacjentom indywidualnych terapii będzie możliwe znacznie szybciej. To ważne, bo raporty dotyczące stanu zdrowia Polaków i Europejczyków nie pozostawiają złudzeń. W ciągu kilkunastu lat przewiduje się wzrost zapadalności na różnego typu nowotwory,

wurde von dem französischen Professor Jacques Marescaux in Straßburg durchgeführt, wobei sich der operierende Mediziner wirklich in New York befand.

Telemedizinische Lösungen werden auch im polnischen Gesundheitswesen immer populärer. Krankenhäuser, die an diesem Programm teilnehmen, bekommen digitale Fachausrüstung; es werden auch Schulungs- und Konferenzzentren eingerichtet. Laut dem Jahresbericht 2010 der Stiftung für Patientensicherheit haben aber nur 34 % aller medizinischen Anstalten Zugang zu medizinischen Datenbanken.

### **Gemeinsam gegen tumoren**

Den zweiten großen Erfolg in der deutsch-polnischen Zusammenarbeit bildet die Eröffnung eines Monitoringzentrums für Krebserkrankungen. Dank dem Operationellen Programm zur grenzübergreifenden Zusammenarbeit Polen (Woiwodschaft Lubuskie) – Brandenburg 2007–2013 hat das Woiwodschaftskrankenhaus in Zielona Góra eine Partnerschaftvereinbarung mit der Helios-Klinik in Bad Saarow unterzeichnet. In Brandenburg wird bereits seit den 90er Jahren ein Krebsregister geführt. Das Programm wird heutzutage für eins der erfolgreichsten deutschlandweit gehalten. Jetzt können an dem Programm Einwohner der Grenzregionen teilnehmen, geplant wird eine Erweiterung auf ganz Polen.

Das Programm besteht aus zwei Etappen. Zuerst wird ein gesondertes Register der krebserkrankten Personen geschaffen. Dort werden qualitätsrelevante Daten der Patienten erfasst und bearbeitet, damit eine optimale Therapie eingesetzt werden kann. Die von Spezialisten analysierten Daten stammen aus Diagnostik, Therapie und Nachsorge. Das Krebsregister unterscheidet sich von einem gewöhnlichen epidemiologischen Register vor allem durch hohe Qualität der Indikatoren. Dank den gespeicherten Informationen kann jeder Erkrankungsfall statistisch und biomedizinisch entsprechend betrachtet werden.

a umieralność z ich powodu ma wyprzedzić choroby serca i układu krążenia. Według Krajowego Rejestru Nowotworów trzy lata temu zdiagnozowano raka u 140 tysięcy Polaków, a 93 tysiące zmarło. W województwie lubuskim walkę o życie przegrało blisko dwa i pół tysiąca osób. Tymczasem w 2006 roku w Niemczech odnotowano 211 tysięcy zachorowań na nowotwór złośliwy, z czego 13 tysięcy chorych w Brandenburgii.

## Wydeptywanie ścieżek

Polscy organizatorzy dyplomatycznie zapewniają, że eksperci zza Odry będą mogli współuczestniczyć w polepszeniu zaopatrzenia medycznego i przyczynić się do rozwoju naukowego w regionie. Trudno jednak nie oprzeć się wrażeniu, że to przede wszystkim dla nas wszelkie innowacje medyczne są na wagę złota. Polskiej służbie zdrowia potrzebna jest reanimacja albo chociaż porządna transfuzja administracyjna.

Wystarczy wspomnieć chociażby bilans „Europejskiego Konsumenckiego Indeksu Zdrowia 2009”, który ocenia jakość systemu opieki zdrowotnej. Polska znalazła się w nim na odległym 26 z 33 możliwych miejsc. Niemcy uplasowały się na wysokiej, 6 pozycji. W badaniu brano pod uwagę m.in. prawa pacjenta, czas oczekiwania, zakres usług medycznych i dostępność leków. Do tego dochodzi wciąż zbyt niski w porównaniu z krajami starej Unii Europejskiej dostęp do nowoczesnego i niestandardowego leczenia. Nasi zachodni sąsiedzi przeznaczają na kuracje czterokrotnie więcej środków. W Polsce koszt terapii onkologicznych pomimo stałego wzrostu, wciąż pozostaje jednym z najniższych w Europie. Narodowy Fundusz Zdrowia oszacował, że choć cena leczenia pacjentów chorych na raka płuc zwiększyła się dwukrotnie między 2002 a 2010 rokiem, to równocześnie rozwój schorzenia stale wzrasta.

Dziś toasty za „zdrowie” kooperacji polsko-niemieckiej częściej wznoszą Niemcy, którzy mają dużo lepsze zaplecze medyczne. Nam jednak ta współpraca bardziej smakuje, dlatego że możemy na niej zyskać nieporównywalnie więcej.

Gemeinsame Realisierung des Projekts ist nicht nur für gute Nachbarschaft zwischen Polen und Deutschland von großer Bedeutung. Wird es plangemäß durchgeführt, werden sich solche Abläufe wie Diagnosenstellung und die Wahl individueller Therapie wesentlich beschleunigen, was angesichts der Berichte über den Gesundheitszustand der Polen und Europäer allgemein eine besondere Rolle spielt. Für die nächsten Jahrzehnte wird eine Zunahme von Krebserkrankungen erwartet. Die Anzahl der an verschiedenen Tumorerarten gestorbenen Patienten soll die der an Herz- und Kreislauferkrankungen gestorbenen in Zukunft übersteigen. Aus den Statistiken des polnischen Krebsregisters geht hervor, dass vor drei Jahren 140 000 Krebsfälle diagnostiziert wurden, davon sind 93 000 Patienten gestorben. In der Woiwodschaft Lubuskie waren es knapp 2 500 Patienten. In Deutschland wurden im Jahre 2006 211 000 Erkrankungen an bösartigen Tumoren erkannt, darunter 13 000 Fälle in Brandenburg.

## Neue wege einschlagen

Laut den Zusagen polnischer Veranstalter werden deutsche Experten an der Verbesserung der medizinischen Versorgung teilnehmen können und zur wissenschaftlichen Entwicklung in der Region beitragen. Es ist aber sichtbar, dass jegliche Innovation im Gesundheitswesen gerade für uns Polen besonders wichtig sind. Polnisches Gesundheitswesen benötigt eine Reanimation oder wenigstens eine heftige administrative Transfusion.

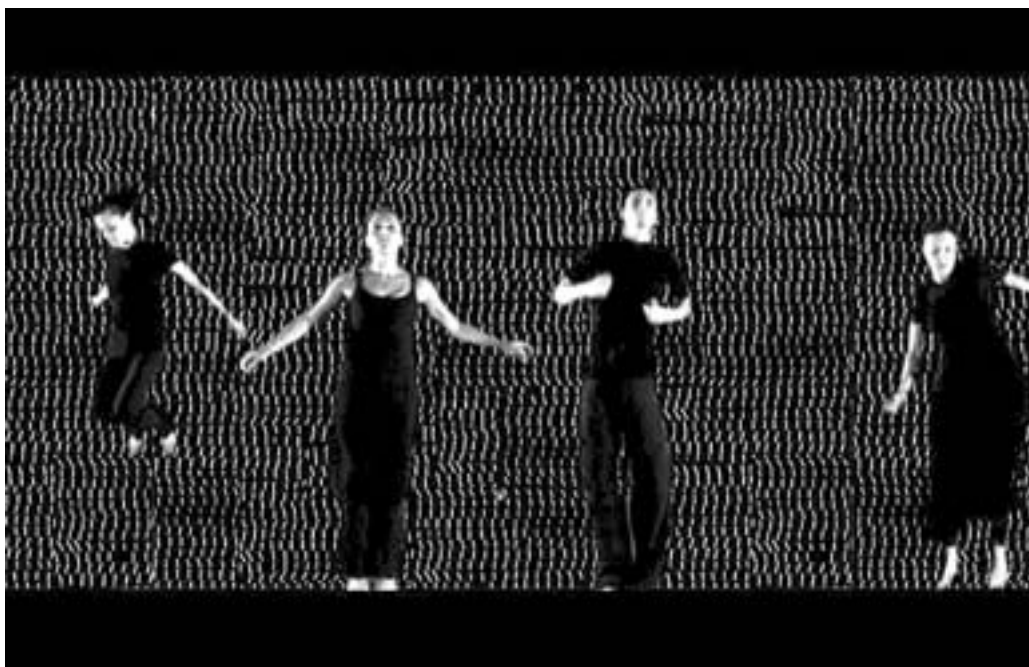
Erwähnenswert wäre hier der Bericht des Europäischen Gesundheitsindexes 2009, in dem die Qualität des polnischen Gesundheitssystems bewertet wurde. Polen platziert sich auf Platz 26 in der 33-stelligen Zusammenstellung, Deutschland dagegen auf Platz 6. In der Studie wurden u. a. Patientenrechte, Wartezeit, Umfang der medizinischen Leistungen und Zugang zu Medikamenten bewertet. Dazu kommt der immer noch viel niedrigere Zugang zu modernster medizinischer

Ale czy faktycznie to takie istotne? Często przecież słyszy się opinie, że zdrowie i choroby nie posiadają narodowości, za to mają swoją cenę. Wspólne działania służb medycznych mogą tę cenę ograniczyć do minimum. Kwestia opłacalności jednej czy drugiej strony staje się mniej ważna, kiedy wygrywa zdrowie i życie pacjenta.

Versorgung als in den alten EU-Ländern. Die in Deutschland für medizinische Behandlung gewährten Gelder übersteigern die unseren um das Vierfache. Trotz einer kontinuierlicher Steigerung bleiben die Kosten onkologischer Therapien in Polen auf dem niedrigsten Niveau europaweit. Aus den Schätzungen des polnischen Gesundheitsfonds geht hervor, dass sich der Preis onkologischer Behandlung von lungenkrebsskranken Patienten 2010 im Vergleich zu 2002 verdoppelt hat. Die Anzahl der Erkrankungen ist aber auch angestiegen.

Heute haben die Deutschen öfter Gelegenheit, auf Gesundheit der deutsch-polnischen Zusammenarbeit zu trinken, da sie über ein viel größeres Potenzial in der Gesundheitsfürsorge verfügen. Wir sind aber derjenige Partner, der an der Zusammenarbeit besser profitieren kann.

Hier wirft sich aber die Frage auf, ob es tatsächlich so bedeutend ist. Oft hört man, dass Gesundheit und Krankheiten keine nationale Angehörigkeit, dafür aber einen hohen Preis haben. Gemeinsam unternommene medizinische Maßnahmen helfen den Preis wesentlich senken. Die Frage der Rentabilität bei dem einen oder anderen Partner verliert an Bedeutung, wenn man Leben und Gesundheit des Patienten retten kann.





## RECENZJE I OMÓWIENIA

### Świat bez pisma i pamięci

**Christian Kracht, *Ich werde hier sein im Sonnenschein und im Schatten*, Verlag Kiepenheuer & Witsch, Köln 2008, 160 S.**

Trzecia (i według zapewnień samego autora – ostatnia) powieść niezwykle popularnego na niemieckojęzycznym rynku wydawniczym Christiana Krachta wprowadza czytelnika w obcą, złowrogą aurę, mającą się nijak do klimatu realizmu, który dominuje w prozie młodego i średniego pokolenia naszych zachodnich sąsiadów. Świat przedstawiony złożony jest ze współzależnych elementów: dystopii, historii alternatywnej oraz fantastyki. Fikcja Krachta zadziwia i szokuje zarazem – mimochodem dowiadujemy się, że Lenin przeprowadził swoją rewolucję w kraju Helwetów. Komunistyczna Republika Szwajcarii Sowieckiej pogrążona jest w niemal stuletniej wojnie z nie-

mieckimi i angielskimi faszystami. Rzeczywistość poddana została kompletnej dekompozycji – mapa geopolityczna naszkicowana na nowo. Wojna to jedyny punkt odniesienia bohaterów, wszystko jest jej podporządkowane, a rozwój cywilizacyjny opiera się na jej logice. Czasoprzestrzeń, stanowiącą tło powieści, można opisać, sięgając do kategorii **B**achtinowskich jako *chronotopos stagnacji*. Pory roku nie następują po sobie, panuje wieczna zima, świat jest skuty lodem. Nie żyje ani jeden człowiek, który pamiętałby, jak wygląda i „smakuje” pokój. Pismo i książki praktycznie nie istnieją – znamieny jest obraz wystających z tafli lodu kartek niemieckiej książki.

Komunikacja ogranicza się do słowa mówionego lub w przypadku wybranych postaci do nowego **języka przestrzennego**, który jest **de facto** emanacją logiki wojny. Proces świadomego zapomnienia oraz manipulacja wspomnieniami jawią się, z punktu widzenia totalitarnego państwa, jako niezbędne dla stworzenia i pielęgnowania własnego mitu założycielskiego. W tej zimnej atmosferze – chciałoby się powiedzieć: „na nieludzkiej ziemi” – zdaje się dziać coś niepokojącego, czuć nadejście czegoś nowego, czegoś dotychczas nieznanego – pokój.

Narracja pierwszoosobowa prowadzona jest z perspektywy bezimiennej (jak zawsze u Krachta) funkcjonariusza partyjnego. Główny bohater to czarnoskóry Afrykanin, zasymilowany i wykształcony na potrzeby komunistycznego reżimu. Czuje się Szwajcarem i jest dumny z bycia częścią Republiki. Partia powierza mu zadanie. Ma on odnaleźć majora Brazhinskiego, Żyda polskiego pochodzenia, który naraził się, głosząc poglądy niezgodne z obowiązującą doktryną. Czytelnik udaje się więc w podróż razem z narratorem. Wiedzie ona do symbolicznego centrum Republiki Szwajcarii Sowieckiej, do fortyfikacji będącej systemem tuneli i grot wykutych w skałach Alp. Reduta – bo taką nazwę nosi to miejsce – okazuje się być tworem funkcjonującym już w oderwaniu od władzy i ideologii komunistycznej. Tutaj właśnie początek bierze nowa (r)ewolucja. Jej głównym motorem zdaje się być nasz narrator. Zniwolonę ludy Afryki wracają do źródeł, nadchodzi wiosna – dosłownie i w przenośni. Natura buntuje się przeciwko dysfunkcyjnej cywilizacji i niszcząc ją, pozwala ludzkości od nowa rozpocząć proces budowania swojej tożsamości i kultury.

Dystopiczna wizja świata według Krachta zbliża się w swoim zakończeniu do schematów ekoagitacji (znanych choćby z filmu *Avatar* Jamesa Camerona) – żli ludzie *versus* dobra matka natura. Nie jest to jednak szczególnie uciążliwe,

biorąc pod uwagę, że wydaje się być w tym przypadku rozsądnym wyjściem z dość mało umotywowanej struktury akcji. Ciekawy pomysł na fabułę pozostawia w sferze realizacji pewien niedosyt. Brakuje konsekwencji w kreacji głównego bohatera. Z jednej strony cechuje go pewna wnikliwość i inteligencja, z drugiej strony poddaje się bezwolnie propagandzie komunistycznej i trudno odnieść wrażenie, aby czynił to z wyrachowania. Również jako medium zmian i nowej (r)ewolucji przyjmuje on swoją rolę nieświadomie lub funkcjonuje co najwyżej jako kaprys siły wyższej – w tym przypadku natury. Niektóre fragmenty akcji przesycane są zbyt dużą dawką znaczeń symbolicznych. Próba ich odczytania może łatwo prowadzić do nadinterpretacji. Szereg epizodów zawartych w powieści sprawia wrażenie luźnych impresji. Trudno doszukać się tutaj innych intencji niż czysto estetycznych. Skoro mowa o estetycznym wymiarze tej prozy, to warto poświęcić kilka słów płaszczyźnie języka. Sama choćby forma, styl Krachta jest wystarczającym powodem, aby sięgnąć po tę pozycję. Już wcześniejsze powieści autora zadziwiały swoim chłodnym oraz oszczędnym językiem – jednocześnie precyzyjnym i rejestrującym z pozoru nieistotne, lecz zaskakujące wrażenia i spostrzeżenia. Ten kunsztowny minimalizm formy stał się znakiem rozpoznawczym Christiana Krachta. W ostatniej powieści język jest sterylny i przeszywający niczym lód, którym skuty jest fikcyjny świat. Czytelnik nie musi przedzierać się przez zawile opisy i szukać właściwych odniesień, aby zrozumieć i poczuć atmosferę „nieludzkiej ziemi”. Proste akordy, krótkie zdania doskonale oddają chłód, grozę i niepokój, które towarzyszą postaciom. Trudno znaleźć we współczesnej literaturze niemieckojęzycznej innego autora operującego w podobny sposób językiem: powściągliwie i oszczędnie, ale też z ogromną siłą rażenia.

**Paweł Wałowski**



# Piękna Polka u zachodnich sąsiadów

Jens Petersen, *Die Haushälterin*, Deutsche Verlags-Anstalt, München 2005, 176 S.

Jens Petersen, wyróżniony w 2009 roku prestiżową nagrodą literacką im. Ingeborg Bachmann, zebrał przychylne recenzje już za swój debiut pisarski. Mowa tutaj o wydanej w 2005 roku powieści *Die Haushälterin*. Jest to historia relacji ojca z synem opowiedziana z perspektywy szesnastoletniego Philippa. Zapis jego wspomnień, obserwacji oraz uczuć składa się na narrację tekstu. Po śmierci żony i utracie pracy ojciec nie stroni od alkoholu i nie potrafi odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Nieobecność ukochanej kobiety odbija się również negatywnie na możliwości komunikacji między nim a synem. Depresja i pijaństwo ojca skutkują wypadkiem, w wyniku którego konieczna jest hospitalizacja. Pozostawiony samemu sobie Philipp decyduje się na zatrudnienie pomocy domowej. Wybór pada na Adę Malic, dwudziestotrzyletnią studentkę filologii pochodzącą z Lublina.

Pojawienie się młodej, atrakcyjnej Polki wprowadza zamęt i rywalizację w świecie męskim. Fascynacja urodą, naturalnością i prostotą w sposobie bycia Ady powoduje, że chłopiec przeżywa swoją pierwszą młodzieńczą miłość. Szybko jednak okazuje się, że i ojciec nie jest odporny na wdzięki Polki. Mamy więc tutaj swoisty trójkąt miłosny, nierówną walkę o kobietę, w której nie bez znaczenia zdaje się być zakulisowy spór o samodzielną i tożsamość Philippa i która być może nawet podszyta jest śladami kompleksu Edypa. To, że Ada staje się obiektem fascynacji i pożądania, jest zapewne wypadkową wielu czynników. Szczególnie istotny jest tutaj fakt, że zarówno ojciec, jak i syn postawieni są w sytuacji walki o męską dominację. Pojawienie się młodej kobiety potęguje i w naturalny sposób wyostreza ten konflikt. Dramatem młodego bohatera jest rzeczywistość, w której jako nastolatek nie może na równych prawach konkurować z przywilejami dorosłości i władzy – a więc ze swoim ojcem.

Charakterystyczną cechą narracji Petersena jest niechęć do odkrywania i ujawniania. Decy-

dujące informacje, wydarzenia – choćby intymne zbliżenia Ady z ojcem – pozostają w sferze niedopowiedzenia lub sugestii. Jako że czytelnik nie poznaje istoty relacji między postaciami, skazany jest jedynie na domysły. Nie wiadomo, jakie pobudki kierują ojcem i co myśli oraz czuje młoda Polka. Obie te postaci są płaskie psychologicznie. Z punktu widzenia logiki narracji pierwszoosobowej da się to wytłumaczyć. Wydaje się jednak, że powieść zyskałaby na sile wyrazu, gdyby znalazłaby się w niej próba spojrzenia w głąb duszy Ady i ojca. Optyka młodocianego bohatera jako filtr ocen i percepcji innych mogłaby przynieść ciekawe sądy. A tak mamy w dużej mierze do czynienia z ujmującym, ale jednak tylko „lamente papierowego podbrzusza” (Adam Krzemiński). Nie oznacza to jednak, że powieść nie zawiera elementów – nazwijmy to – literackiego autentyzmu. Pozornie banalne uwagi i spostrzeżenia Philippa trafnie oddają atmosferę niepokoju i strachu, która towarzyszy opowiadaniu chłopca. Na szczęście dająca się wyczuć melancholia przekazu nie czyni tej prozy sentymentalną.

Można by się jeszcze zastanowić nad znaczeniem narodowości Ady Malic. Polska jako kraj nie stanowi w tekście praktycznie żadnego punktu odniesienia. Philipp nie robi zresztą tajemnicy ze swojej ignorancji w stosunku do wschodnich sąsiadów. W tym kontekście polskość bohaterki funkcjonować może jedynie jako pierwiastek nowości, obcości czy tajemniczości. Trudno też doszukać się w prozie Petersena stereotypowego postrzegania Polaków. Z jednym może – pozytywnym – wyjątkiem. Uroda i kobiecość Ady przyciągają na myśl stereotyp „Afrodyty znad Wisły”.

Historia opowiedziana przez Jensa Petersena próbuje dotknąć kilku ważkich aspektów relacji międzyludzkich. Chodzi w niej o adolescencję, o tęsknotę i samotność, o nieprzystawalność światów ojca i syna, a także o trójkąt miłosny. Opowiada ona również o poświęceniu i wąskiej

granicy między pomaganiem a wykorzystywaniem. I w tym właśnie punkcie pozostawia ona czytelnika z mieszanymi uczuciami. Ale być może zadawanie właściwych pytań samo w sobie jest

zawsze ważniejsze od możliwych odpowiedzi. Zwłaszcza w literaturze.

Paweł Wałowski

## Daremność i dotkliwość doświadczenia

Urszula Koziół, *Horrendum*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010, 72 s.

Dorobek literacki, zwłaszcza poetycki, Urszuli Koziół jest rozległy, bogaty, piękny i znaczący w poezji polskiej. To nie podlega dyskusji. Tak się złożyło, że przed czterdziestu laty mój bodaj pierwszy tekst krytycznoliteracki dotyczył dokonania poetyckiego właśnie autorki takich zbiorów jak m.in.: *W rymie korzeni*, *Lista obecności* czy *W rymie słońca*. Jakże dawny to już czas... W ubiegłym roku Wydawnictwo Literackie opublikowało kolejny zbiór poezji Koziół pt. *Horrendum. Horrendum*, czyli dotkliwe doświadczenie istnienia bądź pustki. Jest w nim miejsce na intensywność i krańcowość zachwyty oraz – jak w przypadku tego tomu – na przerażenie (zdumienie, lęk, trwożliwe przecucie). Obecnie te dwa wewnętrzne nurty (tak to niedokładnie ujmę) kształtują żywioł poetycki Urszuli Koziół. Stają się zarazem ważnym składnikiem tonacji lirycznej. Bardzo osobiście wyrażanej problematyki, obrazowanej niezwykle przekonująco. One to decydują o wymiarze refleksji, o wchodzeniu w zamyślenie, formułowanie dotkliwych osobistych, a filozoficznych jednocześnie pytań, które dotyczą spraw biograficznych, wewnętrznych, codzienności, własnej twórczości, sztuki słowa, ale i szeroko pojmowanego uniwersum istnienia. Tudzież zagadnień społecznych. W *Horrendum* takim wierszem jest *Piosenka o bezdomnych*: „Ci co nie mają domu / gdzie mają spać”, co jeść, co pić. W odniesieniu do różnych spraw, z perspektywy przeżytych lat, prowadzony tu jest również rozrachunek.

Zawsze spektrum spraw, które interesowały Urszulę Koziół, było szerokie, niejednorodne, otwarte na nowe wrażenia, impulsy, spostrzeżenia, skojarzenia i zagadnienia. Wrażliwość i aktywność, jak cechowała, tak i obecnie cechuje jej słowo. W tym względzie jest tak samo. Ma dobrą kontynuację ta sama żywość języka, lekkość i giętkość, gry semantyczne, świadomość tradycji, wykorzystywanie jej tropów (owych „stóp”, które już „po co komu”), w wierszach to samo bogactwo leksykalne. Że często tylko pozazdrościć. I – wypada dodać, bo to też bardzo ważne – uroczystość, subtelność, odkrywczość oraz powaga języka, nawet gdy mamy do czynienia ze zwyczajnością mowy, jej potocznością, to wpisana jest tonacja, która pozwala „jednak odróżnić wiersz / od niewiersza”. To dobrze.

Już w utworze otwierającym książkę *Do wiersza* Urszula Koziół daje wykład swojego widzenia poezji jako dążenia do objęcia jak najszerszej skali doświadczeń i prymatów sztuki słowa, które podmiotowo są sprawdzone i w praktyce realizowane. Widać, że ma miejsce przywiązanie do maksymalizmu. Stąd poetka decyduje się nawet na ton samooskarżenia w *Znowu nie napisałam*. Takie poczucie niedosytu, że to co ważne umyka, bo jest ciągle nieobjęte, nie daje spokoju każdemu ambitnemu pisarzowi. Powoduje wyrzuty sumienia, przyczynia się do określonych mąk, np: „Znowu dziś zapomniałam napisać Don Kichota”. Przywiązuje poetka wagę do mocy słowa, ale i ironizuje:

„Wierszu mój [...] czy ja cię znam a ty czy mnie znasz i czy na pewno”. W innym miejscu przeczytamy: „moje słowa nie są ze skał”, „rozwierają się na wietrze”. A więc dochodzi do głosu zarazem świadomość nieskuteczności artystycznego wysiłku, żeby nie powiedzieć jego słabości. Może słowa swoje miejsce – żartobliwie sugeruje poetka – znajdują gdzieś „na Drodze Mlecznej”. Wątpienie w tej poezji stałe dawało o sobie znać. Teraz jakby jeszcze mniej tu złudzeń odnośnie egzystencji, jak i sztuki. Dostrzeże czytelnik zmianę klimatu lirycznego, oczywiście, ale jest to ten sam nurt poetycki i byłoby dziwne, gdyby w coś (kogoś) innego przedzierzgnął się podmiot liryczny. Píše się w końcu siebie, jednego i tego samego, ciągle ten sam wiersz. Jak niegdyś, tak i teraz czytelnik spotka i tu (w *Horrendum*) wiersze krótkie, jakże celne, frapujące błyski mowy (myślę zwłaszcza o pięknych, kontemplacyjnych *Gmach*), a obok nich utwory rozległe frazeologicznie i tematycznie, opisowe, narracyjne, wyposażone w aluzje (*Ballada*, *O czym śpiewają Syreny*, *I co z tego*). Obrazy i słowa ciągle dotyczą również natury, życia, tyle tylko, że teraz inaczej, dogłębniej, dramatyczniej jego sens jest przedstawiony, bo w poczuciu wyraźnego powstrzymania się przed postawieniem przysłowiowej kropki nad i.

Cechuje te wiersze nie tonacja twierdzenia, wyjaśnienia, pewności, definiowania, lecz na plan pierwszy wysuwa się (może źle to powiedziane, bo przecież nie wysuwa się) wielka niewiadoma, która nie pozwala na katagoryczne osądy ani formułowanie obowiązującej lub zobowiązującej czy jakiegokolwiek innej wiedzy o tym, jaka jest prawda świata lub prawda człowieka. Właściwiej, a to znaczy: bardziej człowieczo, zapewne i mądrzej, jest nawet wobec drobiny istnienia „kuli dmuchawca” przyznać się do będącego u podstawy każdego zdziwienia „nie wiem” – że ten drobiazg nasionka i puchu „zbija mnie z tropu bo / na dobrą sprawę nic / nie rozumiem nic / z tego co tak na pozór proste co / na pozór wytłumaczalne”. Na tej zasadzie możliwa jest jakaś przynajmniej płaszczyzna porozumienia. Jakieś oswojenie obcości. Nie dopowiada poetka, co się kryje

w tej przeczuwanej niewytłumaczalności; jaki sens, jakie przeznaczenie każdej rzeczy i zjawiska lub własnego „ja”, czy tylko łączy się z nim przypadkowość. Dopowiedzieć tego nie może. Z tego typu doznaniem łączy się dotkliwość i niemoc ludzkiego poznania, dławiąca relatywność, bo są zaledwie „Słowa uwięzłe w gardle”, co zostaną „wybite / do ostatniej zgłoski”. Ta opowieść o poruszaniu się po ruchliwych piaskach i nieustannym usuwaniu się tego piasku spod stóp nasyciona jest wycofywaniem się ze złudzeń. W zmienności istnienia nic nie może być zatrzymane ani na zawsze ustalone. Wypada nawet zgodzić się, aby był poetycki „wuiwał na wietrze”. Ta niepewność, niestałość, poczucie „ogromu niepojętości”, zachwianie wiary („nie wierzę że szło o to”) to też jedna z odston tytułowego *horrendum* tego tomu. Na różne sposoby i w różnych sytuacjach daje ono o sobie znać i się przejawia. Sprawia, że podmiot czasami sen i jawę, byt i nicość traktuje zamiennie, że myli przestrzenie realne z nierealnymi. Toteż zwraca się poetka do swego poetyckiego czy też realnego rozmówcy z apelem: „nie udawaj że wiesz coś więcej niż wiesz”. Na tej drodze jednak może możliwe jest porozumienie międzyludzkie, mimo że towarzyszy mu niełatwe do zniesienia zatrwożenie bezradnością; może pozostaje tylko czysta, trudna refleksja o wspólnocie dramatyzmu (ze swej istoty heroiczna), jednak gorzka, której nie da się niczym przezwyciężyć, czyli zapełnić. Ale mimo tych dolegliwości odpowiedzią nie bywa tu nihilizm, czyli przekreślenie, czyli odmowa. Do głosu nie zostaje dopuszczone Nic. Jeśli już, to raczej jest trwoga. Tak jak w wierszu pt. *Żółta gwiazda* – ów „Bagaż światła zaraz za linią horyzontu” „okaże się balastem” epistemologicznie, jak i eschatologicznie. I tak jak w wierszu *Moja piosenka*. Nieprzydatność wiedzy wobec tego co nieznanne i ostateczne wyznacza skalę podmiotowego *horrendum*. Stwarza dramatyczne napięcie. Doznanie tej dotkliwości rodzi pytania, wyłącznie pytania: „czy niepojętość świata / stała się bardziej pojętna”? W końcu mimo wszelkich wysiłków „nadal nie uchylony będzie nawet rąbek / najważniejszej z tajemnic”. Można rzec, że

w sposób bardzo bezpośredni i z dużą dozą szczerości (czasami żartobliwie) zostają tu obnażone podmiotowe zwątpienia, lęki, także irytacje i egzystencjalne samotności.

Znakiem poezji Urszuli Koziół jest ciągła aktywność, aktywność pozwala nie być obojętnym na przydane światu uroki, cudowności „młodziutkiej soboty”, piękno natury, irysów, nawet przeoczone,

spóźnione, chwilowe, przypominane, już niedające się powtórzyć (być „refrenem”) ani budzić ufności, bo rytm życia dryfuje, ostatecznie łudzi, wydaje się być pożegnalny. Wszystko to jest w *Horrendum* i mimo odczutej daremności, obecne jest w tym tomie także piękno.

**Czesław Sobkowiak**

## Odważne spojrzenie na niewygodną prawdę

**Halina Barań, *Cień brzasku*, Wydaw. Eurosystem, Wrocław 2009, 189 s.**

Książka pt. *Cień brzasku* jest ważnym głosem w dyskusji o problemach niemiecko-polskiego pogranicza. Autorka Halina Barań wnosi do niej istotny, a często pomijany wątek: Łużyce, ich historię i kulturę. Rozciągającą się po obu stronach granicy na Odrze i Nysie ziemię łżycką pisarka postrzega jako wspólne dziedzictwo Niemiec i Polski. Odśłania trudną prawdę, że wspólne korzenie są często splecione, a przeszłość bolesna.

*Cień brzasku* jest czwartą książką Haliny Barań, poświęconą tematyce Łżyc. Autorka z Bogatyni, dzieli się z polskimi czytelnikami swoją fascynacją miejscem swojego zamieszkania, rzadko dotąd w polskiej literaturze opisywanym. Jak w każdym regionie przygranicznym, obok niezwyklej magii, która powstaje, gdy przenikają się ze sobą odmienne kultury, znać tu także ślady ludzkich cierpień.

II wojna światowa nadal kładzie się cieniem na ludzkich losach. Wielu z tych, co przeżyli, musiało się pogodzić z utratą swojej rodzinnej ziemi i małej ojczyzny. Poniemieckie domy i gospodarstwa zasiedlali nowo przybyli z dawnych wschodnich terenów przedwojennej Polski. W tej wrzawie wielkiej powojennej wędrówki ludów dramatu Łżyczan nie dostrzegał nikt. A przecież i oni także musieli wyprowadzać się ze swoich rdzennych terenów po wschodniej stronie Odry i Nysy.

Łżyczanie, choć tenaród słowiański, opuszczali swoje rodzinne ziemie ze stygmatem: Niemcy.

Tutaj, na zachodzie Polski można usłyszeć wiele opowieści o tym, że do miejsc zasiedlonych przez Polaków często przyjeżdżają ci, którzy mieszkali tu dawniej. Chcą zobaczyć, jak dzisiaj wygląda ich mała ojczyzna, zrobić zdjęcia, przywołać wspomnienia. Teraz częściej przyjeżdżają już raczej potomkowie dawnych tutejszych mieszkańców. Ciągnie ich tu sentyment, pamięć o przeszłości. Ci, którzy stąd wyjechali, i ci, którzy tu zamieszkali, nieraz odkrywają, jak silnie może ich połączyć to wspólne miejsce zamieszkania. Często więc nawiązują się kontakty i długoletnie przyjaźnie.

Od takiej typowej historii rozpoczyna się *Cień brzasku*. Pamięć starszego człowieka przywołuje wydarzenia z przeszłości, gdy jako młody człowiek przyjechał z ojcem do polskich Bogatowic, do rodziny państwa Dąbrowskich. Chcieli zrobić zdjęcia ich domu na prośbę ich niemieckiego przyjaciela, który przed wojną tu mieszkał, a teraz był zbyt chory, by przyjechać. Okazało się, że Marko i jego ojciec byli Łżyczanami, co sprawiło, że w domu państwa Dąbrowskich zaczęto wspominać nie tylko niemiecką przeszłość miasta.

Bo Łżyce były także i tutaj, po polskiej stronie. I tak samo jak Niemcy również Polacy nie

oszczędzili dziedzictwa łużyckiego narodu: jako nowi gospodarze na tych ziemiach pozmieniali dawne łużyckie nazwy miasteczek i wsi. „Fałszywie pojęta akcja polonizacji” – jak nazwał to doktor Dąbrowski.

Przy okazji tej wizyty Marko zakochał się w Sandrze, córce doktora Dąbrowskiego. Losy tej młodej miłości są poplątane, napotykają na wiele przeciwności. Gdy Sandra spodziewa się dziecka, jej życie zaczyna przypominać dramatyczne losy narodu łużyckiego: dziewczyna jest niezdolna do zadecydowania o sobie, musi poddać się stanowczej woli ojca, który wobec własnej córki nie cofa się przed kłamstwem. To zaważy na całym życiu Sandry. Jego echo brzmieć będzie przez całe lata zwyczajnego życia bohaterki, a przeszłość wróci do niej w dramatycznym momencie, przynosząc zaskakujące i emocjonujące zakończenie.

Powieść ma nieco baśniowy język. To wrażenie potęgują jeszcze częste odwołania do świata przyrody. I poezja przytoczona w języku górnołużyckim, śpiewna, potoczna, słowiańska, w której można odnaleźć jakże bliskie echa naszej polszczyzny. Wszystko to, jak i oniryczne wizje Marka sprawiają, że *Cienie brzasku* bardziej kojarzą się z liryczną przypowieścią niż współczesną powieścią – i to jest naprawdę mocna strona tej książki.

Elementów powieści współczesnej też zresztą tu nie brakuje, choć moim zdaniem są one bodaj najslabszym ogniwem *Cieni brzasku*. Z pewnością można było oddać tu lepiej atmosferę czasów powojennych, tego uwikłania ludzi w system, ich myślenia na zasadzie „coś za coś”, gdy w zamian za materialne przywileje godzą się na utratę godności i wewnętrznej wolności. W książce zostało to przedstawione zbyt schematycznie. Gdyby spod tego schematu wyzwolić jeszcze małżeńskie problemy doktorostwa Dąbrowskich – być może bardziej przekonujący byłby wizerunek ojca, sto-

sującego wobec córki zasady „podwójnej moralności”, przez co wydźwięk powieści byłby jeszcze głębszy i bardziej dramatyczny. I jeszcze taki drobiazg: czy bezpośrednie dzwonienie z budki telefonicznej z Polski do Niemiec w latach 60. XX wieku naprawdę było możliwe?

Tym niemniej *Cienie brzasku* zasługują na uwagę, bo jest to jakże rzadki literacki polski głos w obronie łużyczan, ocalający ich naród od zapomnienia. Jest to głos tym bardziej cenny, bo pozwalający spojrzeć odważnie na niewygodną prawdę, że w powojennej Polsce łużyczan z tak zwanych Ziemi Odzyskanych oficjalnie wysiedlano, odmawiano im prawa do narodowej tożsamości, zacierano ślady ich kultury. Halina Barań nie przemilcza także w powieści obecnej sytuacji łużyczan. Rok 1989, który przyniósł Europie Wschodniej wolność i demokrację, niewiele zmienił w ich dramatycznej sytuacji, bowiem ocalała garstka łużyczan musi teraz stawiać czoło potężnej maszynie kapitalizmu kulturowego, gdzie każdą wartość i nawet najbardziej szlachetne dobro przelicza się na pieniądze. Tak właśnie ginie ten naród, jego kultura i dwa języki. Cały czas jednak tli się nadzieja, że nie stanie się to, co bezpowrotne.

Wątek łużycki, poruszony w *Cieniach brzasku*, bardzo wzbogaca polsko-niemiecki dialog. Halina Barań przypomina o bogatej kulturowej przeszłości ziem po obu stronach Odry i Nysy. Teraz są one częścią zjednoczonej Europy. Autorka uczyniła krok w dobrą stronę, by uświadomić Polakom, że także i w naszych granicach leżą łużyckie ziemie i że także my możemy się przyczynić do ochrony dziedzictwa łużyczan, każdego nawet najmniejszego elementu ich kultury. To również sposób na to, aby stać się pełnoprawnymi Europejczykami i zaświadczać o naszej europejskości.

Joanna Kapica-Curzytek

# Dwie rzeczy nie zdarzają się dwa razy. O wierszach Agnieszki Leśniewskiej

Agnieszka Leśniewska, *Dwie rzeczy*, Organon, Zielona Góra 2005, 60 s.

Agnieszka Leśniewska wydała swój jedyny, jak na razie, tomik w 2005 roku. Nie ukazała się żadna recenzja na jego temat. Ani pozytywna, ani negatywna. *Silentium*. Trudno wyjaśnić to zjawisko, kiedy pojawiają się liczne artykuły na temat wierszy przedrukowywanych przez autorów kilkakrotnie. I tak naprawdę nie wiadomo, czy wypada po tylu latach pisać o tym, co się przeoczyło. Leśniewska napisała w wierszu *dwie rozmowy*: „miasto jest jak czarna płachta / znika w nim światło nie rozchodzi się głos”. Można by dodać, że znika w tym mieście także poezja – poezja dojrzała, mająca swój wyraźny profil i koloryt. Poetka obok **m. in.** Małgorzaty Stachowiak, Agnieszki Gadzińskiej-Grądkiewicz i Jacka Uglicka należy do najmłodszego pokolenia lubuskich twórców, w którym kontestacja – choć różnie rozumiana i wyrażana – pojawia się często. W jaki sposób Leśniewska ustosunkowuje się do rzeczywistości?

W wierszach ukazywane są ciemne obszary ludzkiej egzystencji oraz dysfunkcje rodzinne. Rozważania często koncentrują się na szukaniu swojego miejsca w „średnim mieście szlachetnej prowincji” (*fenix*). Przestrzeń w tej twórczości nie jest transparentna. Nie stanowi backgroundu, ale wychodzi niejednokrotnie na plan pierwszy. Epatuje brudem. Różewiczowski śmietnik jest tu środowiskiem życia. Poezja Leśniewskiej to niezwykle ciekawe zjawisko literackie w kontekście badań nad twórczością regionalną. Dlaczego ktoś, kto ma możliwość wydostania się poza hermetyczne środowisko, jest ignorowany? Jakie cechy tej poezji ewokują jej niezrozumienie?

Twórczość zielonogórskiej poetki jest introwertyczna, a w dodatku głęboko symboliczna. Orzech staje się wyraźnym obrazem człowieka, pokazuje niedostępność wewnętrzną i pozorną małość:

być sobą jak orzech  
o twardej skorupce  
kryjącej cierpkie wnętrze  
[...]  
wstęp tylko dla wpuszczonych

– pisze poetka w tekście *orzech*. Właściwie każdy wiersz tego tomiku jest metaforycznym orzechem, którego nie należy bynajmniej rozbijać, ale wystarczy intelektualnie dotknąć, by wiedzieć, że ma sens. Wiersze te same wybierają sobie odbiorcę. Nie każdy może wejść, nawet jeśli nie będzie już mógł wyjść, bo „orzech” ulegnie zniszczeniu. Wniknięcie w istotę musi odbyć się fenomenologicznie, raczej intuicyjnie niż empirycznie.

Tytułowy wiersz tomiku **dwie rzeczy** kryje koncepcję relacji czytelnik–wiersz:

jesteśmy za mali by widzieć dwie rzeczy naraz  
zamykamy jedne drzwi nim otworzymy drugie  
oto jedyny dowód naszej mądrości  
nie umiemy być równocześnie łodzią i wiosłem

Utwór ten pokazuje ludzkie ograniczenia percepcyjne, ale posiada także inny wymiar. Nie bez przyczyny cały zbiór wierszy nosi tytuł *dwie rzeczy*. Być może tu kryje się częściowa odpowiedź na pytanie, skąd biorą się trudności w recepcji tej poezji. Dopóki odbiorca nie zamknie swoich drzwi doświadczeń, przekonań, emocji, nie otworzy drzwi wiersza. Tekst wymaga całkowitej empatii graniczącej z poczuciem olśnienia. Nie ma tu miejsca na rzewne łzy, wiwisekcje. Jeżeli podmiot liryczny płacze, to „płacze do środka” (*królestwo*) jak zwierzę:

wyjawszy rzeźne cielęta o oczach dziewcząt  
łzy to słabość ludzka zwierzęta płaczą  
do środka to płacz pewny bezpieczny nie przerwie go  
czyjaś ostra obecność – to jakby pić wodę morską.

Trudno znaleźć dominantę tematyczną tego tomiku. Właściwie można by stwierdzić, że spektrum zjawisk, którym przygląda się poetka, jest tak rozległe, że całość ociera się o bałagan. Myślę jednak, że to pochopte wrażenie. Osią jest coś, co wykracza poza wersy. Nie ma jednej koncepcji świata. Nie odnajdziemy też jednego przesłania, do którego miałyby nas doprowadzić ta poezja. Głównym celem jest zadać pytanie i zostawić z nim odbiorcę.

Chronicznie pojawia się osaczenie: „mam dom na wyspie z gorącego kamienia / zalanej ludźmi” (w *którkolwiek stronę*) oraz doświadczenie izolacji: „Ten / który stwarza słońce i czarno w nim dojrzewające / jagody / stwarza także – przepaszam – i mnie / odmienia / smoka przedsiönka piekieł / jak nazywają mnie niektórzy z Was” (*odmieniec*). Kwestie etyczne wybrzmiewają niekiedy wyrażnie. Podmiot liryczny lubi demaskować obłudę. Ci, którzy odrzucając, kryją swoje lęki, przedstawieni są jako sędziowie, egzekutorzy. Można zauważyć pewne formalne nawiązania zarówno do poezji ks. Jana Twardowskiego („Ten / który stwarza słońce i czarno w nim dojrzewające / jagody / stwarza także..., *odmieniec*), jak i do Zbigniewa Herberta („jesteś ochrzczony przez

ranne ptaki / solą mądrości octem nadziei / raz nabierz wody w usta w płuca / płyn z prądem rzeki do ujścia / gdzie nic nie jest stale i tylko sobą”, *dobro*). Moralizatorstwo nie służy przekazowi poetyckiemu. Widać, że Leśniewska zdaje sobie z tego sprawę i dlatego nie posługuje się nim wprost. Zostawia odbiorcę z poczuciem aksjologicznej dezorientacji, która może zaowocować odnalezieniem dobra.

Leśniewska z wyczuciem posługuje się ironią i strzelistą puentą. Nie usypia czujności odbiorcy schematami, monotonią. Wiersze w tomiku *dwie rzeczy* są pisane w ciemnych tonacjach barw, bez zbędnych ornamentów. Niekiedy mogą wydać się nad wyraz symboliczne i oniryczne. Schulzowski ojciec i odległe plecy matki mającą w tle. Niewyjaśnione odrzucenie, brak akceptacji i silna potrzeba bezpieczeństwa to powtarzające się motywy. Nie należy odczytywać tych wierszy biograficznie. Warto zbliżyć się do nich bez wstępnych założeń. Leśniewska przewartościowuje w swoich wierszach to, co współczesność uważa za ważne, aby znaleźć nową wartość oraz po to, aby „zmarłychwstać / jak fenix z własnego brudu” (*fenix*).

Mirosława Szott

## Bez księżniczek i smoków

Zbigniew Kozłowski, *Legendy lubuskie II*, Wydawnictwo eMBPe, Żary 2010, 80 s.

Poczucie bycia „u siebie”, silna więź ze swoją małą ojczyzną i żyjącym w niej społeczeństwem są ważne dla każdego człowieka. Wzbudzenie takiego poczucia stało się jednym z celów historii regionalnej, bardzo popularnej i propagowanej w lokalnych środowiskach. Tworzenie prac historycznych dotyczących przeszłości danego regionu pozwala przybliżyć meandry jego dziejów i sprawić, że stanie się pewną częścią życia jego mieszkańców.

Tematyka lokalna powoli wkracza we wszystkie dziedziny życia – na stałe zagościła w programach nauczania w szkołach, symbole charakterystyczne dla danego regionu widoczne są na ulicach miast, obchodzone są lokalne święta itp. Poczucie silnej tożsamości regionalnej uwidacznia się w kultywowaniu miejscowych tradycji i zwyczajów, a także w rozpowszechnianiu związanych z danym miejscem legend i opowieści.

Do grona pisarzy regionalistów niewątpliwie zaliczyć można Zbigniewa Kozłowskiego. Pochodzi on z Warmii, lecz swoją małą ojczyznę odnalazł na Ziemi Lubuskiej, gdzie mieszka, pracuje i oczywiście tworzy. Do tej pory ukazało się pięć książek Z. Kozłowskiego – powieść *Skarb Atamana*, za którą autor otrzymał Lubuski Wawrzyn Literacki w 2004 roku, *Rycerze Placu Zamkowego*, *Mołojcka Pieśń*, *Legendy Lubuskie* oraz najnowsze *Legendy Lubuskie II*, wydane w 2010 r. Ukazały się one wspólnym staraniem Starostw Powiatowych w Międzyrzeczu i Sulęcinie oraz Miejskiej Biblioteki Publicznej w Żarach. W skład tomu wchodzi pięć legend oraz *Dodatek dla dociekliwych*, całość opatrzona jest wstępem autora i krótkim opisem jego twórczości. Każdą legendę poprzedzają ilustracje wykonane przez Marka Gawrona, które pobudzają wyobraźnię odbiorcy i ułatwiają odbiór tekstu. Jak przystało na ten gatunek literacki, poszczególne historie nie są zbyt długie, liczą maksymalnie kilkanaście stron, zaś ich akcja rozgrywa się w lubuskich miejscowościach: Zielonej Górze, Międzyrzeczu, Gościeszowicach oraz nad Jeziorem Postomsko.

Czy legendy bez księżniczek i smoków są możliwe? Jak widać na przykładzie *Legend*, tak! Właśnie takie było założenie autora, aby w swoich opowieściach umieszczać „ludzi z krwi i kości”. Na kartach książki spotkać więc można rycerzy Władysława Jagiełły, Władysława Łokietka, Stefana Zapolyę, Jana Żagańskiego i Zygmunta Starego. Pomiedzy tymi historycznymi postaciami autor umieścił głównych bohaterów swych historii. Mamy więc Marcina z Międzychodu – autora pierwszego listu miłosnego napisanego po polsku – który z powodu dworskiej intrygi stracił szansę poślubienia ukochanej. Bohaterką kolejnej legendy jest Marianna, mniszka z Lubusza, która zginęła z ręki brutalnego Litwina. Dalej poznajemy losy międzyrzeckich rycerzy, wspomaganych przez Jana z Kolna, którzy bronią zamku przed najazdem. Następnie widzimy Hannę, uczennicę Wita Stwosza i Pawła z Lewoczy, spod jej dłuta wyjść miał ołtarz w gościeszowickim Kościele. Ostatnia legenda dotyczy bohaterskich mieszkańców,

a raczej mieszkank Zielonej Góry, które obroniły miasto przed dezerterami i skorumpowanym sędzią.

Autor uważa się za historyka z zamiłowania, a główny cel, jaki mu przyświeca, to „popularyzowanie wiedzy i historii” – jak sam napisał we wstępie do drugiej części *Legend*. Uwidacznia się to w obszernych opisach przeszłej rzeczywistości, np. w wyjaśnieniu idei i reguł średniowiecznych turniejów rycerskich. Zabieg ten ułatwia odbiór czytanych treści i pozwala na lepsze ich zrozumienie. Natomiast przeplatanie ze sobą losów postaci historycznych i całkowicie fikcyjnych uwiarygadnia opowieści i przedstawione w nich wydarzenia. Jednak z drugiej strony nieścisłości w opisie dają wypaczony obraz świata. Bo czy możliwe jest, że w Królestwie Polskim w początkach XV w. używano hełmów wynalezionych dopiero w wieku XVI? Może to być oczywiście pomyłka autora, który powszechnie używany w czasach bitwy pod Grunwaldem hełmny typu „psi pysk” utożsamiał ze sto lat późniejszym, zwanym „żabi pysk”. Natomiast w przypadku postaci Jana z Kolna (*nota bene* najprawdopodobniej nigdy nie istniał) autor twierdzi stanowczo, że miał to być mieszkanie dzisiejszej wsi Kolno koło Międzychodu, choć wszelkie poszlaki świadczą, że jeśli żył, to pochodził z miasta o tej samej nazwie leżącego na Podlasiu.

I choć legenda potrafi wybaczać takie niedociągnięcia, uderzające jest, że przy tych wszystkich *quasi*-historycznych opisach brakuje często dokładniejszych wyjaśnień. Tymczasem bez odpowiednich komentarzy treść pozostaje zupełnie niezrozumiała dla młodszych czytelników, którzy według Kozłowskiego mają być głównymi odbiorcami *Legend*. Odnotować trzeba też jeszcze jedno, związane z tym zastrzeżenie: Autor uważa za swoje zadanie ukazywanie słowniańskości, a wręcz polskości Ziemi Lubuskiej, co wielokrotnie podkreśla na kartach swojej książki. Wpajanie takich poglądów dzieciom i młodzieży wpisuje się jednak w propagowaną w poprzedniej epoce ideę „powrotu do macierzy” i fałszuje prawdziwą historię regionu.

Po lekturze *Legend lubuskich II* może pojawić się pytanie, do kogo tak naprawdę są one



adresowane? Szczególnie widoczne to jest w języku, jakim posługuje się autor. Najmłodszy czytelnicy mogą mieć problem ze zrozumieniem treści, gdyż pojawia się tu wiele terminów, które są po prostu niejasne dla uczniów szkół podstawowych, a nawet gimnazjum. Zlepki takich encyklopedycznych haseł mogą świadczyć o wykształceniu i erudycji autora, nie przybliżają jednak dzieciom obrazu przeszłości. Natomiast dorosłym język *Legend* może się wydawać nieco infantylny, przepełniony frazesami i nie ratuje go nieśmiała próba stylizacji poprzez archaizację wypowiedzi bohaterów.

Zgodnie z fenomenologiczną koncepcją Mircei Eliadego zasadniczym celem mitów, legend i tym podobnych opowieści jest odpowiedź na pytanie „dlaczego?” (na przykład dlaczego dane wydarzenie miało miejsce, dlaczego bieg historii potoczył się tym torem itp.), z zastrzeżeniem, że nie podle-

ga ona kryterium prawdy i fałszu. W tej kwestii *Legendy* sprawdzają się znakomicie. Autor tworzy własne wyjaśnienie, własną interpretację czy też wizję przeszłości, i w ten sposób cel zostaje osiągnięty. Hołduje przy tym także pięknym i wzniosłym wartościom, takim jak patriotyzm, walka o dobro swej małej ojczyzny, honor, miłość, czyli wszystko to, co powinno się zaszczyć każdemu małemu obywatelowi, a pielęgnować u dorosłych.

Po sukcesie dwóch części *Legend lubuskich* pozostaje nam czekać na ich trzecią odsłonę. Może dowiemy się, kto tak naprawdę założył Zieloną Górę, sprowadził na Ziemię Lubuską winną latorośl lub może poczytamy o jakiejś Białej Damie krążącej po ruinach jednego z lubuskich pałaców... Chociaż nie, ta ostatnia koncepcja raczej odpada, przecież Z. Kozłowski pisze tylko o „ludziach z krwi i kości”.

**Emilia Kostka**

## O zapomnianej Europie

**Jurij Andruchowycz, Andrzej Stasiuk, *Moja Europa*, Wydawnictwo „Czarne”, Wołowiec 2001, 139 s.**

*Europa Środkowa to zbiór społeczności, które się nie znają, nic o sobie nie wiedzą i każda z nich ma oczy zwrócone na Zachód.*

prof. Jan Ken

Książka ukraińskiego pisarza Jurija Andruchowicza i polskiego Andrzeja Stasiuka *Moja Europa*, wydana po raz pierwszy w 2000 roku przez wydawnictwo Czarne, jest wolumenem niezwykłym. Oto czytelnik wkracza w świat dwóch światopoglądów, dwóch spojrzeń, dwóch perspektyw na szeroki i trudny temat Europy „zwanej Środkową”, jak chcą tego autorzy.

Pierwszą część książki stanowi tekst ukraińskiego prozaika – *Środkowowschodnie rewizje*. Autor *Rekreacji* prezentuje odbiorcom esej w pełnym znaczeniu tego gatunku, który, wedle Janusza

Stawińskiego, eksponuje podmiotowy punkt widzenia oraz dbałość o piękny i oryginalny sposób przekazu. Andruchowycz łączy elementy prozy poetyckiej, autobiografii, pamiętnika, reportażu, podróży, traktatu filozoficznego i powieści drogi. Bogato korzystając z różnych form literackich, pisze językiem prostym, ale poetyckim, zrozumiałym, ale dotyczącym spraw istotnych dla mieszkańców Europy, nie tylko Środkowej.

Andruchowycz snuje narrację o historii swojej rodziny, o dziadku, który pojechał do Ameryki, walczył w UPA z Rosjanami, Niemcami, Polakami, aż w końcu zginął w pociągu ostrzelanym przez radzieckie samoloty; o babce – silnej kobiecie, która paliła jednego papierosa za drugim; o ojcu, który opowiadał niesamowite historie i kupował synowi szklankę wytrawnego wina „w każdej

knajpie". Autor tworzy małą mitologię rodziny, koncentrując się zarazem na środkowo-wschodnio-europejskiej potrzebie posiadania tożsamości oraz historii. Ukazuje świat i jego przemiany oczyma przodków. Zwraca uwagę na trwającą szarą codzienność oraz ślady przeszłości, które w niej można odnaleźć. Dla niego Europa jest Europą ruin, do których wciąż powraca, do ruin dawnych cywilizacji, dróg, mostów, rzek, lasów, jezior, gór, kamieni, okrętów, cmentarzy. „Widziałem takie ruiny: żydowskie, ormiańskie, łemkowskie. Aby odczytać wyryte na płytach nazwiska, trzeba było palcem zdzierać mech” – ta konstatacja obrazuje stosunek Andruchowicza do przeszłości. Jest on tym, który nie daje odejść w zapomnienie małym elementom budującym europejską tożsamość. Swoista mitologia ruin jest skarbnicą artefaktów ważnych dla pisarzach, konstytuujących jego europejskość. Jednak warto pamiętać, że „w rzeczywistości bowiem zarówno przyszłość, jak i przeszłość są dla nas nieosiągalne. Nie ma nas ani w jednym, ani w drugim. To otchłanie, a każda z nich patrzy na nas z pogardą i wyczekiwaniem”.

Drugą część książki stanowi esej Andrzeja Stasiuka, *Dziennik okrętowy*, w którym autor pisze o tym, jak wziął do ręki czeski atlas i zaznaczył cyrklem kilka miejsc dla niego ważnych, w ten sposób wyznaczając Europę Środkową, czyli „kawałek Białorusi, całkiem sporo Ukrainy, przyzwoite i porównywalne przestrzenie Rumunii i Węgier, prawie cała Słowacja i skrawek Czech. No i jakaś jedna trzecia Ojczyzny”. Polski prozaik jest bardem opuszczonych przez pamięć miejsc, ludzi oraz wydarzeń, które na przekór wszystkiemu letargicznie trwają w teraźniejszości, nie chcąc podporządkować się oczekiwaniom konsumpcyjnego świata: „tylko tam, w odmętach minionego albo w wyobraźni, można znaleźć obraz tak doskonałej martwoty i zarazem potencjalności, wizję świata już skończonego”. Dla Stasiuka Europa Środkowa nie jest krainą wesołą, która kojarzy się powszechnie z chorwackimi plażami czy atrakcjami turystycznymi Krymu. Pisarz ukazuje bezrobocie, zastój, brak perspektyw, ale zarazem szczerość i prawdziwość odwiedzanych miejsc.

„Jeżeli miałbym wymyślić dla Europy Środkowej jakiś herb, to w jednym z jego pól umieściłbym półmrok, a w jakimś innym pustkę. To pierwsze jako znak nieoczywistości, to drugie jako znak wciąż nie oswojonej przestrzeni”. Zarazem traktuje Europę niemalże jako... kochankę, pisze do niej list, w którym opiewa jej geografii. Ostatecznie Europa Stasiuka składa się „ze szczegółów, z drobiazgów, z parosekundowych zdarzeń, przypominających filmowe etiudy, z migotliwych skrawków”. Język jego tekstu jest, jak zawsze w wypadku tego autora, językiem żywym, łączącym poezję z potocznością, niepozwalającym się łatwo zasufladkować i zdefiniować.

Problem zapomnianej Europy środkowo-wschodniej i południowej powróci w późniejszych książkach Stasiuka, w których, korzystając z gatunku powieści-drogi, będzie się dopominał o należyte miejsce w pamięci Europejczyków niewielkich miejsc serbskich, rumuńskich, bośniackich, macedońskich, które są ważnymi elementami kształtującymi tożsamość w tej części świata. Przykładem tych zakątków jest mała, biedna rumuńska wioska, w której urodził się Emil Cioran, i którą opisuje prozaik w *Jadąc do Babadag*. Staje się ona nagle centrum Europy, symbolicznym miejscem początku dyskursu nad pamięcią, tożsamością, przeszłością i przyszłością.

*Moja Europa* jest książką ważną, bynajmniej nie tylko ze względu na styl, ale przede wszystkim na treść, na pytania, które zadaje. W esejach obu autorów pobrzmiewa filozofia Ciorana, lektura powieści Iva Andrić, Miodraga Bulatovicia, Dubravki Ugrešić, a więc tych twórców, którzy nieustannie podnosili kwestię istotności Europy środkowo-wschodniej i południowej dla dziejów całej Europy. Nie powinien dziwić fakt, że książka Stasiuka oraz Andruchowicza ukazała się w Niemczech, w Chorwacji, we Francji, na Ukrainie i Węgrzech, w Rumunii i Hiszpanii. Kwestie tożsamości oraz pamięci zawsze były i pozostają istotne dla Europejczyków, a przynajmniej dla tych, dla których Europa nie ogranicza się jedynie do Paryża, Berlina, Wiednia, Rzymu, Madrytu i Londynu.

**Jakub Rawski**

# Gdzie ten mężczyzna?

Beata Patrycja Klary, *Szczekanie głodnych psów*, WiMBP Gorzów Wlkp., Gorzów Wlkp. 2010, 72 s.

„Równouprawnione są tylko narządy płciowe” – mottem Walta Whitmana opatrzyła swój kolejny tomik Beata Patrycja Klary i wydaje się, że trafiła idealnie z wyborem. Cytat, będący tak naprawdę hasłem przewodnim, niczym manifest rozbrzmiewa w kolejnych z blisko pięćdziesięciu wierszy gorzowianki. I już od początku ma za zadanie zaintrygować czytelnika, który – o ile miał już możliwość obcować z wizją poezji autorki choćby w *Imaginacjach* – wie, że będzie mocno. Żeby nie powiedzieć „ciężko”.

Ciężko będzie niewątpliwie osobom wrażliwym i delikatnym przejść przez gąszcz nie tyle erotyków, co naturalistycznych opisów kwestii związanych z cielesnością. Erotyka, miłość fizyczna jest tu nazywana szybko, krótko i brutalnie, tak jak właśnie zdaje się wyglądać dzisiejsza miłość. Nie ma miejsca na artystyczne majstersztyki, rozbudowane metafory czy nawet płynną rytmikę wiersza. Jest za to prostota, trafność i jednoznaczność.

Można mieć trochę pretensji o ten brak delikatności i romantyczności poezji. O to, że jest twarda i ciężka, bez wycucia i wdzięku tworzącego artystyczny obraz najpiękniejszego uczucia. Czy nie jest to jednak pretensja do nas? Czy nie jest to pretensja do ludzi niepotrafiących złamać tabu w swoich głowach? Czy nie jest to pretensja do ludzi zapominających lub chcących zapominać o tym, że miłość to także fizjologia, że to coś zwierzęcego? Nie jest to więc pozycja dla odbiorców, którzy nie potrafią wyjść poza własną zaściankowość i zdegustowani są samym faktem poezji nowoczesnej, tworzonej wbrew konwencji i tradycji literackiej. Jest to raczej zbiór dla osób odważnych i akceptujących wulgarność artystyczną, a zarazem potrafiących otworzyć się na jeszcze ciągle nową i rzadko spotykaną formę oraz treść. Jest jednak spore prawdopodobieństwo, że i takim osobom *Szczekanie głodnych psów* nie przypadnie do gustu. Pojawia się bowiem problem charakterystyki adresata poezji Klary.

Lektura sprawia, że mężczyzna może poczuć małe zakłopotanie. Nie przeciwstawiając się ani na moment biologicznym instynktom, ma nadzieję przeżyć rozkosz przeżywania erotyków, które mają w sobie zawsze – właściwie niezależnie od autorstwa – coś intrygującego. Przeżywa jednak zawód, gdy okazuje się, że – pomijając otoczkę erotyczno-pornograficzną – mężczyzny w tych wierszach właściwie nie ma. Istnieje jako tło, właściwie nieznaczące, delikatnie przebijające się gdzieś na odległym planie i nie wiadomo nawet, czy byłoby bardzo źle, gdyby go właściwie nie było. Sama natomiast kwintesencja arcyzmu właściwie skierowana jest na nazywanie, na dosłowność, a nie na tworzenie pozabiologicznego opisu, przez co przekaz traci niestety na atrakcyjności, a pod koniec tomiku zaczyna już nawet nużyć czytelnika.

Co natomiast odnajdzie u Klary kobieta? W głębi warstwy metaforycznej odnajdzie kobietę zagubioną, słabą, uciekającą w seks w znaczeniu niemal ekshibicjonistycznym, która mimo swojej siły popędu biologicznego tęskni do miłości prawdziwej, duchowej, której nie może odnaleźć w żadnym z aspektów swojego życia. Czyni ją to obojętną. Nie tyle na miłość, chociaż po części także, ale przede wszystkim na mężczyzn, którzy stają się tylko narzędziem, elementem świata mającym dostarczyć rozkoszy i zaspokojenia. Znajdują się z boku, w tle, chociaż w rzeczywistości są w centrum wydarzeń biologicznych scen. Prawdziwym centrum jest tutaj jednak tylko kobieta.

Czy można więc stwierdzić, że *Szczekanie głodnych psów* to pozycja, w której rozczytają się kobiety z problemami? A może feministki, które bez problemu zinterpretują kolejne utwory na modłę feministycznych hymnów? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie o adresata poezji Klary, ponieważ głównym problemem i chyba jednak można powiedzieć, że wadą jest wulgarność i brak poczucia estetyki artystycznej autorki.

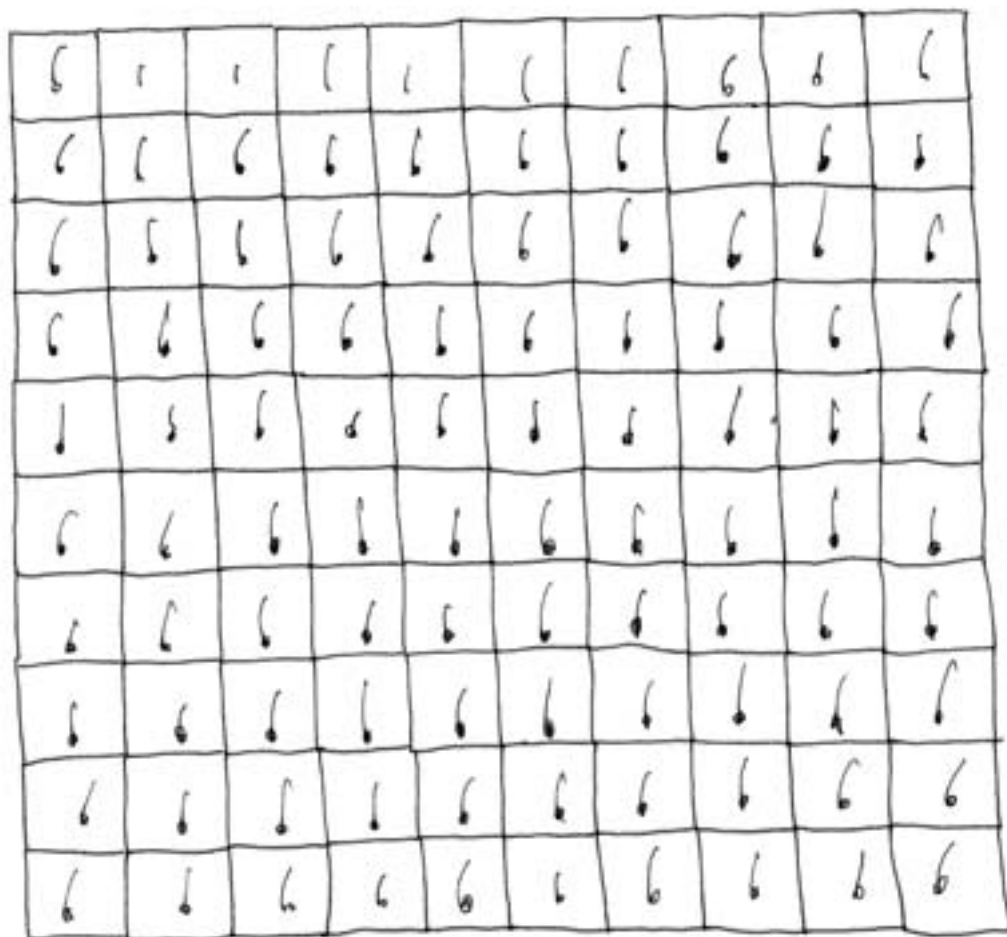
Język, który na początku lektury zacieka swą odmiennością, po kilku utworach staje się uciążliwy i na tyle ciężki, że ma się wrażenie obcowania z pornografią, nie sztuką. I nie chodzi tu o treści przedstawione w *Szczekaniu*, bo do nich czytelnicy, a szczególnie młodsze pokolenie, są już przyzwyczajeni i na tyle otwarci, żeby kolejne tabu łamać bez mrugnięcia okiem, ale o przeżycie estetyczne i artystyczne. Bo jeśli chodzi o poezję, najwyższy wymiar sztuki powinien polegać na metaforycznym opisywaniu, nie na nazywaniu.

Jest w Beacie Patrycji Klary potencjał, który może sprawić, że będzie z czasem trafiać do coraz szerszego grona odbiorców, a już teraz ich grono systematycznie rośnie, w czym pomagają kolejne trofea trafiające do kolekcji autorki wraz z kolejnymi konkursami poetyckimi. Trzeba jednak odpowiedzieć sobie na pytanie, czy wszystkie te zabiegi

literackie, warstwa treściowa oraz nieczęsto spotykany styl autorki kierują nas do osiągnięcia wyższego celu i dotarcia, lub choćby dotknięcia, sedna sprawy? Po lekturze trzeba się mocno nagłowić, żeby znaleźć w *Szczekaniu głodnych psów* wyższy ponadbiologiczny sens. A niestety, istnieje spore prawdopodobieństwo, że nam się po prostu nie uda tego zrobić.

Może się więc okazać, że przeczytanie ponad pięćdziesięciu wierszy nie miało zbytniego sensu lub też był on tak zakamuflowany pod udami, piersiami i fallusami, że zbyt trudno było go odnaleźć. A jeśli po lekturze czytelnik stwierdzi, że nie udało mu dotrzeć do sedna, złapać tej iskry poezji, to czy nie ma prawa czuć się trochę rozczarowany?

**Michał Zaremba**



# KSIAŻKI NADESŁANE

- Maria Borcz, *Bidul*, Towarzystwo Słowaków w Polsce, Kraków–Gorzów Wlkp. 2011, 56 s.
- Charyzmatyczna Maria z Żar. Życie – pisma – świadectwa*, pod red. C. Sękalskiego, Serafin, Kraków 2011, 232 s.
- Bożena Grabowska, *Paradyż i Raj Utracony*, Sonar Sp. z o.o., Gorzów Wlkp. 2010, 156 s.
- I wspomnisz, i pomyślisz o mnie... Pamiątkowa księga wierszy członków Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze 1961-2011* pod red. J. Koniusza i R. Rudiaka, Wydawnictwo Organon, Zielona Góra 2011, 310 s.
- Jolanta Jordan-Wechta, Marzena Szafińska-Chadała, *Publikacje pracowników Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej im. Marii Grzegorzewskiej w Zielonej Górze (bibliografia w wyborze za lata 1951-2011)*, Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka im. M. Grzegorzewskiej w Zielonej Górze, Zielona Góra 2011, 72 s.
- Konkursy literackie im. Eugeniusza Paukszy „Małe Ojczyzny – pogranicze kultur i regionów” (2000-2010)*, pod red. J. Mielżyńskiego, Gmina Kargowa, Gminna Biblioteka Publiczna im. E. Paukszy, Kargowa 2011, 328 s.
- Na winnicy. Leksykon literatów zielonogórskich*, oprac. Alfred Siatecki, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 2011, 120 s.
- Mariusz Niemycki, *Zuzia na tropie Makusynów*, Wydawnictwo Skrzat, Kraków 2010, 192 s.
- Niezwykłe i tajemnicze miejsca w naszych lasach. Poznajemy lubuskie knieje – 62 nadleśnictwa*, Gazeta Lubuska, Zielona Góra 2011, 196 s.
- Andrzej Marcin Patrzykont, *Co pozostało...*, eMBePe Miejska Biblioteka Publiczna w Żarach, Żary 2011, 94 s.
- 50 lat Palmiarni 1961-2011*, Zielonogórskie Zakłady Usług Miejskich Sp. z o.o. w Zielonej Górze, Zielona Góra 2011, 44 s.
- Adam Skorb, *Ojciec Homera*, FTF Wydawnictwo Prywatne, Zielona Góra, 2011, 132 s.
- Studia Kresowe. Język – Literatura – Historia. T. I*, red. nauk. Katarzyna Węgorowska, Księgarnia Akademicka, Zielona Góra–Warszawa 2010, 320 s.
- Ireneusz Szafranek, *Nieskończenie nieskończone*, Stowarzyszenie Absolwentów, Wychowawców i Wychowanków Gimnazjum i Liceum w Gostyniu, Muzeum w Gostyniu, Gostyń 2007, 100 s.
- Ireneusz Szafranek, *Stąd*, Urząd Gminy Pępowo, Pępowo 2008, 116 s.
- Ireneusz Szafranek, *Moment uzupełnienia*, Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy w Gostyniu, Gostyń 2009, 112 s.
- Jerzy Szczegółski, *Gdzie podziały się nasze obrączki...*, Dekorgraf, Żagań 2011, 46 s.
- Santok „Strażnica i klucz Królestwa”. 30 lat Muzeum Grodu w Santoku. Wydawnictwo pokonferencyjne 13 czerwca 2008 r.*, Gorzów Lubuskie im. J. Dekerta w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2010, 128 s.
- Zielona Góra winem i miodem płynąca*, Bydgoski Dom Wydawniczy „Margarfsen” s.c., Bydgoszcz 2011, 272 s.
- Żarskie legendy*, „Chroma” Drukarnia Krzysztof Raczkowski, Żary 2011, 156 s.

# AUTORZY NUMERU

## **Mateusz Basiński**

Absolwent kierunku na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej UAM w Poznaniu.

## **Andrzej Buck**

Literaturoznawca, teatrolog, edytor, dziennikarz, bibliotekoznawca, autor książek i artykułów naukowych oraz prac dokumentacyjnych dotyczących teatru, autor adaptacji teatralnych i scenariuszy, twórca przeglądów, spotkań i festiwali teatralnych, redaktor czasopism, nauczyciel akademicki, doktor nauk humanistycznych.

## **Kamila Gieba**

Studentka polonistyki na Uniwersytecie Zielonogórskim. Uczestniczy w seminarium poświęconym literaturze lubuskiej, przygotowuje pracę magisterską na temat zbioru baśni i legend *Złota dzida Bolesława*.

## **Przemysław Grzesiński**

Absolwent filologii polskiej i filozofii. Od 2008 r. stały współpracownik Działu Literackiego Lubuskiego Teatru. W latach 2006-2009 gł. spec. ds. literackich w Teatrze im. W. Bogusławskiego w Kaliszu, dramaturg w spektaklu *Pan Poduszka* M. McDonagha. Autor kilku publikacji, twórca komediodramatu *Po prostu Leon po prostu* (premiera w marcu 2011 r. w Lubuskim Teatrze). Autor sztuk: *Studnia*, *To jest wojna*, *Według Michała*, *Żużel forever* i paru scenariuszy okolicznościowych, juror w Teatrze Dramatycznym w Białymstoku w roku 2011.

## **Joanna Kapica-Curzytek**

Ur. **się** w 1967 r. Filolog angielski, glottodydaktyk, adiunkt w Instytucie Neofilologii na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek („Twój Styl”, „Twoja Muza”, portal internetowy księgarni **Merlin**), recenzji teatralnych i wywiadów (wortal teatralny [www.e-teatr.pl](http://www.e-teatr.pl)). Jest współautorką i tłumaczką reportażu, który otrzymał Nagrodę Specjalną Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia na krajowym konkursie reportażu radiowego „Polska i Świat 2000”. Oprócz literatury jej największą pasją są języki obce.

## **Katarzyna Kaszewska**

Studentka filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka publikacji w piśmie studenckim „UZetka”.

## **Władysław Kłępka**

Ur. w 1942 r. w Krężnicy Jarej koło Lublina. Poeta, tłumacz, plastyk. Ukończył Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie. Przebywa na emeryturze. Debiutował przekładami z języka gruzińskiego na łamach „Poezji” w 1978 r. Otrzymał Nagrodę Kulturalną m. Puław (1978). Jego wiersze tłumaczono na język niemiecki. Wydał zbiorki wierszy *Węzeł serdeczny* (1996), *Lato zimorodka* (1997), *Świetlisty cień Rafaela* (1999), *Bordiura z akantem* (2000), *Zielonym do góry* (2004), *Za wiatrem za wodą – haiku, tanka* (2006), *Pan Wyka* (2008). Opracował antologię lubuską *Wokół haiku* (2002). Tłumaczy poezję czeską. Mieszka w Zielonej Górze.

### **Barbara Konarska**

Słuchaczka Zielonogórskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, gdzie prowadzi klub literacki Oksymoron i redaguje czasopismo „Inspiracje”. Jest autorką dwóch tomików poezji: *Ocalone śmy czyli moje wędrowanie* i *Malowanka jesienna*. Brała udział w regionalnych i ogólnopolskich konkursach literackich, zdobywając nagrody i wyróżnienia. Należy do Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów.

### **Emilia Kostka**

Studentka I roku studiów uzupełniających magisterskich ze specjalizacji nauczycielskiej historii i języka polskiego oraz archiwistyki na Uniwersytecie Zielonogórskim. Pracę magisterską pisze z zakresu historii religii i religioznawstwa (wierzenia barbarzyńskich ludów Europy). Aktywnie działa w Studenckim Kole Epigraficznym. Pasjonuje się archeologią wczesnośredniowieczną Europy.

### **Andrzej Kotin**

Pochodzi z Moskwy, od wielu lat mieszka w Polsce. Doktorant na Uniwersytecie Zielonogórskim. Poeta, gitarzysta, autor piosenek, trzykrotny uczestnik Studenckiego Festiwalu Piosenki w Krakowie.

### **Konrad Krakowiak**

Ur. w 1979; redaktor telewizyjny, copywriter, organizator działań kulturalnych, lektor radiowy i telewizyjny.

### **Sławomir Kufel**

Ur. w 1965 r. w Międzyrzeczu, historyk i teoretyk literatury, profesor UZ.

### **Maciej Lindmajer**

Ur. w 1988 r. w Lubinie, studiował w Instytucie Teologicznym Księży Misjonarzy w Krakowie, a w 2009 r. rozpoczął studia polonistyczne na Uniwersytecie Zielonogórskim. Niebawem będzie bronił pracę licencjacką nt. **Samowiedomość poetycka i autokreacja legendy poety przeklętego na podstawie „Sanatorium, poematu w siedmiu częściach” Rafała Wojaczka**. Laureat kilku konkursów poetyckich i prozatorskich.

### **Zbigniew Masternak**

Ur. w 1978 r. Prozaik, autor scenariuszy filmowych, dramaturg. Studiował prawo na UMCS w Lublinie, następnie filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim. W 2009 r. ukończył Scenariopisarstwo w Krakowskiej Szkole Filmu i Komunikacji Audiowizualnej. Debiutował prozą w 2000 r. na łamach „Twórczości”. Pracuje nad autobiograficznym cyklem powieściowym pt. *Księstwo*, pomyślanym jako współczesna polska epepeja. Dotychczas ukazały się trzy książki z tego cyklu, na podstawie których został nakręcony film *Księstwo* (2011). W 2011 roku trzy pierwsze książki zostały wydane w jednym tomie jako *Księstwo. Trylogia młodości*. Jest współautorem książki *Kino polskie 1989-2009. Historia krytyczna* oraz noweli filmowej *Jezus na prezydenta!* Laureat Świętokrzyskiej Nagrody Kultury (2011) oraz Dorocznej Nagrody Starosty Puławskiego w Dziedzinie Kultury (2011). Krzysztof Zanussi przygotowuje adaptację niewydanej jeszcze powieści Zbigniewa Masternaka *Nous sommes les Polonais*.

### **Ewa Mielczarek**

Redaktor w Dziale Wydawnictw WiMBP w Zielonej Górze, starszy kustosz. Sekretarz redakcji kwartalnika „Pro Libris”.

### **Zygmunt Marek Piechocki**

Ur. w 1947 roku w Zielonej Górze. Z wykształcenia technik ekonomista, z zamiłowania artysta, rzeźbiarz, poeta, meloman. Od 1960 r. mieszka w Gorzowie. Wydał własnym sumptem cztery tomiki autorskie (*Niewiersze pierwsze napisane, Zaistniałem, Zapiski klasztorne, Sytuacje*). Jego wiersze znajdują się w antologiach KL GDK *Poeci okrągłego stołu* i *Zapisani w wierszach* oraz w „Arsenale”, „Pegazie Lubuskim”, w „Lamusie” i „Kozimryny”. Laureat nagrody im. Janusza Słowika za twórcze inicjatywy kulturalne. Organizuje w Gorzowie w WiMBP i w Klubie Pod Filarami recitale pianistyczne.

### **Jakub Rawski**

Absolwent filologii polskiej; w 2010 roku na Uniwersytecie Zielonogórskim obronił pracę licencjacką dotyczącą ewolucji figury wampira. Obecnie pisze pracę magisterską z europejskiego romantyzmu. Kilukrotny stypendysta ministra nauki i szkolnictwa wyższego. Wiceprzewodniczący Koła Literaturoznawców działającego przy Instytucie Filologii Polskiej UZ.

### **Czesław Sobkowiak**

Ur. w 1950 r. w Jaromierzu; absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim, poeta, autor 9 tomików poetyckich; krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich. Mieszka w Zawadzie koło Zielonej Góry.

### **Mirosława Szott**

Studentka polonistyki i pedagogiki Uniwersytetu Zielonogórskiego, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów.

### **Renata A. Thiele**

Germanistka, dziennikarka, prozaik, znawczyni historii i architektury, przewodniczka po Akwizgranie.

### **Paweł Wałowski**

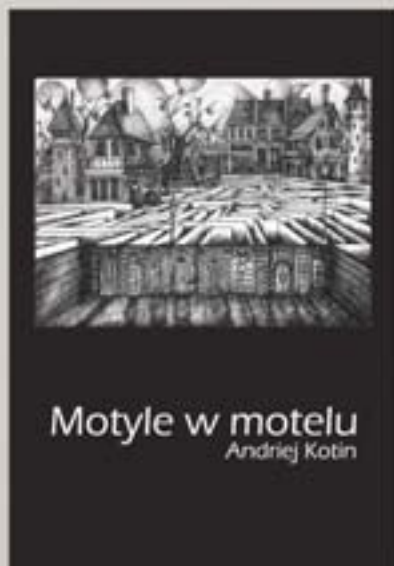
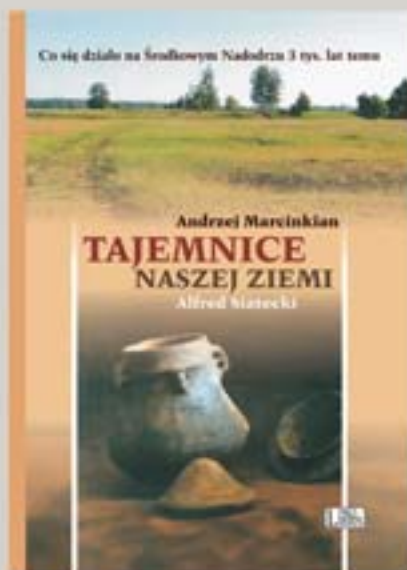
Gorzowianin mieszkający w Poznaniu i pracujący w Zielonej Górze; germanista, literaturoznawca, nauczyciel akademicki.

### **Michał Zaremba**

Student V roku filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim. Pasjonują go podróże, fotografowanie, muzyka.



KSIAŻKI OFICyny WYDAWNICZEJ  
WOJEWÓDZKIEJ I MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ  
IM. C. NORWIDA W ZIELONEJ GÓRZE



Cena 10,50 zł  
(w tym 5% VAT)

